



„SZEŚCIARZ” LUCIANO

Przewidując trudności z przelaniem frontu włoskiego w 1943 roku Amerykanie uciekają się do pomocy osławionego króla mafii w USA, „Sześciarza” Luciano. Sukces inwazji alianckiej na Sycylię zależy w dużym stopniu od wyników starcia szefów dwóch mafii — włoskiej i amerykańskiej.

Walton krzyknął, kiedy mięśnie zaczęły pękać. Luciano popełnił błąd, uderzając głową w ścianę najbliższej kabiny. Chłopak uderzył twarzą w kabinę, a potem się osunął, zostawiając na nich krwawe ślady.
Luciano podniósł nóż i schował ostrze.
Ozdobiona srebrem figurka miała około dwudziestu centymetrów długości i najwyraźniej była bardzo stara.
Z pewnością wyrzeźbił ją jakiś mistrz. Luciano wsunął miódnicę za pasek na plecach i podniósł książkę...

ISBN 83-85309-22-2

AMBER

MIZAR

Cena 12,00 zł

**„SZCZĘŚCIARZ”
LUCIANO**

Ju wkrótce nast pna
ksi ka *Jacka Higginsa*

NIEUBLAGANY WRÓG

JACK HIGGINS

„SZCZEŚCIARZ” LUCIANO

Przełożył
MAREK CEGIEŁA



Tytuł oryginału
LUCIANO'S LUCK

Ilustracja na okładce
COLIN BACKHOUSE

Okładkę projektował
ADAM OLCHOWIK

Redaktor
LUCYNA LEWANDOWSKA

Redaktor techniczny
JANUSZ FESTUR

Copyright © 1981 by Jack Higgins

For the Polish edition

Copyright © 1992 by Wydawnictwo MIZAR Sp. z o.o.

ISBN 83-85309-22-5

Wydawnictwo MIZAR Sp. z o.o.
Warszawa 1992. Wydanie I
Skład: Zakład Kolonel w Warszawie
Druk i oprawa: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Sachy i George'owi

SYCYLIA - rok 1943

W lipcu 1943 roku wojska amerykańskie wylądowały na południowym brzegu Sycylii i posuwając się z niewiarygodną szybkością, dotarły do Palermo w ciągu zaledwie siedmiu dni. Jest historycznym faktem, że swój sukces w niemałej mierze zawdzięczały współpracy z sycylijską mafią, działającą pod bezpośrednimi rozkazami Charlesa „Szczypiora” Luciana, który wówczas odsiadywał wyrok od trzydziestu do pięćdziesięciu lat więzienia w zakładzie karnym Great Meadow w stanie Nowy Jork. Ten niezwykle epizod jest na Sycylii wspominany do dzisiaj, a są nawet tacy, którzy twierdzą, że w początkowej fazie inwazji na własne oczy widzieli Luciana w ród amerykańskich żołnierzy...

Rozdział pierwszy

Tu przed zapadnięciem nocy dopió wiozł Harry'ego Cartera wjechał przez bramę na teren otaczający wielki mauretański will w Dar el Ouad pod Algierem i zatrzymał się przed bogato zdobionym, łukowatym wejściem.

— Zaczekaj na mnie — powiedział Carter do kierowcy i wszedł po schodkach, mijając wartowników.

Za biurkiem w ciemnym, chłodnym hallu siedział młody kapitan w letnim mundurze i pracował nad jakimiś dokumentami. Na blacie przed nim stała tabliczka z napisem „Kapitan George Cusak”. Spojrzał na Cartera, zerknął na dystynkcje i purpurowo-białe baretki Krzyża Wojskowego ze srebrną rozetką za powtórne odznaczenie, a potem wstał.

— Słucham, panie majorze?

— Słuchaj, generał Eisenhower mnie oczekuje — rzekł Carter, podając mu przepustkę.

Kapitan szybko ją sprawdził i skinął głową.

— Pozostało jeszcze dziesięć minut, panie majorze. Proszę spocząć, a ja mu powiem, gdzie pan jest.

Harry Carter wyszedł na taras przez otwarte francuskie okno i usiadł w jednym ze stojących tam wiklinowych foteli. Po chwili wahania z zewnętrznej kieszeni wyjął starą srebrną papierosnicę i wybrał sobie papierosa.

Ten przystojny czterdziestodwuletni mężczyzna redniego wzrostu miał miłą, spokojną twarz, która zawsze sprawiała wrażenie skorej do uśmiechu, ale właściwie nigdy naprawdę się nie uśmiechał. Do przesady dbał o mundur, co dziwiło u drugiego, syna właściciela niele-

prosperuj cego młyna w Yorkshire. Z natury był erudyta ; do trzynastego roku życia uczył się w gimnazjum w Leeds, a potem studiował w Winchesterze, skąd uciekł w 1917 roku, by po sfalszowaniu daty urodzenia wstąpić do wojska. Przez ostatnie półtora roku II wojny światowej służył jako szeregowiec piechoty na froncie zachodnim.

Później był w Cambridge i znakomita kariera akademicka. Przez pewien czas wykładał archeologię ródziemnomorską w Harvardzie, potem na Uniwersytecie Florenckim. Wreszcie powrócił do Cambridge, gdzie w wieku trzydziestu pięciu lat został profesorem historii starożytnej w Trinity College i Claverhouse.

Tu po Monachium zainteresował się nim wywiad angielski. Pracował w MI 5, pomagając w likwidowaniu niemieckiej siatki szpiegowskiej w Anglii.

Wybrał go ktoś doskonale zorientowany w sprawach personalnych, wiedział bowiem, że w 1932 roku był na Sycylii, gdzie prowadził badania ruin greckich na wzgórzach wokół Syrakuz, a później był tam ponownie w 1934 roku, kiedy to zajmował się pracami wykopaliskowymi na wulkanicznym południowym wybrzeżu.

Pułkownik Bussaca poddał surowemu egzaminowi jego znajomość dialektów sycylijskich i charakteru mieszkańców wyspy, by sprawdzić, czy poradzi sobie w bezpośrednich kontaktach z don Antoniem Luką, *capo di capi*, który dla niepoznaki wiodł spokojne życie w górskim miasteczku ze swoją kochanką i służącą, nie zamierzając nawet kiwnąć palcem, aby pomóc aliantom. Pułkownik Bussaca wiedział, że don Antonio uwielbia grać w brydża. Carter, który był mistrzem szachów, potrafiłby umiejętnie przegrywać z nim w karty. Wszystkiego by się nauczył, aby przyczynić się do zwycięstwa w tej wojnie.

Trzy skoki spadochronowe na Sycylii przyniosły mu medal, dawały mu pewność siebie w szarych oczach i pasemka siwizny w ciemnych włosach.

Carter wyrzucił niedopałek papierosa do ogrodu.

— Uważaj, Harry — szepnął do siebie. — Jeszcze chwila i zaczniesz się nad sobą ualać.

Usłyszał kroki. Podniósł wzrok, gdy pojawił się kapitan Cusak.

— Panie majorze, generał Eisenhower już ma pana przy sobie.

Pokój był bogato urządzony w pełnym zdobies mauretańskim stylu* podobnie jak cała willa. Jedyne oznaki tego, że tutaj znajdowało się centrum < «r*odzenia sił alianckich w Afryce Północnej, stanowiły

mapy Morza Ródziemnego, przypięte pinezkami do ściany, oraz trzy stoły kreślarskie z jeszcze większą liczbą map, ustawione przy oknach wychodzących na taras.

Kiedy obaj oficerowie tam weszli, Eisenhower palił papierosa na tarasie. Był ubrany w bryczesy i buty z cholewami, zwykle bowiem codziennie po południu je dźwiżył konno. Odwrócił się i podszedł do nich wawym krokiem, ze swoim słynnym niepowtarzalnym uśmiechem.

— Kawa, George — zwrócił się do Cusaka. — A może major Carter woli herbatę?

— Nie, panie generale. Kawa świetnie mi zrobi.

Kiedy Cusak wyszedł, Eisenhower wskazał Carterowi fotel i otworzył teczkę leżącą na biurku.

— Ciekaw jestem, jak człowiek z pańskich przeszłości radzi sobie z sycylijskimi chłopami?

— O, należałoby dziękować za to uniwersyteckiemu kółku teatralnemu, panie generale. W pewnej chwili korciło mnie nawet, żeby zmienić zawód.

— Tak dobrze panu szło?

— W przeciwnym wypadku nie byłoby mnie tutaj, panie generale — spokojnie odparł Carter.

— Kiedy Zarząd Operacji Specjalnych wysłał pana do Kairu, żeby objął pan kierownictwo sekcji włoskiej, chyba nikt się nie spodziewał, że osobiście będzie pan brał udział w inwazji na Sycylię — w tym momencie spojrzął na dokumenty w teczce — skądże tam trzykrotnie ze spadochronem?

— Wiem, panie generale — rzekł Carter — lecz naprawdę nie mieliśmy innego wyjścia. Kiedy wynikła sprawa Sycylii, nikt tak jak ja nie znał ani miejscowego języka, ani miejscowej ludności. W latach trzydziestych prowadziłem tam w wielu miejscach prace wykopaliskowe.

— Co konkretnie udało się panu osiągnąć?

— Chciałem, żeby mafia obserwowała porty na południowym wybrzeżu, by sprawdzić, czy Niemcy ich nie zaminowali, a jeżeli tak, to żeby natychmiast mnie o tym zawiadomiono z podaniem lokalizacji pól minowych.

— Zgodzili się?

— Wedle ich życzenia przekazałem im wysokie nominaty w lirach i biletach emitowanych przez skarbu USA.

Eisenhower pokiwał głową.

— A teraz znów pan się tam wybiera. Nie s dzi pan, e jest pan trochę za stary na takie rzeczy?

Generał podsun ł Carterowi jaki dokument, który major wzi ł do r ki. Był to typowy rozkaz operacyjny Zarz du Operacji Specjalnych, napisany urz dow angielszczyzn .

ROZKAZ OPERACYJNY NR 592 Dla majora

Harry'ego Cartera Kryptonim operacji:

Swordarm Pseudonim operacyjny:

FORTUNATO Dokumenty na nazwisko:

Giovanni Ciccio

1. OPIS ZADANIA

Zgodnie z dotychczasowymi ustaleniami powróci na Sycyli w celu sfinalizowania misji, z któr udał się pan na wysp w lutym br., a mianowicie skoordynowania organizacji grup oporu na obszarze Cammaraty, które b d współpracowały z wojskami alianckimi w wypadku inwazji.

2. REALIZACJA

Na Sycyli zostanie pan przewieziony z Maison Blanche samolotem typu Halifax ze 138 Eskadry (do zada specjalnych) i wyl duje na spadochronie w punkcie oddalonym o 10 kilometrów na zachód od Bellony, gdzie zajm się panem członkowie miejscowego ruchu oporu. Fałszywy yciorys i dokumenty wystawione na nazwisko Giovanni Ciccio umo liwi prowadzenie normalnego ycia w terenie.

3. Ł CZNO

Kontakty z ruchem oporu w Palermo za po rednictwem hrabiny di Bellona, która w obecnym czasie mieszka we własnej willi pod miastem.

Ł czno ze sztabem za po rednictwem radiostacji obsługiwanej przez Vita Barber , koordynatora na obszarze Bellony.

4. BRO

Do własnego uznania, lecz tylko taka, jak uwa a pan za niezb dn w walce wr cz.

5. UWAGI KO COWE

Misja ma charakter priorytetowy. Przewidujemy jej zako czenie w ci gu dwóch tygodni. Powrót na pokładzie łodzi podwodnej. Szczegóły zostaną podane szyfrem przez radio we wła ciwym czasie. **PO PRZECZYTANIU ZNISZCZY !**

Carter wyj ł z kieszeni zapalniczk , kciukiem potarł kółko i przytkn ł płomie do rogu dokumentu. Kiedy papier spłon ł, major podszedł do kominka i wrzucił popiół do paleniska.

— Nawet pan nie powinien tego zna , generale.

Drzwi się otworzyły i powrócił Cusak z dzbankiem kawy na mosi nej arabskiej tacy.

— Dzi kuj , George. Sam si tym zajm — rzekł Eisenhower.

Nalał sobie kawy i zapalił nast pnego papierosa.

— Chyba słusznie przypuszczam, e o tym, co si tam obecnie dzieje, wie pan wi cej ni ktokolwiek inny w Afryce Północnej. Porozmawiajmy wi c na ten temat.

— A czego chciałby si pan dowiedzie , generale?

— Chc , eby mi pan powiedział co nieco o mafii.

Carter machinalnie zapalił papierosa.

— Jak panu wiadomo, mafia powstała jako pewnego rodzaju tajne stowarzyszenie w okresie rzeczywistych prze ladowa . W owym czasie była jedyn broni chłopów, ich jedynym sposobem walki o sprawiedliwo .

— Prosz kontynuowa .

— Chc c ich zrozumie , panie generale, trzeba zna warunki naturalne, w jakich yj . S to jałowe nieu ytki, gdzie walczy si nie tyle o to, eby si utrzyma , ile o przetrwanie. To zupełnie inny wiat, w którym kluczowym słowem jest *omerta*, co oznacza m stwo, honor i całkowite, absolutne unikanie oficjalnej pomocy. Je li ma si jaki kłopot, to idzie si z nim do *capo*.

— Bossa.

— Bossa, szefa, mo na go nazywa dowolnie. Gdziekolwiek si ruszy na Sycylii, wsz dzie jest jaki *capo mafia*, który rz dzi w okolicy.

— Nawet obecnie?

— Kiedy Mussolini próbował zmia d y ten ruch, to mafia po prostu zesłała do podziemia. Mo na mówi o separatystach, komunistach i innych frakcjach politycznych, ale na Sycylii prawdziwe wpływy ma w dalszym ci gu mafia.

— Czy zna pan Luk ? — spytał Eisenhower.

— Tak, panie generale.

— Chodzi mi b to, czy poznał go pan osobi cie.

— Tak.

— On nie wzi ł pana za Sycylijczyka, prawda?

— Nie, panie generale — odparł Carter z u miechem. — To wielki cwaniak.

Eisenhower poklepał le c przed nim br zow teczk , jakby podejmował jak decyzj .

— Czy znany jest panu człowiek, o którym tu si wspomina, niejaki „Szcz ciarz” Luciano?

Carter skin ł g łow .

— Nowojorski gangster z Sycylii i prawdopodobnie najwa niejszy *capo* w ameryka skiej mafii. Obecnie odsiadyuje wyrok w Dannemorskim Zakładzie Karnym. O ile mi wiadomo, dostał od trzydziestu do pi dziesi ciu lat za zorganizowane str czycielstwo.

— Teraz siedzi gdzie indziej — rzekł Eisenhower. — Według informacji znajduj cych si w tej teczce przeniesiono go do Great Meadow w Comstock. Wydaje si , e po tym, jak w zeszłym roku spalono liniowiec „Normandie” na rzece Hudson, wywiad marynarki wojennej ma coraz wi ksze kłopoty z sabota em w porcie nowojorskim.

— Wiem, panie generale, a kiedy zwrócił si w tej sprawie do zwi zku zawodowego portowców, to ustalił, e nale y si skontaktowa z Lucianem bez wzgl du na fakt, czy jest w wi zieniu, czy na wolno ci.

— To niewiarygodne, e w czasie najwi kszej wojny w historii ludzko ci wywiad musi szuka pomocy u przest pcy. Jakby tego nie było do , okazuje si , e nasi od jakiego czasu wysyłaj agentów na Sycyli , zazwyczaj Amerykanów pochodz cych z tej wyspy. Wiedział pan o tym?

— Wła ciwie to plan ameryka ski, panie generale, ale owszem, wiedziałem o nim. Przypuszczam, e jego celem jest zapewnienie współpracy mafii w wypadku inwazji.

— Na miło bosk , czy nie prowadzimy tej samej wojny? — spytał Eisenhower, bior c nast pnego papierosa. Tak mocno potarł zapalk , e si złamała. — Wywiad ponownie skontaktował sj z Lucianem w wi zieniu, by udzielił im pomocy. Oni chyba my l , e równie na Sycylii on ma jakie wpływy.

— I to znaczne, panie generale. Gdyby zjawił si w tych górskich wioskach i miasteczkach, przyjmowano by go jak Chrystusa.

— Wydaje si , e nasi ludzie z wywiadu te tak s dz . Wygl da na to, e óty szalik z czarn liter „L”, który jest wizytówk Luciana, pojawi si w wielu miejscach w odpowiednim czasie.

— I oni uwa aj , e to im co da? — spytał Carter.

Eisenhower odwrócił si do mapy.

— Takie zało enie jest do sensowne. Tereny, przez które musi przej Patton ze swoim wojskiem, to koszmar dla ołnierza. Szczegół nie Cammarata, gdzie s same w wozy i góry. Przebijanie si przez ten obszar mogłoby trwa miesi cami. Gdyby natomiast mafia u yła

swoich wpływów, by zorganizować powstanie ludności i namówi włoskie jednostki do poddania się, wówczas Niemcy nie mieliby innego wyjścia, jak tylko uciekać gdzie pieprz rośnie.

— Owszem, panie generale — rzekł Carter.

— Nie jest pan zbyt przekonany. Nie sądzi pan, że mafia może pomóc?

— Szczerze mówiąc, panie generale, nie do takiego stopnia, jak to sobie marzy ludność z Waszyngtonu. Jest w tym pewien słaby punkt: szef, czyli *capo* mafii na jakim obszarze, nie ma zbyt dużego wpływu gdzie indziej. Poza tym wasz wywiad zwerbował do tego funkcjonariuszy pochodzących nie tylko z Sycylii, lecz także z Włoch.

— Co w tym złego? — spytał Eisenhower.

— To lepsze niż nic, ale Włosi nie są mile widziani na Sycylii, a jeżeli idzie o język, to w samym Palermo używa się przynajmniej pięciu dialektów.

— Chyba jednak pomysł z Lucianem miał na celu pokonanie takich przeszkód, bo jego nazwisko jest tam wszystkim znane.

— Moim zdaniem to nie wystarczy.

— Ale Waszyngton uważa, że tak.

— Na to by wyglądało.

Obaj na chwilę umilkli. Eisenhower ze zmarszczonymi brwiami patrzył zamysłony na teczkę, a potem podniósł wzrok.

— No dobrze, majorze, otrzymał pan pewne instrukcje, a teraz ja zamierzam panu coś zlecić. Chciałbym uzyskać informacje o stanowisku mafii bezpośrednio z pierwszej ręki. Kiedy pan wróci za jakie dwa tygodnie, chciałbym, aby najpierw zgłosił się pan do mnie i przedstawił sytuację w terenie. Pan mnie rozumie, majorze.

— Całkowicie, panie generale.

— Wietnie, a wiadc do roboty.

Carter zsalutował. Eisenhower odpowiedział mu skinieniem głowy i podniósł pióro. Kiedy Carter podszedł do drzwi i otworzył je, generał odezwał się półgłosem:

— Jeszcze jedno, majorze...

— Słucham, panie generale.

— Ryzyko niech pan zostawi innym. Byłbym w ogromnym kłopotcie, gdyby pan nie przyszedł na następne spotkanie ze mną.

Rozdział drugi

Zacz ło pada , kiedy Carter dotarł do grani. Mókł w gwałtownej ulewie. W oddali, nad szczytami gór zaja niała błyskawica. Major oparł ci ki motocykl o drzewo i wyj ł z kieszeni lornetek . Po wyregulowania ostro ci zobaczył domy Bellony, od której dzieliło go pi kilometrów. Przejechał lornetek wzdłu drogi w dolinie do miejsca, gdzie znikał w ród pinii, lecz nie zauwa ył na niej nawet pastucha.

Schował lornetek , przeszedł mi dzy drzewami na drug strong grani i spojrzwał w dół na will w zagł bieniu terenu, spokojnie czekaj c na niego w wietle zapadaj cego wieczoru.

Był zm czony, lecz nagle doznał przyływu rado ci, e wreszcie osi gn ł cel. Ruszył z boczem w dół mi dzy piniami, pchaj c przed sob motocykl.

Wszedł przez bram w murze z tyłu budynku i skierował si alejk prowadz c wokół domu do frontu willi. Ogród był maureta ski, pełen bujnej podzwrotnikowej ro linno ci. Palmy lekko si kołysały pod uderzeniami gwałtownej ulewy; woda z bulgotem spływała starymi podziemnymi rurami, tryskaj c z licznych fontann.

Carter znalazł si na frontowym dziedzi cu, oparł motocykl o barokow fontann i wszedł po stopniach do wej cia. W hallu paliło si wiatło, poci gn ł wi c za ła cuch dzwonka i czekał. Usłyszał kroki i drzwi si otworzyły.

Stoj cy w nich m czyzna wygl dał na czterdzie ci lat; jego włosy i sumiaste w sy ju posiwiały. Miał czarn muszk i alpakow marynark . Popatrzył na Cartera z całkowit dezaprobat .

— Czego chcesz?

Carter zdjął czapkę. Kiedy się odezwał, mówił głosem grubym i chrapliwym, czysto po sycylijsku.

— Mam wiadomość dla pani hrabiny.

Słuchajcie, gnętku.

— Daj mi.

Carter pokręcił głową, przybierając minę przebiegłego wieśniaka.

— Mam ją oddać tylko pani hrabinie. Ona czeka na mnie. Proszę jej powiedzieć, że przyszedł Ciccio.

Słuchajcie, wzruszył ramionami.

— No dobrze, wejdź. Zobacz, co powie pani hrabina.

Carter wszedł do rodka i stanął, ociekając wodą, która spływała na czarno-białe kafelki. Słuchajcie, skrzywił się z niezadowoleniem i podszedł do obitych rypsem drzwi, prowadzących do kuchni. Kiedy zamknął je za sobą, wyjął z kieszeni walthera, szybko go sprawdził, a potem otworzył szafkę stojącą przy staromodnej kuchni i wyciągnął z niej wojskowy polowy telefon. Zakręcił pokrętkę i czekał, cicho pogwizdując i klepiąc się walterem w udo.

Kiedy w słuchawce usłyszał głos, zaczął mówić po niemiecku:

— Tu Schaefer z Willi. Carter wreszcie się pojawił. Adnych problemów. Zatrzymam go do waszego przybycia.

Odstawił telefon do szafki, odwrócił się i wciął pogwizdując, podszedł do drzwi.

Carter dygotał, nagle bowiem zrobiło mu się zimno. Uwiadomił siebie, że przemókł do suchej nitki. Jeszcze chwila i wszystko się skończy. Bo e, ale był zmęczony. W złoconym lustrze po drugiej stronie hallu widział swoje odbicie: sycylijski wieśniak w rednym wieku, nie ogolony, ze zbyt długimi włosami i ponurą głupkowatą miną, ubrany w pocerowany samodziślowy garnitur i sztylpy. Na lewym ramieniu miał zawieszoną tradycyjną luparę — dubeltówkę z obciętymi lufami.

Już niedługo. Wkrótce będzie Kair, „Shepher's Hotel”, gorzka kawa, czysta po ciel, posiłki z siedmiu dań i mroźny szampan, Dom Perignon rocznik 35. Mimo wojny wciś miał niezawodne źródło zaopatrzenia.

Zobaczył w lustrze, że drzwi za jego plecami się otwierają i wychodzi z nich słuchajcie. Carter się odwrócił.

— Czy pani hrabina mnie przyjmie?

— Przyj łąby, gdyby mogła, tylko e jej tu nie ma. Zabrali my jst d trzy dni temu — odpowiedział słu cy i unosz c praw r k z waltherem, przeszedł na angielski: — Dubeltówk , majorze Carter, na podłog , bardzo wolno, a potem odwróci si i r ce na cian .

Carter zawsze miał wiadomo , e taka chwila musiała kiedy nadej , a kiedy ju to si stało, doznał dziwnego uczucia ulgi. Nawet nie próbował dalej udawa Ciccia, lecz poło ył lupar na podłodze i posłusznie odwrócił si twarz do ciany.

— Niemiec? — spytał czuj c dotkni cia r ki, która fachowo go rewidowała.

— Obawiam si , e tak. Schaefer z Geheimefeldpolizei. My łąłem, e pan ju nie przyjdzie.

Kiedy Niemiec si cofn ł, Carter odwrócił si do niego przodem.

— Co z hrabin ?

— Jest w Gestapo. Od trzech dni czekaj na pana w Bellonie. Zadzwoniłem do nich z kuchni. B d tu za jakie dwadzie cia minut.

— Rozumiem — powiedział Carter. — I co teraz?

— Poczekamy sobie.

Schaefer gestem kazał mu wej do jadalni. Carter zatrzymał si przy kominku i patrzył w ogie . Z jego mokrego ubrania zacz ła unosi si para. Niemiec usiadł przy ko cu długiego stołu, wyj ł paczk papierosów, zapalił jednego i pchn ł paczk po stole w stron Cartera. Major z wdzi czno ci wzi ł papierosa. Kiedy zapalał zapałk , palce lekko mu dr ały.

— W kredensie jest koniak. Wygl da na to, e dobrze panu zrobi.

Carter obszedł stół i nalał sobie. Koniak był produktem miejscowym, miał cierpki, ostry smak i palił w gardle. Major si zakrztusił, z trudem łapi c powietrze. Nalał sobie jeszcze raz i odwrócił si do Schaefera.

— A pan si nie napije?

— Czemu nie?

Carter wzi ł drugi kieliszek i podszedł do stołu.

— Prosz powiedzie kiedy — rzekł i zacz ł nalewa .

Schaefer w dalszym ci gu trzymał go na muszce walthera.

— Przepraszam za to wszystko, majorze — odezwał si podnosz c kieliszek. — Nie lubi tych drani gestapowców nie mniej od pana, ale musz wykona zadanie.

— Wszyscy musimy — odparł Carter.

W tej samej chwili uniesion karafk uderzył Niemca w czaszk ,

równocześnie nie chwytając go za nadgarstek ręki, która trzymała walthera, i rozpaczliwie próbował ją wykręcić.

Ponownie uderzył karabinkiem tak mocno, że rozprysła się na drobne kawałki. Koniak chlusnął na głowę i twarz Niemca, mieszając się z krwią. Zdumiewając się, że Schaefer zdołał lewą pięścią zadać cios w prawy policzek Cartera, rozcinając ciało do karku, a potem złapał go za gardło.

Obaj upadli na stół i stoczyli się na podłogę. Carter poczuł kolejne uderzenia. W czasie szamotaniny pistolet dwukrotnie wypalił. Major w jakiś sposób znalazł się na wierzchu. Klęczał na jednym kolanie, wykręcał rękę z broni, póki nie trzasnęła kołkiem. Walther wylądował w palenisku kominka.

Niemiec wrzeszczał z bólu, odchylając głowę do tyłu. Carter uderzył go kostkami palców w odsłonięte gardło. Schaefer zwinął się, upadł na twarz i znieruchomiał. Major odwrócił się i wybiegł do hallu. Podniósł dubeltówkę, którą powiesił na ramieniu w drodze do frontowych drzwi.

Wszystko odbywało się jak w filmie. Carter miał wrażenie, że porusza się niczym w zwolnionym filmie. Był tak osłabiony, że nawet otwarcie drzwi sprawiło mu trudność. Oparł się o balustradę ganku. Przód kurtki nasiąkł mu krwią. Nie Schaefera, lecz jego własną. Kiedy wsunął rękę za koszulę, wymacał brzegi rany jak kawałek wiejskiego mięsa w miejscu, gdzie kula rozdarła mu lewy bok.

Nie miał czasu jej opatrzyć, nie teraz, usłyszał bowiem pojazdy bardzo szybko zbliżające się drogą. Chwiejnym krokiem zszedł po schodach, wziął motocykl i ruszył z powrotem swoimi ładami do tylnej bramy.

Kiedy znalazł schronienie w ród pinii za willą, odwrócił się akurat w tym momencie, gdy w górze, na głównej drodze, ukazała się ciarówka i dwa łaziki. Carter nie czekał, by zobaczyć, co się będzie działo. Po prostu ruszył przed siebie między drzewami, a dotarł do cieki ujęwanej przez drwali, która cały czas biegła lasem do samej Bellony. Jeśli będzie miał szczęście, to dotrze tam, zanim zrobi się zupełnie ciemno. Przerzucił nogi nad zniszczonym skórzanym siedzeniem starego motocykla i odjechał.

Z jazdy niewiele zapamiętał: gęstota drzew po obu stronach, pogłębiony wieczorny mrok, rzysisty deszcz. Czuł się jak po wielkim pijackim stwie, kiedy człowiek pamięta jedynie pojedyncze obrazy.

Otworzył oczy i stwierdził, że z twarzą wystawioną na deszcz leży na plecach obok motocykla w rowie na skraju miasteczka.

Teraz odczuwał bardzo silny ból w ranie od postrzału. Nigdy nie przypuszczał, że coś może być tak bolesne. Nie zauważył ani ładunku, ani lupary. Z trudem się podniósł i chwiejnym krokiem ruszył dalej, kiedy w szybko zapadających ciemnościach.

W wilgotnym powietrzu unosiła się woń dymu, w oddali głucho zaszczekał pies, lecz oprócz tego nie było żadnych oznak życia poza nielicznymi wiatłami w oknach. Wiedział, że są tam ludzie — obserwuj zza okiennic i czekaj.

Jako przeszedł rynek, zatrzymawszy się po drodze przy fontannie na rodku, gdzie wsadził głowę pod strumień zimnej wody, płynący z ust i nozdrzy driady z brzoza. Później minął kościół i skręcił w wąską boczną uliczkę. Kilka domów dalej było wejście na podwórko zamknięte drewnianą bramą, nad którą wisiała niebieska latarnia. Na ścianie widniał napis wymalowany czarnymi ozdobnymi literami: Vito Barbera — Zakład Pogrzebowy.

Obok głównej bramy znajdowała się niewielka furtka z zakratowanym okienkiem. Carter oparł się o nią i pociągnął za łańcuch dzwonka. Przez chwilę panowała cisza. Major jednak trzymał się kraty, patrząc na deszcz srebrzącą się w świetle latarni. Po jakim czasie z wnętrza dobiegły kroki i okienko się otworzyło.

— Co jest? — spytał Barbera.

— Vito, to ja.

— Harry, czy to naprawdę ty?! — wykrzyknął Barbera, tym razem angielszczyznę prosto z Bronxu. — Dzięki Bogu. Byłem pewien, że ci złapali.

Otworzył furtkę i Carter wszedł do rodku.

— Cholernie mało brakowało, Vito. Zupełnie jak pod Waterloo — odparł i zemdlał.

Powoli odzyskiwał świadomość. Patrzył na popękany stiukowy sufit. Było bardzo zimno i w powietrzu unosiła się ciężka szpitalna woń. Wkrótce poznał, że to formalina. Leżał na stole w kostnicy, gdzie przygotowywano zwłoki do pogrzebu. Pod głową czuł twardą deskę. Klatkę piersiową i brzuch miał fachowo zabandażowane.

Odwrócił głowę i zobaczył, że Barbera, ubrany w długi gumowy

fartuch, pracuje przy zwłokach jakiego starca, leżących na stole obok. Carter z trudem się uniósł.

— Na twoim miejscu bym tego nie robił — odezwał się uradowany Barbera. — Dostałem dwie kule. Jedna przebiła bok na wylot, ale druga utkwiła gdzieś w lewym płucu. Będziesz potrzebował chirurga, który zna się na swojej robocie.

— Ogromne dzięki — odparł Carter. — Naprawdę czuję się już dużo o lepiej.

Barbera miał pod ręką stolik na kółkach, przykryty białym materiałem. Leżały tam narzędzia do balsamowania zwłok: kleszcze, skalpele, igły chirurgiczne, zgłębniaki twardnicze i szklany słój z kilkoma litrami płynu konserwującego.

Zmarły miał lekko zdziwioną minę, jak wiele osób po śmierci. Opadnięta szczęka i rozdziawione usta nadawały mu wyraz zdumienia, jakby nie wierzył, że to się mogło stać. Barbera wziął długą wygiętą igłę, przebił nią dolne dziąsło, podniebienie i przegrodę nosową. Kiedy cięgnięta i związani, usta nieboszczyka były zamknięte.

— A więc umiesz tak się przywracać ludziom życie — rzekł Carter, zsuwając się ze stołu. — Zawsze uważałem cię za człowieka wszechstronnego.

Barbera się uśmiechnął. Ten niski, wąwy pięćdziesięciolatek miał zmierzwił siwobrodą, która dziwnie kontrastowała z jego akcentem z Bronxu.

— Harry, ty pieprzony Angliku! Kiedy wreszcie się nauczysz? Dni chwały imperium minęły. Czego chciałeś tam dokonać? Samemu wygrać wojnę?

— Co w tym rodzaju.

Otworzyły się drzwi. Weszła jakaś młoda dziewczyna, niewysoka i ciemnowłosa, w wieku szesnastu, najwyżej siedemnastu lat, ubrana w starobawełnianą sukienkę, która opinała jej pełne, dojrzałe ciało. Miała duże usta, ciemnobrzozy oczy i miłą, znamionującą charakter. W jej twarzy było jednak coś, co wiańczyło, że zbyt wcześnie nie poznała życia od najgorszej strony.

Na tacy niosła stary mosiężny dzbanek z kawą, brązowym cukrem, szklankami i kieliszkami, a także butelkę koniaku Courvoisier.

— Rosa, to major Carter — odezwał się Barbera, nie przerywając pracy. — Moja bratanica przyjechała tu z Palermo po twoim wyjeździe.

— Rosa — powtórzył jej imię Carter.

Nałóż kawę do szklanki, którą podała mu bez słowa.

— Bardzo ci dziękuję — rzekł Barbera. — A teraz idź, stań przy bramie i obserwuj plac. O wszystkim mnie informuj, absolutnie o wszystkim.

Rosa wyszła. Carter nalał sobie koniaku, który pił małymi łykami. Ból w płucu był tak silny, że major z trudem oddychał.

— Nie wiedziałem, że masz bratanicę. Ile ona ma lat?

— O, ze sto pięćdziesiąt albo szesnaście. Moją esz sobie wybrała. Jej ojciec był moim najmłodszym bratem. W trzydziestym siódmym zginął w wypadku samochodowym w Neapolu. Z jego śmiercią straciłem kontakt. Umarła na suchoty trzy lata temu.

— A Rosa?

— Usłyszałem o niej dopiero przed dwoma miesiącami od moich znajomych z mafii w Palermo. Była uliczną prostytutką od trzynastego roku życia. Uznałem, że najwyższy czas, by wróciła do domu.

— W dalszym ciągu to miejsce uważasz za swój dom, a nie Eastchester Avenue?

— No pewnie, i wcale nie żałuję. Rosa nie może tego zrozumieć. Nowy Jork wciąż jest dla niej ziemią obiecaną, ale nie dla mnie. Moja rodzina jest naprawdę związana z Sycylią. Od wieków, przyjacielu.

Smarował kremem twarz nieboszczyka i nakładał na niego różę.

— Co z hrabiną? — spytał Carter.

— Gestapo zabrało ją do Palermo.

— Będziesz miał kłopoty, jeśli ją złami.

— To wykluczone — odpowiedział Barbera, kręcąc głową. — Wczoraj po południu przekazano jej do więzienia kobiecego kapsułek z cyjankiem.

Carter z lekkim drżeniem wciąż gnął powietrze głębokimi oddechami, aby uspokoić nerwy.

— A ja miałem nadzieję, że mi przekazacie wiadomość o Luce.

Barbera przerwał i spojrzał na niego, jakby trochę zaskoczony.

— Tylko tracisz czas. Nikt ci nie przekazacie wiadomości o Luce, bo on sobie tego nie życzy.

— Znowu mafia?

— Tak, przyjacielu, znowu mafia, i dobrze by zrobił, nie zapominaj o tym. Jakie masz plany?

— Dziś wieczorem miałem jechać do Agrigento i o północy wypłynąć w morze z Porto Stefano kutrem rybackim.

— I przesiądziesz na łódź podwodną?

— Właśnie.

Barbera zmarszczył brwi.

— Dziś nie dasz rady, Harry. Na drogach będzie pełno szkopów. — Ręką wskazał nieboszczyka. — Tak czy inaczej ja muszę zabrać tego staruszka do Agrigento.

Nim Carter zdążył odpowiedzieć, gwałtownie otworzyły się drzwi i zajrzała Rosa.

— Słuchaj na placu. Kupa Niemców.

Barbera zbliżył się do okna i lekko uchylił zasłonę. Carter z trudem się podniósł i kulejąc poszedł za nim. Na rynku stało kilka pojazdów: łaziki, transportery i dwa samochody pancerne. Do żołnierzy zebranych w półkole mówił jakiś oficer z samochodu terenowego.

— Spadochroniarze SS — rzekł Carter. — Skąd, u licha, oni się tu wzięli?

— Z Włoch, w zeszłym miesiącu. Specjalnie wybrani przez Kesselringa do oczyszczania gór z partyzantów. Ten, co mówi, to ich dowódca, major Koenig. Przyzwoity facet. W Cammaracie nazywają go „Myśliwym”.

Żołnierze się rozeszli i zaczęli przeszukiwać miasteczko. Koenig usiadł i jego łazik ruszył przez rynek, a za nim drugi. Barbera zaciągnął zasłonę.

— Wygląda na to, że jadą tutaj. Czy przypadkiem nie zostawił w willi jakiego trupa?

— Możliwe — odpowiedział Carter i chwycił Barberę za rękaw. — On się odegra na miasteczku, jeżeli ja się nie ujawnię.

Barbera uśmiechnął się smutno.

— To nie w jego stylu. Możeś mi nie wierzyć, ale on jest najwyraźniej człowiekiem honoru. Dlatego tak trudno wbić mu nóż w plecy. Posiedź tu z Rosą i bądź cicho.

Wziął lampy i wyszedł, zostawiając ich w ciemnościach.

Kiedy szedł przez podwórko, Niemcy już stukali w bramę. Odcignął się i kiedy zasłona się otworzyła, ukazując pierwszy samochód z Koenigiem siedzącym obok kierowcy. Major wysiadł i ruszył naprzód.

— A, jest pan, signor Barbera — powiedział nieme po włosku.

Oba łaziki wjechały na podwórko. W jednym z nich Barbera zauważył jakieś ciało przykryte kocem i przymocowane pasami do noszy. Dwóch esesmanów podbiegło do nich i zdjęło je z samochodu.

— Proszę za mną, panie majorze — powiedział Barbera.

Zaprowadził go przez podwórko i krótki korytarzyk pod jakie drzwi. Kiedy je otworzył, z wnętrza zapachniało mierci.

W sali, do której weszli, panowała cisza. Jedyne oświetlenie stanowiła lampa naftowa na rodku stołu. Była to typowa sycylijska kostnica. Znajdowało się tam przynajmniej kilkanaście otwartych trumien ze zwłokami, które miały ręce połączone sznurkiem ze starym mosiężnym dzwonkiem przy drzwiach za pomocą układu bloczków pod sufitem.

Koenig wszedł za Barbera. Choć nie był oficerem zawodowym, swój polowy czapkę ze srebrną trzpiącą główką, która połyskiwała w świetle lampy, nosił jak stary wygana. Pod jego szyją dumnie prezentowała się szkarłatno-czarna wstęga Krzyża Kawalerskiego. Obrazu dopełniał skórzany płaszcz ze ładami długiego noszenia i buty do skoków spadochronowych. Major pstryknął palcem w dzwonek, który wydał niesamowity dźwięk.

— Czy on kiedykolwiek zadzwonił?

— Wielokrotnie — odparł Barbera. — Koźny zmarłych dziwnie się zachowują, kiedy sztywniej po mierci, a je li panu majorowi chodzi o to, czy kto wrócił do życia, to takie rzeczy równie się zdarzają. W jednym wypadku była to dwunastoletnia dziewczynka, a w drugim czterdziestoletni mężczyzna. Oboje ożyli, mimo że uznano ich za zmarłych. W każdym razie po to są takie kostnice.

— Wydaje mi się, że wy, Sycylijczycy, jesteście przesadnie zaabsorbowani mierci — powiedział Koenig.

— Ale nie do tego stopnia, żeby dać się zakopać żywcem.

Opierając się o Rosę i walcząc z bólem, Carter obserwował przez szparę w drzwiach, jak esesmani stawiają nosze na stole i odkrywają Schaefera, sieranta andarmerii polowej. Miał zakrwawioną twarz i otwarte oczy. Barbera zamknął je wywiczonym ruchem.

— Sierant Schaefer był dobrym żołnierzem — odezwał się Koenig. — Chyba nie muszę podkreślać, że bardzo by się stało, gdyby ktoś ukrywał człowieka, który go zabił.

— Co pan sobie myśli, że bym zrobił z ciałem, panie majorze? — spytał Barbera.

— Proszę je umyć i przekazać andarmerii polowej w Agrigento.

Barbera na powrót przykrył sieranta kocem.

— Dziś w nocy zamierzałem przewieźć inne zwłoki do Agrigento. Siedź tutaj, proszę zająć się.

Prowadząc za sobą Koeniga, podszedł do drzwi sali, gdzie przygo-

towywano nieboszczyków, otworzył je i wysoko uniósł lamp , eby major mógł zobaczyć zwłoki starca. W ciemno ciach szafy stojcej w głbi sali Carter nagle osunął się na Ros , która mocno objęła go rękami.

— Mog przy okazji zabrać ciało sieranta — rzekł Barbera. — Oczywiście potrzebna mi będzie przepustka, panie majorze. Przypuszczam, że dzisiejszej nocy pańscy żołnierze obstawią wszystkie drogi.

Ruszył z powrotem za Koenigiem. Carter czekał w ciemno ciach, cierpiąc potworny ból w płucu. Wydawało mu się, że umiera. Rozpaczliwie przywarł do dziewczyny, jakby uosabiała życie. Czuł miękkość jej ciała i mocno przyciśnięte piersi.

Jedną próbując opanować ból, a ona zamknęła mu usta swoimi wargami i zaczęła poruszać językiem, jak gdyby chciała stłumić ten jęk. Mimo nieznośnego bólu ciało majora zareagowało na jej wywizczony dźwięk.

Po chwili Rosa ostro nie otworzyła drzwi szafy. Carter wyszedł i oparł się o stół. Słyszał samochody wyjeżdżące z podwórka.

— Co chciała zrobić, zabić mnie czy wyleczyć? — spytał gderliwie.

— Mamy takie powiedzenie, panie majorze. Jest mierzdu a i mierzduła, powtarzająca się wiele razy. Którby pan wolał?

Popatrzył z góry na jej młodocianą twarz, ale równocześnie nie starł się, ale nim zdążył odpowiedzieć, wszedł Barbera z przepustką w rękę.

— Podpisana przez samego majora Koeniga. Otworzy nam kład blokady na drodze stąd do Agrigento. Przy odrobinie szczęścia mimo wszystko zdąży na ten łódź podwodną.

— Jakim cudem? — spytał Carter.

— Nawet bym o tym nie marzył bez ukrytego schowka. Akurat się przyda. Oczywiście będziesz leżał płasko na plecach, mając dwie trumny z nieboszczykami kilka centymetrów nad nosem, ale gwarantuję, że nic nie poczujesz — odparł Barbera z uśmiechem. — Trzymaj się mnie, staruszkule, a nie zginiesz.

Rozdział trzeci

Ju-52, którym przyleciał z Rzymu feldmarszałek Albert Kesselring, wylądował w bazie Luftwaffe w Punta Raisi pod Palermo tu po dziesięciu dniach. W godzinach późnych Kesselring znajdował się w sztabie armii niemieckiej, w starym benedyktyńskim klasztorze niedaleko Monte Pellegrino, pijąc kawę w gabinecie generała-majora Karla Walthera, który czasowo pełnił obowiązki dowódcy.

— Wspaniały — odezwał się Kesselring, pokazując ręką widok. — Zupełnie nadzwyczajny, zresztą tak samo jak kawa.

— Jemę sobie kawkę — odparł Walther, nalewając mu następną filiżankę. — Wciąż jako udaje nam się korzystać tutaj z niektórych przyjemności życia.

— Mielibyśmy pewne kłopoty z przejazdem przez miasto. Wydaje się, że wszędzie odbywają się jakieś religijne procesje.

— To co w rodzaju wiązki tego tygodnia. Wszystko wtedy ustaje. Oni są bardzo religijnym narodem.

— Na to wygląda — rzekł Kesselring. — Kiedy mijała nas jedna taka procesja, zauważyłem pewną niezwykłą rzecz. Niesiono obraz, na którym Matka Boska miała serce przebite nożem.

— To typowo sycylijskie — stwierdził Walther. — Wszędzie ten ich kult śmierci.

Kesselring odstawił filiżankę.

— No dobrze. Co mam teraz robić ?

— Dziś rano jest ich ośmiu. Wszyscy mają złazne Krzyże pierwszej klasy poza dwoma, którzy zdobyli sobie szczególne uznanie feldmarszałka.

— Obejrzymy ich sobie.

Walther otworzył drzwi i wyprowadził Kesselringa na kamienny taras z kolumnami połączonymi elazn krat. W dole, na dziedzińcu, stało w szeregu ośmiu żołnierzy.

— Ten na końcu to Koenig, panie feldmarszałku — poinformował go Walther. — Obok niego Sturmscharführer Brandt.

— To on ma dostać Krzyż Kawalerski?

— Koenig już dwukrotnie wystawiał jego kandydaturę.

Kesselring pokiwał głową.

— No to jedźmy z tym.

Major Max Koenig miał dwadzieścia sześć lat, a wyglądał na dziesięć lat więcej. Brał udział w walkach w Polsce, Francji i Holandii. W 1941 roku przeniesiono go do nowo sformowanego 21 Batalionu Spadochronowego SS — akurat, by został uczestniczyć w desancie na kreteńskie lotnisko Maleme, gdzie został ciężko ranny. Potem była ofensywa zimowa w Rosji. Z dwuletniej służby na froncie wschodnim wyniósł złoty odznak za pięć ran, ogólne wyczerpanie i puste spojrzenie swoich ciemnych oczu.

Poza oficerską czapkę ze srebrnymi trzpiącami i dystynkcjami majora SS na kołnierzyku wszystko wskazywało, że jest spadochroniarzem: bluza, spodnie i buty, w które wsunięte były nogawki. Na lewym rękawie miał naszywkę z dumką noszoną przez tych, co znajdowali się w pierwszym rzucie podczas inwazji na Kretę. Na lewej piersi obok Krzyża elaznego był przypięty srebrno-złoty orzeł skoczka Spadochronowego. Na szyi majora wisiał Krzyż Kawalerski z dwiema gwiazdami.

Stojąc w szeregu na spoczynku w oczekiwaniu dekoracji, wydawał się dziwnie obojętny, ale nie omieszkał powiedzieć kilku stosownych słów Sturmscharführerowi Brandtowi, dla którego była to niezwykle ważna uroczystość.

— A więc, Rudi, wreszcie nadeszła twoja wielka chwila — szepnął.

— Dziękuję panu, majorze.

Brandt był synem właściciela gospody w austriackim Tyrolu. Ten niski, twardy mężczyzna mógł cały dzień wspinać się po górach bez chwili odpoczynku. Od przeszło dwóch lat walczył u boku Koeniga.

Na kamiennych stopniach zastukały buty. Pojawił się Kesselring z generałem Waltherem i ktoś zawołał: „Baczno!”

Uroczysto odbywała się w przyjemnej atmosferze, Kesselring był bowiem w dobrym humorze i jak zwykle czarujący. Przypinał c odznaczenia, dla każdego żołnierza miał kilka ciepłych słów. Wszyscy chcieli z nim rozmawiać, czego należało się spodziewać — przecie to sam głównodowodzący niemieckich armii na południu i bezspornie jeden z sześciu najlepszych dowódców na frontach II wojny światowej.

Kiedy podeszli do Brandta, Kesselring zdobył się na wspaniałomyślny gest: zapomniał o swojej randze, poklepał Brandta po ramieniu i gorąco ucałował jego dłoń, zanim powiesił mu na szyi wymarzony krzyż.

— Mój drogi, to dla mnie naprawdę ogromna przyjemność, zapewniam ci żołnierzu żołnierza. Już dawno ci się należało.

Brandt był bardzo przejęty i Koenig nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Mistrzowskie posunięcie, ale przecie Kesselring wiedział, jak postąpić z żołnierzami. Feldmarszałek stanął teraz przed Koenigiem z lekko krzywym uśmiechem, jakby zauważył jego reakcję i prosił, by niczego nie popsuł.

— Cóż mogł powiedzieć, majorze? Jest pan dopiero trzydziestoletni, która otrzymuje miecze od czasu ustanowienia tego odznaczenia. W normalnych warunkach sam Führer pragnąłby osobiście panu nadać udekorowanie, ale teraz mamy szczególną sytuację. Bardzo się jednak cieszę, że ten honor przypadł w udziale właśnie panu.

Przez chwilę trzymał Koeniga za ramiona, a potem go objął, jakby w nagłym przypływie wzruszenia.

Pijcie sobie w gabinecie Walthera koniak przed obiadem, powiedział:

— Ten młody człowiek sprawia bardzo dobre wrażenie.

— Z całą pewnością — zgodził się Walther.

— Skromny, prawy, rycerski. Wspaniały żołnierz. Każdego członka Waffen SS chciałby być takim. Zaproszcie go tutaj i miejmy to za sobą.

Walther nacisnął guzik na biurku i po chwili zjawił się jego adiutant.

— Poproś majora Koeniga — rzucił generał.

Adiutant się wycofał i wszedł Koenig. Zatrzymał się przed biurkiem i stuknął obcasami, salutując po wojskowemu uniesieniem ręki do daszki czapki.

— Proszę sobie wziąć krzesło i usiąść, majorze — powiedział feldmarszałek.

Koenig zrobił, co mu kazano. Kesselring odwrócił się do niej wojskowej mapy Sycylii, wskazując na cianie.

— Wiem, że złożył pan prośbę o przeniesienie.

— Tak jest, panie feldmarszałku.

— No cóż, została załatwiona odmownie.

— Czy wolno mi spytać dlaczego?

— Mogłbym oczywiście powiedzieć, że z powodu tej srebrnej płytki, którą uzupełniono ubytek kości w pańskiej czaszce, jest pan już niezdolny do wykonywania skoków z samolotu. Nie muszę jednak tego robić, bo spełnia pan niezwykle ważne zadanie tutaj, na Sycylii.

— W centralnej części gór, szczególnie w rejonie Cammaraty, zaznacza się duża aktywność partyzantów. Byłoby to fatalne dla naszych interesów w wypadku inwazji — wtrącił Walther.

— Myślałem, że aliancy zamierzają najpierw zaatakować Sycylię, panie generale — zdziwił się Koenig.

Walther z Kesselringiem popatrzyli na siebie. Feldmarszałek się dźwiżył.

— Proszę, niech mi pan powie. Nie widzę powodu, aby nie.

— Właściwie tak bardzo się pan nie myli, majorze — oświadczył Walther. — Najwyższe dowództwo w Berlinie, sam Führer uważa, że celem inwazji będzie Sardynia.

— Kilka tygodni temu na pewnym plaży w Hiszpanii morze wyrzuciło ciało angielskiego kuriera — mówił dalej Kesselring. — Był to major królewskiej piechoty morskiej. Miał ze sobą korespondencję dla marszałka Alexandra, który jest w Tunezji, a także list lorda Louisa Mountbattena do sir Andrew Cunninghama, naczelnego dowódcy Floty Ródeimnomorskiej. Treść tych listów jednoznacznie wskazuje, że celem inwazji alianckiej będzie Sardynia i Grecja. Kiedyś atak na Sycylię byłby odwracaniem naszej uwagi.

Na chwilę zapadło milczenie, które przerwał generał Walther: — Interesowałaby nas pańska opinia. Proszę się nie krępować.

— Cóż ja mogę powiedzieć, panie generale — odparł Koenig, wzruszając ramionami. — Czasami zdarzają się cuda, nawet w dzisiejszych czasach. Przypuszczalnie jednym z nich jest wyrzucenie przez morze tego angielskiego majora w tak dogodnym momencie, że nasi agenci mogli przechwycić listy, które miał ze sobą.

— Ale na ogół pan nie wierzy w cuda? — spytał Kesselring.

— Nie, od czasu, gdy przestałem czytać bajki braci Grimm, panie feldmarszałku.

— Bardzo dobrze — stwierdził Kesselring i przeszedł do rzeczy. — Prosz o pa sk włas n ocen sytuacji na wyspie.

Koenig wstał i zbli ył si do mapy.

— Je eli chodzi o partyzantów, działaj oni w dwóch głównych grupach: separatystów, którzy chc niezależ nej Sycylii, oraz komunistów, a wszyscy wiemy, czego oni chc .

— Wzajemnie podrzynaj sobie gardła z tak sam ochot jak nam.

— Generał Walther wyja nił mi, co to jest mafia — rzekł Kesselring. — Czy to siła, z któr nale ałoby si liczy ?

— Tak, my l , e ma rzeczywist władz , cho na pozór wygl da to inaczej, a poza tym jest organizacj specyficznie sycylijsk . Mussolini i Włochy nic dla niej nie znacz .

— A je li dojdzie do inwazji, to b dzie walczyła?

— O, tak. Uwa am, e b dzie — odparł Koenig, kiwaj c głow . — Wszyscy jej członkowie wezm w tym udział. Naszym głównym zmartwieniem stanie si wówczas sama armia włoska.

— Tak pan s dzi? — spytał Kesselring.

Koenig wzi ł gł boki oddech, zanim zdecydował si odpowiedzie ,

— Szczerze mówi c, panie feldmarszałku, uwa am, e naród włoski stracił ju wszelkie zainteresowanie wojn , jakie w ogóle kiedykolwiek miał, i cały entuzjazm dla Mussoliniego.

Po chwili milczenia Kesselring si u miechn ł.

— Do celna ocena. Nie mógłbym si z ni nie zgodzi . Wi c s dzi pan, e celem inwazji b dzie Sycylia?

Koenig przeci gn ł palcem po mapie wzdłu drogi prowadz cej z Palermo na południe, do Agrigento.

— To najwa niejsza droga na Sycylii, przechodz ca przez Cammarat , najdzikszy i najbardziej niedost pny rejon wyspy. Partyzanra na tym terenie znacznie si ostatnio uaktywnili. Nasi informatorzy donosz , e Amerykanie zrzucili tam kilku agentów na spadochronach, lecz dotychczas adnego z nich nie udało nam si złapa .

Kesselring podniósł z biurka jak teczk z dokumentami.

— Ale tego człowieka ju pan prawie miał — powiedział otwieraj c j . — Major Harry Carter, szef sekcji włoskiej Zarz du Operacji Specjalnych w Kairze. Miał go pan, Koenig, i pozwolił mu si pan wymkn .

— Z całym szacunkiem, panie feldmarszałku, ale moje zadanie polegało tylko na dostarczeniu wsparcia naziemnego — stanowczo

sprostował Koenig. — Sprawa ta była w rękach Geheimefeldpolizei i gestapo. Chciałbym również przypomnieć, panie feldmarszałku, że z tego, co niegdyś było batalionem, dzięki Rosjanom pozostało mi zaledwie trzydziestu pięciu żołnierzy, a poza mną nie ocalał ani jeden oficer.

— No cóż, ale schwytanie Cartera miałooby dla wywiadu pierwszorzędne znaczenie i Berlin w osobie Reichsführera Himmlera nie jest zadowolony. Dlatego też wydał rozkaz przeniesienia z Rzymu jednego ze swoich najbardziej zaufanych oficerów, by pracował tu z panem.

— Rozumiem, panie feldmarszałku — rzekł Koenig. — Czy to oficer Gestapo?

— O, nie. Ktoś znacznie ważniejszy — poważnym tonem odparł Kesselring, a potem zwrócił się do generała: — Proszę wezwać majora Meyera.

Meyer, który wszedł, był przysadzisty, szeroki w barach, miał płaską czołową część twarzy i zimne niebieskie oczy. Koenig natychmiast zorientował się, co to za typ, w służbie bezpieczeństwa bowiem pracowało mnóstwo takich ludzi: eks-policjant, nawykły przede wszystkim do kontaktów z przestępczym podziemiem. Na polowym mundurze SS nosił tylko jedno odznaczenie: Order Krwi, bardzo ceniony medal, wybitny specjalnie dla tych, którzy w czasach Republiki Weimarskiej siedzieli w więzieniach za sprawy polityczne. Najbardziej interesujące były litery RDSS, wyszyte srebrną nitką na mankietach i kawa. Oznaczały, że major należał do osobistego personelu Reichsführera SS, Heinricha Himmlera.

— Major Franz Meyer, major Koenig — dokonał prezentacji Walther, a tymczasem Kesselring spojnął w okno, paląc papierosa.

Wywieszonym okiem policjanta Meyer natychmiast zauważył bardzo nieregularny mundur Koeniga oraz Krzyż Kawalerski z dwiema gwiazdami i mieczami.

— Miło mi, majorze — powiedział.

Koenig odwrócił się do Kesselringa:

— Słuchaj, jest tu pewien kłopot, panie feldmarszałku. Kto będzie dowódcą? Okazuje się, że obaj z Meyerem mamy ten sam stopień.

— Mam nadzieję, że nie będzie żadnych trudności — spokojnie odparł Kesselring. — Ja to widzę tak: pan weźmie na siebie czysto wojskowe strony operacji, major Meyer za, że tak powiem, bardziej polityczne aspekty.

— Zapewniam pana feldmarszałku, że z mojej strony nie będzie żadnych problemów — rzekł Meyer.

— Znakomicie — stwierdził Kesselring z chłodnym uśmiechem. — A teraz proszę nas zostawić samych, Meyer. Mam jeszcze kilka spraw do omówienia z majorem Koenigiem.

Meyer stuknął obcasami, zaprezentował imponującą „Heil Hitler!” i wyszedł.

— Wiem, co pan chce powiedzieć, Koenig — odezwał się Kesselring, kiedy za Meyerem zamknięły się drzwi. — Ma pan całkowitą słuszną rację. Będzie pan w bardzo trudnej sytuacji.

— Niesłuchanie trudnej, panie feldmarszałku. Zupełnie stracił władzę wynikającą z mojej rangi, bo ta kanalia będzie mi się do wszystkiego wtrącać.

Koenig był wściekły i nie ukrywał tego.

— Ranga tutaj prawie się nie liczy — powiedział Kesselring. — Jako członek osobistego personelu Reichsführera on zawsze będzie miał znaczny wpływ na pewne sprawy, gdyby nawet chodziło o mnie. Zrobiłem jednak najlepszą rzecz, jaką mogłem uczynić dla pana w tych okolicznościach...

Skinięty na Walthera, który wręczył Koenigowi ósmo kopert, Koenig zaczął ją otwierać.

— Nie, proszę, to zostawić na pół — rzekł Kesselring i wyciągnął do niego rękę w jeszcze jednym nieoczekiwanym geście. — Wyszczucia. Będzie panu bardzo potrzebne.

Koenig zaszalutował i wyszedł.

W hallu czekał na niego Franz Meyer udając, że czyta ogłoszenia na tablicy.

Nie lubił Koeniga od pierwszej chwili, lecz nie dlatego, że zazdrościł mu orderów. Przyczyniły się do tego znacznie głębiej: tamten był delfinem, synem generała-majora Luftwaffe, Meyer zaś trzecim dzieckiem hamburskiego szewca, który ostatnie dwa lata I wojny światowej przesiedział w okopach, a w latach dwudziestych, jak tysiące innych Niemców, cierpiał głód, winę za to obarczając Anglików, Francuzów i Żydów. Kiedy pojawił się Fuhrer, człowiek z ludu, i dał narodowi nadzieję, Meyer słuchał mu od samego początku, był jednym z pierwszych członków partii w Hamburgu. Order Krwi przypinał mu właśnie sam Fuhrer. Tacy Koenigowie, co uważali się za panów świata stojących znacznie wyżej od Meyera, nie byli godni nawet czyścić mu butów.

Odwrócił się, kiedy nadszedł Koenig.

— A, jest pan, majorze. Chciałbym jak najszybciej omówić moje obowiazki. Na przykład ta afera z Carterem...

— To sprawa gestapo, nie moja — odparł Koenig wkładając rękawiczki. — Ja tylko zapewniałem wsparcie.

— Zamordowano cennego funkcjonariusza, Carterowi pozwolono zwiadzać, a mimo to nie wziął pan w Bellonie zakładników, nie zarządził żadnych represji.

— Jestem żołnierzem, nie rzeźnikiem. Jeśli pan tego nie odróżnia, proszę się zwrócić do feldmarszałka.

— Słuchaj jeszcze inni, do których mógłbym się zwrócić — spokojnie odpowiedział Meyer. — Reichsführer Himmler z pewnością bardzo by zainteresował oficera wygłaszającego takie zdania.

— Wiem, proszę mi to powiedzieć, a jestem przekonany, że nie omieszka pan tego zrobić — rzekł Koenig, kierując się do wyjścia.

Zszedł po stopniach i zbliżył się do łazika, w którym za kierownicę czekał na niego Brandt.

Podczas jazdy do Palermo Koenig palił papierosa. Był w ciekawości.

— Zatrzymaj się, Rudi — odezwał się wreszcie. — Muszę się trochę przejechać.

Brandt podjechał do wejścia na cmentarz Pellegrino. Koenig wysiadł, przeszedł przez bramę i ruszył między równymi szpalerami cyprysów.

Zatrzymał się przy białym marmurowym nagrobku, ozdobionym figurką naturalnej wielkości, przedstawiającą w. Rozalię z Pellegrino. — W twoim życiu nie widziałem takiego bezgłowego — powiedział do zbliżającego się Brandta.

— Co tam się stało? — spytał Brandt.

— O, nic wielkiego. Wsadzili mi na kark pewnego majora, niejakiego Meyera z osobistego personelu Himmlera. To wszystko. Feldmarszałek bardzo mi współczuł, ale niewiele mógł zrobić.

Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę, Koenig upuścił kopertę, którą dał mu Kesselring. Kiedy zapalał papierosa, Brandt ją podniósł.

— Proszę, panie majorze — powiedział sierżant, podając mu kopertę.

— Kesselring dał mi to na pożyczenie — poinformował go Koenig. — Otwórz ją i zobaczymy, czego nie miał odwagi powiedzieć mi osobiście.

Odwrócił się i popatrzył na morze. Usłyszał rozdzieranie koperty, a potem radosny okrzyk sieranta. Obejrzał się. Uśmiechnął się. Brandt wybiegł do niego ręką z listem.

— To awans, panie pułkowniku.

Przez dłuższą chwilę Koenig wpatrywał się w sieranta zdumionym wzrokiem, a wreszcie chwycił list. Nie zwrócił uwagi na urzędowy styl; najważniejsze, że Brandt miał rację. Kesselring rzeczywiście go awansował. Spojrzał na kopertę i dopiero teraz spostrzegł, że była zaadresowana do Obersturmbannführera Maxa Koeniga. Co wtedy powiedział feldmarszałek? „Zrobiłem jednak najlepszą rzecz, jaką mogłem uczynić dla pana w tych okolicznościach”.

Klepnął Brandta w ramię.

— Rudi, należałoby to uczcić.

Kiedy wracali do samochodu, Koenig się roześmiał.

— Mój Boże, chciałbym zobaczyć minę Meyera, kiedy się o tym dowiedzie.

Rozdział czwarty

Cztery tygodnie pó niej przed bogato zdobionym wej ciem do willi w Dar el Ouad zatrzymał si d ip, z którego wysiadł Harry Carter. Wolno, bez po piechu wszedł po stopniach i znalazł si w chłodnym, mrocznym hallu.

Cusak podniósł wzrok znad biurka i natychmiast si zerwał.

— Miło znów pana widzie , majorze.

— Mam nadziej , e jestem oczekiwany.

— Zgadza si , panie majorze. Zawiadomi generała Eisenhowera, e pan ju jest.

Kapitan znikn ł, a Carter wyszedł na taras. Przypomnił sobie, e zaledwie przed sze cioma tygodniami stał w tym samym miejscu. Znowu poczuł ból w klatce piersiowej, lecz mimo to, cho mo e wła nie dlatego, wyj ł z kieszeni star srebrn papiero nic , wybrał sobie papierosa, zapalił go i bardzo ostro nie si zaci gn ł.

Usłyszał szybkie kroki, odwrócił si i zobaczył Cusaka.

— Generał w tej chwili pana przyjmie, panie majorze.

Stoj c przed biurkiem, Carter miał dziwne wra enie, jakby czas cofn ł si o sze tygodni. Eisenhower spojrział na niego i zmarszczył brwi.

— Dobrze si pan czuje, majorze?

— Nic mi nie jest, panie generale. Zastanawiam si tylko, czy tera niejszo nie pomieszała mi si z przeszło ci .

Eisenhower si u miechn ł.

— O, zapewniam pana, e to nasze drugie spotkanie. Mnie równie

to się zdarza. Proszę usi... — Wyjął jak teczki z dokumentami i otworzył ją. — Pański raport przeczytałem z dużym zainteresowaniem. Carter przysunął sobie krzesło.

— Dzięki, panie generale — rzekł i się zawahał. — Czy planuje pan inwazję na Sycylii?

Eisenhower podniósł wzrok i odpowiedział spokojnym głosem:

— W ciągu najbliższych kilku tygodni Anglicy pod dowództwem generała Montgomery'ego wylądują na wschodnim krańcu wyspy, a generał Patton z VII Armii na południowym brzegu i uderzy w kierunku Palermo. Czy to pana zaskoczyło?

— Właściwie nie, panie generale, choć na Sycylii od wielu miesięcy panuje głębokie przekonanie, które zdają się podzielać także Niemcy, że celem inwazji będzie Sardynia.

— Właściwie nie o to nam chodzi, by tak myśleli. Wróćmy jednak do pytania, które panu zadałem, kiedy był pan tutaj poprzednim razem. Jak wynika z pańskiego raportu, wydaje się pan pewien, że Waszyngton ma zbyt wielkie nadzieje na kontakt z mafią.

— Obawiam się, że tak, panie generale.

Na krótką chwilę zapadło milczenie. Eisenhower ponurym wzrokiem wpatrywał się w teczki z dokumentami.

— No dobrze, a jak pan to widzi?

— Có... istnieje pewien człowiek, panie generale, niejaki Luca. Don Antonio Luca. Na Sycylii znajdywał go jako *capo di tutti capi*. Szef wszystkich szefów. W tysiąc dziewięćset czterdziestym aresztowali go faszyści i przewieźli do więzienia w Neapolu. Uciekł stamtąd jeszcze tego samego roku, wrócił na wyspę i od tego czasu się ukrywa. To jedyny człowiek, którego słuchają wszyscy Sycylijczycy. Nie chciałbym byś bliźniakiem, ale na Sycylii jest ważniejszy od papieża.

— Wiacie niech go pan odnajdzie — powiedział Eisenhower.

— On tego nie chce, panie generale.

— A szukał go pan?

— Próbowałem, ale nikt nie chce puścić pary z garby. Miałem jednak większe szanse niż pana rodacy. On nie lubi Amerykanów. Zdaje się, że miał młodszego brata, chyba Cesarego, który przemycił rum przez Wielkie Jeziora w czasach prohibicji. Pewnej nocy w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewięćtym wpadł w zasadzkę zorganizowaną przez konkurencyjny gang i sam zabił trzech ludzi. Skończył na krześle elektrycznym następnego roku.

Eisenhower wstał.

— Wszystko, czego mi potrzeba, to kontakt z mafi — powiedział. Kilkakrotnie przemierzył pokój tam i z powrotem, wreszcie zatrzymał się przed mapą. — Jedno jest pewne: jeżeli George Patton i jego chłopcy będą musieli się przebić do Palermo przez te góry, to będą ginęli tysiącami. Tysiącami.

Słowo to powtórzył szeptem, jakby mówił do siebie. Carter wiedział, że Eisenhower powrócił imiennie do bitwy pod Kaserine, gdzie zginęło mnóstwo młodych niedoświadczonych żołnierzy amerykańskich z oddziałów rozgromionych przez doborowe jednostki Afrikakorps.

Major odchrząknął.

— Jeżeli można, panie generale, mam pewną propozycję.

Eisenhower odwrócił się z uwagą.

— Słucham.

— Mimo wszystko wciąż mi się wydaje, że Luciano jest kluczową postacią w tej całej sprawie. Ma niekwestionowane wpływy w mafii sycylijskiej. On mógłby załatwić kontakt z Luką. Wystarczy namówić Lukę, aby wyszedł z ukrycia i zadeklarował się po naszej stronie. Jeżeli to zrobi, panie generale, wówczas na sto procent będziemy mieli mafii za sobą.

Eisenhower przez dłuższą chwilę patrzył na Cartera i wolno pokiwał głową.

— Niech mnie szlag trafi, majorze, ale chyba ma pan rację.

— A więc załatwi pan, aby wywiad w Waszyngtonie natychmiast się tym zajął, panie generale? — spytał Carter. — Mogliby znów skontaktować się z Lucianem w ciągu paru dni.

— Pomyśl o tym — odparł Eisenhower i spojrzał na zegarek. — A teraz musi mi pan wybaczyć. O tej porze urywaj się telefony z Waszyngtonu. Najczęściej rozmawiam z prezydentem. On lubi wszystko wiedzieć.

— Już wychodzę, panie generale.

Carter wstał, włożył czapkę i zsalutował. Eisenhower odpowiedział mu niedbałym gestem, ponownie zajął się dokumentami. Kiedy Carter otwierał drzwi, generał zawołał:

— O jedenastej chciałbym znowu tu pana widzieć.

Carter odwrócił się zdziwiony.

— O jedenastej wieczorem, panie generale?

— Właśnie, majorze — odparł Eisenhower, nie podnosząc wzroku.

Carter zamknął drzwi, stał przez chwilę, a potem ruszył przez hall

do wyjścia. Zbiegł po stopniach i podszedł do drzwi. Kiedy usiadł obok kierowcy, spojrzął na zegarek. Było już po szóstej. Miał prawie pięć godzin wolnego czasu.

— Dokąd teraz, panie majorze? — spytał kierowca, młody szeregowy, który wyglądał najwyżej na szesnaście lat.

— Znasz bazę RAF-u w Maison Blanche?

— No pewnie, panie majorze. Stąd jakie półtorej godziny jazdy.

— Wietnie — rzekł Carter. — Zawieź mnie tam.

Douglas DC-3, słynna dakota, jest prawdopodobnie najbardziej udanym samolotem transportowym, jaki kiedykolwiek zbudowano, lecz ten, którym podpułkownik Harvey Grant wracał z Malty do bazy w Maison Blanche tuż przed zapadnięciem zmroku, z pewnościami najlepszymi dniami miał za sobą.

Nie był to samolot, którym Grant latał regularnie. Ta stara dakota odbywała rutynowe rejsy na Maltę i z powrotem trzy razy w tygodniu, wołała zaopatrzenie medyczne. Tego ranka dywizyjny pilot się rozchorował, a ponieważ nie dało się zorganizować natychmiastowego zastępstwa, Grant skorzystał z okazji, by oderwać się od biurka dowódcy eskadry, i sam poprowadził samolot. Było to wbrew regulaminowi, zaledwie bowiem przed sześcioma tygodniami Dowództwo Sił Powietrznych na Bliskim Wschodzie zakazało mu wszelkich lotów operacyjnych.

Teraz siedział za wolantem samotny i szczęśliwy, fałszywie pogwizdując przez dziurę. Dwaj sierżanci, którzy konwojowali dostawę, spali gdzieś w głębi kadłuba.

Harvey Grant, niski mężczyzna o ciemnych, żywych oczach, miał dwadzieścia sześć lat. Był synem farmera z Parker w stanie Iowa. Na jego życie największy wpływ wywarł młodszy brat ojca, Templeton Grant, który latał w Królewskim Korpusie we Francji. To właśnie dzięki niemu w wieku szesnastu lat nauczył się pilotować samolot. Później studiował prawo w Harvardzie, bardziej dla zaspokojenia ambicji ojca niż z jakichkolwiek innych powodów. Potem była paryska Sorbona, lecz po wybuchu wojny natychmiast wstąpił do RAF-u.

Podczas Bitwy o Anglię latał na hurricane'ach i został dwa razy zestrzelony, ale na swoje konto zapisał jedną z niemieckich myśliwców. Potem przeniesiono go do lotnictwa bombowego. Pierwszą pełną turę lotów odbył na Wellingtonach, drugą na Lancasterach, wówczas już jako major odznaczony jednym medalem i dwoma krzyżami zasługi.

Następnie była 138 Eskadra do Zadania Specjalnych w Tempsfordzie, słynna „Księżycowa Eskadra”, zajmująca się zrzucaniem agentów w okupowanej Europie i w razie potrzeby transportowaniem ich z powrotem do Anglii.

Grant odbył trzydzieści takich lotów przed kolejnym awansem i przeniesieniem do Maison Blanche, gdzie robił to samo, latając pomalowanymi na czarno halifaxami z Algierii na Sycylię i do Włoch.

Wszystko to jednak należało do przeszłości. Teraz został oficjalnie uziemiony; dowództwo uznało, że nie wolno ryzykować utraty tak cennego pilota, choć zdaniem Granta był to po prostu kolejny manewr Korpusu Lotniczego Armii Amerykańskiej, który zgotował mu los, jakiego zdecydowanie chciał uniknąć.

Znajdował się na południowy zachód od Pantellerii na chwilę przed zapadnięciem nocy — księżyc bladym światłem oblewał już chmury — gdy cisza wieczoru rozdarł ryk silników. Dakota zaczęła w ciemności i Grantowi ledwie udało się ją opanować, kiedy przeleciał nad nim jakiś samolot, który potem skręcił w lewo.

Poznał go od razu: Junkers-88, na pozór niezgrabny, czarny dwusilnikowy samolot z tymi dziwnymi antenami radarowymi, co okazały się tak skuteczne podczas ataków na bombowce RAF-u dokonujących nocnych nalotów w Europie. Grant do walki miał jedynie swoje umiejętności, Dakota bowiem nie była uzbrojona.

Otworzyły się drzwi i do kabiny zajrzeli obaj konwojenci.

— Trzymajcie się — powiedział Grant. — Spróbuj, go zmusi do popełnienia jakiegoś głupstwa.

Szybko skierował samolot w dół. Junkers zawrócił i błyskawicznie się zbliżył, zbyt wcześnie nie otwierając ogień z działka. Miał tak dużo prędkości, że musiał skręcić w lewo, by uniknąć zderzenia.

Właśnie na to liczył Grant. W dalszym ciągu schodził coraz niżej. Był na wysokości dwóch metrów, kiedy Junkers ponownie zbliżył się od ogona. Tym razem Dakota zatrzasnęła się od uderzenia pocisków z działka. Junkers skręcił w prawo i wyglądało na to, że znów chce zająć pozycję do ataku.

— No chodź, ty draniu! Chodź! — wycedził Grant.

Za jego plecami pojawił się jeden z konwojentów, na twarzy miał krew płynącą z rany odłamka.

— Johnson dostał, panie pułkowniku.

— Dobra — mruknął Grant. — Na podłogę i trzymaj się.

Był już nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów nad falami, gdy Junkers nadleciał, by go dobić. Tym razem dobrze ocenił prędkość Dakoty, zaszedł ją od ogona i ponownie bluznął pociskami. Kiedy samolot zatrzymał się od ich uderzenia, Grant otworzył klapy.

Dakota jakby zatrzymała się w powietrzu. Junkers ostro skręcił w prawo, by uniknąć kolizji, ale wskutek tego manewru gwałtownie stracił prędkość i runął do morza.

Grant szedł w stronę kasyna oficerskiego w Maison Blanche, szurając butami po polu startowym. Był przygnębiony, lecz nie bez powodu. Wciąż przed oczami miał Junkersa wpadającego do morza i wyobrażał sobie ludzi w jego wnętrzu. To musiało być straszne. Wszedł na stopnie prowadzące do kasyna i wówczas zobaczył stojącego przy wejściu Harry'ego Cartera.

— Harry! — wykrzyknął ucieszony. — Słyszałem, że leżysz w szpitalu w Kairze.

— Już nie — odparł Carter. — Załatwiałem pewną sprawę z generałem Eisenhowerem w Dar el Ouad, a mając trochę wolnego czasu, pomyślałem sobie, że wpadnę tu na godzinkę czy dwie i zobaczę, jak ci leci.

Kiedy Cartera dwukrotnie zrzucano na Sycylii, w obu wypadkach pilotem samolotu, z którego skakał, był Grant, co ich do siebie zbliżyło.

— Nie masz ochoty się napić? — spytał Grant.

— Właściwie nie. Lepiej się przejdźmy.

Ruszyli w stronę hangarów.

— Słyszałem, że dziś wieczorem załatwiłeś jeszcze jednego — odezwał się Carter.

— Można tak powiedzieć.

— Podobno ci uziemili?

— Całkiem powariowali! Przed paroma tygodniami musiałem się zobaczyć z marszałkiem Sloane'em w sprawach eskadry, a on powiedział, że w prawym policzku drga mi miś. Dostałem skierowanie na badania i ci dranie zabronili mi latać.

Był w ciekły i nie ukrywał tego.

— Możemy wygrać wojnę bez ciebie, Harvey, choć ledwo, ledwo — rzekł Carter i położył mu rękę na ramieniu. — Co ci jest? Powiedz prawdę, co ci jest?

— Ci gło myl o tych ludziach w junkersie. Nie wiem, czym to wytłumaczy, Harry, ale po raz pierwszy czułem się tak, jakbym to ja tam był. Co to może znaczyć?

— To znaczy, że lekarz, który zatrzymał cię na ziemi, doskonale wiedział, co robi.

— A co u ciebie? Znowu zamierzasz tam wrócić?

— Sądzi, że to bardzo prawdopodobne.

— Te niezły pomysł.

Mijali hangar, w którym obsługa naziemna w wietle reflektorów naprawiała paskudnie uszkodzonego halifaxa. Brakowało mu pół ogona i miał strzaskaną kabinę tylnego strzelca.

— Dwa dni temu — powiedział Grant — podczas dokonywania nocnych zrzutów na Sycylii zginął tylny strzelec i nawigator. Harry, Luftwaffe robi tam naprawy, co tylko chce. W ciągu dziesięciu dni stracili my cztery samoloty. Wszystkie zestrzelono, a agenci, którzy mieli być zrzućeni, nawet nie zdążyli wyskoczyć. Gdyby mnie poprosił, abym znowu z tobą poleciał, nie dałbym nam zbyt wielkich szans na dotarcie do celu.

— No cóż — odparł Carter. — Teraz kto inny będzie się o to martwił.

Dotarli do końca głównego hangaru i major ze zdziwieniem spostrzegł stojący w mroku nocny myśliwiec Junkers-88 ze znakami RAF-u wymalowanymi na kadłubie i skrzydłach.

— Rany boskie, co to?!

— Zmuszony do lądowania nad wybrzeżem, kiedy zrzucił dwóch arabskich agentów. Widzisz, zrobili nawet specjalne drzwi w kadłubie. To Ju-88 S, ich najlepszy nocny myśliwiec, wyciąga ponad sześćset kilometrów na godzinę. Przeprowadzili myloty próbne.

— To znaczy ty przeprowadziłeś?

— Aaa... polatało się z godzinką — rzekł Grant, wzruszając ramionami. — Nawet nikt nie zauważył. — Poklepał Cartera po ramieniu. — Co teraz masz na tapecie? Coś tak tajnego, że od tego zależy losy wojny?

— Nic z tych rzeczy — odparł Carter z uśmiechem. — Wojen już nie wygrywają ludzie, Harvey. Prowadzą je duże korporacje, zupełnie jak w wielkim biznesie.

— Być może masz rację. — Grant rzucił niedopałek na ziemię. — Chcesz coś wiedzieć, Harry? Czuję się zmęczony... Naprawdę jestem zmęczony. Nic już mnie nie obchodzi.

— To wojna, Harry. Zbyt długo trwa.
— Dobrze... to znaczy, chciałem powiedzieć, że jest mi już znacznie lepiej. A teraz wracajmy do kasyna i postawię ci jednego.

Kiedy dopiero wiozący Cartera wjechał na dziedziniec willi, stał tam przy sztabowym packard. Carter wszedł po stopniach, minął strażników i zobaczył, że Cusak wciąż siedzi za biurkiem.

— Czy poza panem nikt tu nie pracuje?

— Muszę przyznać, że czasami ja również mam takie same wrażenia — odparł Cusak z uśmiechem. — Proszę chwileczkę, zaczeka, panie majorze. Jest u niego generał Patton. To nie potrwa długo.

Carter wyszedł na taras zastanawiając się, po co Eisenhower chciał się z nim zobaczyć. Może w sprawie sytuacji na Sycylii, ale cóż by było na ten temat do powiedzenia? Wszystko przecie już postanowiono. W ciągu najbliższych dni zacznie się inwazja, zginie pewna liczba żołnierzy, a w końcu Sycylia znajdzie się w rękach aliantów. Niemcy przegrali wojnę, to rzecz oczywista, dlaczego więc po prostu nie skończyć z tym wszystkim i nie przejść do następnego etapu?

Otworzyły się drzwi gabinetu Eisenhowera i wyszedł generał Patton, ubrany w długi płaszcz wojskowy i polowy czapkę. Trzymał ręce głębiej w kieszeniach, jakby mu było zimno.

Idąc przez hall zatrzymał się, kiedy zobaczył wychodzącego z cienia Cartera.

— Pan nazywa się Carter?

— Tak jest, panie generale.

Patton przyglądał mu się, lekko marszcząc brwi. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, lecz potem zmienił zdanie, odwrócił się i odszedł bez słowa.

Zabrzczał telefon. Cusak podniósł słuchawkę.

— Tak, panie generale? — Uśmiechnął się do Cartera. — Teraz przyjmie pana, majorze.

W pokoju było ciemno, paliła się tylko lampa na biurku, przy którym we mgle dymu z papierosów siedział Eisenhower, pochylony nad teczkę z dokumentami. Po wejściu Cartera generał podniósł wzrok i odłożył pióro.

— Wie pan, kiedy studiowałem w West Point, zapomnieli nam

powiedzie, że ze stanowiskiem głównodowodzącego wiążę się tylko papierkowej roboty.

— Gdyby to zrobili, by może nikt nie zechciałby go objąć, panie generale.

— Właśnie — odparł Eisenhower — uciekajcie się, ale zaraz przybrał rzeczowy ton: — Za dwie godziny z lotniska Bone wystartuje „latajca forteca”. Cel: Prestwick w Szkocji. Stamtąd polecą pan prosto do Waszyngtonu najbliższym samolotem, który będzie miał bezwzględnie pierwsze miejsce. Przy odrobinie szczęścia znajdzie się pan na miejscu jutro wczesnym wieczorem. Przed wyjściem kapitan Cusack przekaza panu dokumentację.

— Obawiam się, że nie rozumiem, panie generale.

— Pewnie, że nie — odparł Eisenhower. — Pan nie ma pojęcia, o czym mówi, więc już pana informuję. Spodobała mi się pana opinia o sytuacji na Sycylii. To miało sens, szczególnie jeżeli chodzi o Antonia Lukę i jego ewentualny wpływ na losy kampanii, gdyby udało się go odnaleźć i przeciwnie na naszą stronę.

— Rozumiem, panie generale.

— Dziś wieczorem rozmawiałem o tym przez telefon z prezydentem. Zgadza się, że warto spróbować wszystkiego, co pozwoliłoby oszczędzić życie naszych chłopców. Mając to na względzie chciałbym, żeby pan udał się do wioski Great Meadow i omówił z Lucianem całą sprawę udziału mafii w inwazji. — Podał Carterowi ósmą kopertę. — Tu jest pańskie upoważnienie do działania w moim imieniu w dowolny sposób, jaki uzna pan w tej sprawie za stosowny. Upoważnienie to stwierdza, że podlega pan tylko mnie, i nakazuje wszystkim cywilom i wojskowym, bez względu na stanowisko czy stopień, udzielać panu pomocy według pańskiego uznania. Podobny dokument, podpisany przez prezydenta, otrzyma pan w Waszyngtonie.

Oszłomiony Carter patrzył na kopertę.

— Ale jak to zrobi, panie generale?

— Skąd, u licha, ja mam to wiedzieć. Niech pan porozmawia z tym człowiekiem i zobaczy, co on powie. Może go pan wyciągnąć z wioski, jeżeli okaże się to potrzebne. Ma pan wszelkie pełnomocnictwa. A więc skorzysta pan z nich czy nie?

Carter od lat nie był tak podniecony. Włożył kopertę do kieszeni bluzy i dokładnie zapisał guzik.

— O, tak, panie generale.

— W porządku. — Eisenhower skinął głową. — I jeszcze jedno.

Załatwiłem panu awans na pełnego pułkownika. Oczywiście tylko na jakiś czas, ale to powinno ułatwić panu zadanie.

Nim Carter zdał odpowiedź, generał włączył lampę, która oświetliła mapę Sycylii. Wstał, spojrzał na nią i nie odwracając się mówił dalej:

— Czy nie dziwi pana, że chcę mieć konszachty z takimi ludźmi jak Luciano?

— Szczerze powiedziawszy, już dawno przestałem się cokolwiek dziwić, panie generale.

— Niemcy spalili Europę, wymordowali miliony ludzi... A trudno uwierzyć w te historie o ich traktowaniu Żydów, a ja jestem Niemcem z pochodzenia. Czy pan wie, jakie to uczucie?

— Wydaje mi się, że tak, panie generale.

— Nie, pan tego nie wie — stwierdził Eisenhower, gwałtownie kręcąc głowę. — Aby ich pokonać, skoro już z tym raz na zawsze, byłbym gotów pokonać się z diabłem.

Rozdział pi ty

Po raz dwudziesty przemierzając spacerniak w Great Meadow, Luciano przy pieszyl, biegł szybko i swobodnie. Potem, jak zwykle, drogą zagroził mu północny mur, więc musiał zwolnić.

Wracał spacerem wśród rozproszonych współwiośniów na swoje stałe miejsce w korytarzu przy schodach, co jakiś czas odpowiadając na pozdrowienia. Czekał tam na niego z rękawiczkami Franco.

— Jest pan coraz lepszy, panie Luciano.

Franco był Sycylijczykiem z Nowego Jorku i miał budowlany zawodowy zapach. Wielokrotnie wykonywał dla mafii mokre roboty, a teraz odsiadywał dożywocie za morderstwo.

Luciano chwycił rzucony rękawiczki.

— W moim wieku te rękawiczki musiał dbać o kondycję. Wziął te rękawiczki z biblioteki?

— Pewnie, ale tak, panie Luciano.

Podał mu tłumaczenie „Miasta Boga” w. Augustyna. Luciano usiadł na schodku i przegłądnął rękawiczki z wyraźnym zadowoleniem.

Był przystojnym czterdziestosemioletnim mężczyzną średniego wzrostu. Miał czarne włosy i zamyśloną, ponurą twarz. Powieka lewego oka z lekka mu opadała — pozostała z dawnej rany. Mimo szarego wierzbiennego ubrania swoim wyglądem zwracał uwagę, i to nie tylko ze względu na minę, pełną aury i pewności siebie, ale również z powodu wiecznego uśmiechu, wyrażającego pogardę dla całego świata.

— Przepraszam, panie Luciano, ale przyszedł tu pewien dzieciak z bloku D, niejaki Walton, i prosi o przysługę.

Luciano podniósł wzrok i zobaczył wysokiego, chudego młodzieńca

o gładko przyczesanych kasztanowych włosach; z przykrótkich rękawów koszuli sterczały mu ręce.

— Za co siedzi? — półgłosem spytał Luciano.

— Napad na sklep alkoholowy. Dostał od roku do trzech. Pierwszy raz.

— Dobra. Zobaczymy, czego chce.

Franco skinął na chłopca, podając Lucianowi papierosa i ogień.

— No, gadaj.

Walton stał, nerwowo miętosił czapkę.

— Panie Luciano, podobno pan wszystko może.

— Nie mogę tylko zamachać skrzydłami i stąd wyfrunąć — powiedział Luciano lekko się uśmiechając. — O co chodzi, chłopcze?

— Wiem, panie Luciano, siedzi tu dopiero dwa miesiące, no i moja siostra Carrie, jest teraz sama, a to jeszcze dziecko. Wszystkiego osiemnaście lat.

— I co?

— Jest taki tajniak w ósmym obwodzie, nazywa się O'Hara. To jeden z tych, co mnie wsadzili. Wie, że ona jest sama, i zaczął się koło niej kręcić. Pan mnie rozumie?

Przez dłuższą chwilę Luciano spokojnie na niego patrzył, a potem skinął głową.

— Dobra. O'Hara z ósmego obwodu. Załatwione — rzekł i wrócił do księgi.

— Może się kiedy panu odwdzięczy, panie Luciano — powiedział chłopak.

— Po to ma się przyjaciół, mały — odezwał się Franco. — A teraz idź.

Kiedy chłopak się odwrócił, Luciano podniósł głowę.

— Czy to prawda, że ten sklep alkoholowy to był twój pierwszy skok?

Walton skinął głową.

— Zgadza się, panie Luciano.

— A ten twój adwokat nie mógł uzyskać nic lepszego niż wyrok od roku do trzech? Powinien załatwić ci zawieszenie.

— Właściwie to nie miałem adwokata... dobrego adwokata. Sąd wyznaczył takiego jednego, który rozmawiał ze mną tylko raz, podczas rozprawy. Powiedział, że najlepiej przyznać się do winy i zdać na łaskę sądu. Nie wiedziałem...

— W porządku! — przerwał mu Luciano, podnosząc rękę w obron-

nym ge cie. — Porozmawiam o tym ze swoim adwokatem, kiedy przyjdzie tu we rod . Mo e jemu uda si co zrobi . Kiedy chłopak odszedł, Franco powiedział:

— Tylko tak dalej, a co rano b dzie tu stała do pana kolejka pod schodami.

Zbli ył si jeden ze stra ników, niejaki O'Tool, starzej cy si Irlandczyk o zm czonym, zgorzkniałym spojrzeniu człowieka, który ju dawno pogodził si z tym, e jest przegrany. Wobec Luciano zdobył si na u miech.

— Naczelnik chce si z panem widzie w swoim gabinecie, panie Luciano.

— Teraz?

— Tak mi powiedział.

Luciano wstał i skin ł Francowi, wci trzymaj c otwart ksi k .

— Tymczasem, Johnny.

Ruszył za O'Toolem przez dziedziniec.

— Pastuj główny hall, wi c przejdziemy przez natryski do tylnych schodów — odezwał si stra nik.

Miał spocone czoło i lekko dr ała mu r ka, kiedy otwierał zamek w drzwiach do natrysków.

Luciano u miechn ł si beztrosko, cho jego nerwy były napi te.

— Co ci jest, O'Tool?

Nagle stra nik wepchn ł go do rodka i zatrzasn ł drzwi. Franco, który stał na rodku dziedzi ca, zerwał si do biegu, ale nie zd ył, bo O'Tool ju si odwrócił, trzymaj c w pogotowiu pałk .

Z najbli szej kabiny wyszedł Walton. Stan ł z całkowicie oboj tn , twarz i patrzył t pym wzrokiem.

— Domy liłem si , e ta twoja historyjka to lipa — powiedział Luciano z u miechem. — Specjalnie ci tu przysłali?

— Zgadza si — odparł Walton, wyjmuj c z kieszeni r k , w której trzymał madonn z ko ci słoniowej. Kiedy nacisn ł stop figurki, wysun ł si z niej pi nastocentymetrowy nó , ostry jak brzytwa. — Osobi cie nic do pana nie mam, panie Luciano, tylko wykonuj robot .

— Kto ci nasłał?

— Fiorelli. Kazał mi przekaza wyrazy szacunku i zostawi pana z pa skim własnym kutasem w ustach. Powiedział, e jako Sycylijezyk b dzie pan wiedział, co to znaczy.

— Pewnie, e wiem — odparł Luciano i praw nog kopn ł Waltona tu pod lew ł kotk .

Walton wrzasnął z bólu, gdy trzasnęła kolumna, i zaczął w ciekłe wymachiwać rękami. Luciano obiema rękami chwycił go za nadgarstek i wykręcił tak mocno, że nóg wypadł na podłogę.

— Skoro masz kogo załatwić, mały, to nigdy tyle nie gadaj, lecz rób to.

Wykręcił mu rękę jeszcze bardziej, trzymając ją niczym w imadle. Walton krzyknął, kiedy mu nie zaczęły pękać ścięgna. Luciano popchnął go na ciankę najbliższej kabiny. Chłopak uderzył twarzą w kafelki, a potem się osunął, zostawiając na nich krwawe ślady.

Luciano podniósł nogę i schował ostrze. Ozdobiona srebrem figurka miała około dwudziestu centymetrów długości i najwyraźniej była bardzo stara. Z pewnością ktoś wyrzebił ją jakiś mistrz. Luciano wsunął ją za pasek na plecach i podniósł księżkę.

Walton już zaczął w kabinie, zgięty w pół. Luciano włączył prysznic — chłopak przywarł do ściany.

— Tymczasem, mały — cicho powiedział Luciano, otworzył drzwi i wyszedł.

O'Tool odwrócił się i spojrzał przestraszonym wzrokiem. Zza strażnika wyskoczył Franco.

— Nic się panu nie stało, panie Luciano? — spytał.

— No pewnie — odparł Luciano — ale ten mały Walton chyba się poplizgnął, biorąc prysznic. Powiedziałbym, że potrzebny mu lekarz.

Franco bez słowa wszedł do łazienki, a Luciano zwrócił się do O'Toola:

— Lepiej już pójdź, bo naczelnik będzie się zastanawiał, co się ze mną dzieje. Mówiłem, że chciał się ze mną widzieć, prawda?

Strażnik obliznął suche wargi.

— Oczywiście, panie Luciano — odpowiedział słabym głosem. — Natychmiast.

Luciano uśmiechnął się i ruszył przez dziedziniec. Franco wyszedł z natrysków, oparł się o ciankę, zapalając papierosa.

— Oj, O'Tool — powiedział cicho ze złowieszczym uśmiechem. — Nie wiem, ile ci zapłacili, ale moim zdaniem popełniłeś chyba największy błąd w swoim życiu.

Harry Carter, ubrany po cywilnemu w granatowy garnitur, stał przy oknie w gabinecie naczelnika w ziewnięciu i patrzył na dziedziniec.

— On nie lubi, kiedy się go nazywa „Szczęściarzem” — powiedział

naczelnik. — Prawdopodobnie otrzymał ten przydomek po tym, jak w tym czasie dziewięćset dwudziestym dziewięćset porwali go gangsterzy z konkurencji, wywieźli w odludne miejsce do lasu na Staten Island, powiesili za kciuki i torturowali. Potem go tam zostawili na pewnym czasie.

— Ciekaw jestem, jak im się odpłacił?

— Wyobraź sobie — odparł naczelnik, podszedł do biurka i otworzył je na blacie teczek z dokumentami. — Charles Luciano, urodzony jako Salvatore Lucania w miasteczku Lercara Friddi pod Palermo dwudziestego czwartego listopada tymczasem osiemset dziewięćdziesiąty tego siódmego roku. W tymczasem dziewięćset siódmym wyjechał do Nowego Jorku wraz z rodziną, o której mógłbym powiedzieć, że to przyzwoici ludzie. Pan wie, jak funkcjonuje mafia, pułkowniku Carter?

— Znam tylko jej sycylijskie odmiany.

— W Nowym Jorku jest prawie samo. Zaczynają ich wprowadzać za młodu. Początkowo są chłopcami, *picciotti*, stopniowo awansują, co nazywają zdobywaniem szacunku. W razie potrzeby wykonują wyroki. Niektórzy z nich dość szybko osiągną kolejny rangę, stają się *sicario*, czyli zawodowym mordercą, specjalistą w tej dziedzinie.

— Wiem — rzekł Carter. — Na Sycylii lubi się do tego używać łupary, dubeltówki z uchwytem. Strzela się z tego z bliska, ale właściwie nie o to chodzi.

— Mówi się, że Luciano sam zabił przynajmniej dwudziestu ludzi, nie licząc tych, których kazał zamordować.

— Jak dysponuje władzą? — spytał Carter. — Chodzi mi o to, czy przecie siedzi w więzieniu, prawda? Co wieczór zamykacie go w celi.

— W więzieniu czy na wolności, to bez znaczenia. Wciąż jest najbardziej wpływową osobą w mafii. Władzę zdobył sobie w czasach prohibicji, przemycając alkohol. Od pozostałych gangsterów różni się przede wszystkim umysłem. To człowiek o ogromnej inteligencji, a przy tym wietny organizator. Kiedy skończyła się prohibicja, postawił na wszelkiego rodzaju dochodowe formy działalności gangsterskiej. Kilka z nich nawet sam wymyślił. W trzydziestym szóstym gubernator Dewey, który wówczas był prokuratorem specjalnie wyznaczonym do tych spraw, postawił go przed sądem za organizowanie prostytutki i uzyskał skazujący wyrok.

— Dziwne — odezwał się Carter. — Co mi tu nie pasuje.

— Nie tylko panu — stwierdził naczelnik z uśmiechem. — Ja jednak nie będę komentował tego faktu. Deweya mianowały władze stanowe. Wiem jedno: zawsze należy się liczyć z tym, co Luciano zrobiło nieoczekiwanego. W czterdziestym pierwszym, tu po Pearl Harbour, siedział w Dannemorze. Zbliżyła się wtedy Bożego Narodzenia, ale w tamtych złych czasach ludzie mieli coś innego w głowie i nikt nie przysłał paczek wiadomości, dopóki Luciano nie szepnął słówka. W wigilię z Nowego Jorku przyjechały trzy ciężarówki pełne prezentów.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Wej! — zawołał naczelnik.

Wszedł Luciano. Obojgnie spojrzeli na Cartera i zwracając się do naczelnika powiedział:

— Pan mnie wzywał.

Naczelnik wstał.

— To jest pułkownik Carter. Reprezentuje rząd i został upoważniony do przeprowadzenia z panem rozmowy w sprawie państwowej wagi, a więc zostawiam panów samych.

Kiedy wyszedł, Carter wyjął z kieszeni swój srebrny papieros.

— Papierosa, panie Luciano?

— A, pan jest Anglikiem.

— Papierosy te są angielskie.

Carter podał mu ogień i Luciano usiadł pod oknem.

— Co, u licha, pan tutaj robi?

— O ile mi wiadomo, ostatnio miał pan gościa z wywiadu marynarki wojennej w sprawie inwazji na Sycylię.

— Rany boskie, znowu?! Już wszystko im powiedziałem, łaczenie z nazwiskami.

— Wiem. Słyszałem, że na wszystkie miasteczka w Cammaracie chcą rzucić flagi z literą L jak Luciano. Czy to był pański pomysł?

Luciano przysunął się do okna i wyjrzał na dziedziniec.

— Ma pan w rękach asa, więc proszę nim zagrać.

— Nie sędzi, żeby te flagi wystarczyły.

— Pan nie sędzi! — zaczął się Luciano. — A w ogóle, u diabła, co panu do tego?

— No pewnie — odparł Carter dobrą sycylijską gwara. — W Cammaracie cięgle mówi o wielkim Lucianie. O Salvatore, zbawcy dla całego pokolenia młodych twardzieli, który wyjechał do Ameryki i tam zdobył władzę, stając się idolem do naśladowania. **Ale**

wyst powa przeciwko faszystowskim czołgom z dubeltówkami tylko dlatego, że kto zrzuca swoje flagi na miasteczka...? Nie s dz . Luciano zmarszczył brwi.

— Sk d pan tak dobrze zna gwar sycylijsk ?

— Przed wojn byłem profesorem uniwersytetu. Zajmowałem si histori staro ytn i archeologi . Sp dziłem mnóstwo czasu na Sycylii, prowadz c tam prace wykopaliskowe.

— Prace wykopaliskowe?

— Odkopywałem stare ruiny.

— A wi c chce pan powiedzie , że wojaczka to tylko dodatkowe zaj cie? Jedynie tymczasowe? Profesor, h ? No to szacuneczek. — Podał Carterowi „Miasto Boga”. — A to pan czytał?

Carter obejrzał ksi k .

— wi ty Augustyn. O, tak. Pan du o czyta, prawda?

Luciano skin ł głow .

— On wiedział, co mówi. Bóg i Szatan, obaj istniej , tylko e Szatan ma przewag .

— Aha, wi c dlatego postanowił pan królowa w piekle?

— To zale y od punktu widzenia. Milton równie wiedział, co mówi. — Luciano lekko si u miechn ł. — Jego te czytałem.

— Wie pan, panie Luciano, obaj zaczynacie mnie interesowa .

— Obaj?

— Ale oczywi cie. Luciano numer jeden, gangster mówi cy niechlujnym j zykiem, jakby miał tego samego scenarzyst , co James Cagney.

— To dla mnie komplement — powiedział Luciano z u miechem.

— Ten facet jest wietny.

— Nast pnie Luciano numer dwa, który czyta wi tego Augustyna, Milтона i mówi sensownie, u ywaj c j zyka wy szych sfer...

— Dobry aktor gra stosownie do poziomu widzów — powiedział Luciano, wzruszaj c ramionami. — A kogo pan dzi gra, *professore?*

Carter si u miechn ł.

— Kupiłem. Jest pan niezwykłym człowiekiem, panie Luciano.

— A pan, profesorze, niezwykłym znawc ludzkich charakterów. Prosz mi powiedzie , czy Tom Dewey wie, że pan tu jest? Kiedy był prokuratorem, robił wszystko, eby mnie załatwi , a teraz prosz bardzo: gubernator stanu Nowy Jork. Biały Dom to nast pny szczebel.

— Uwa a pan, że Dewey nie był wobec pana w porz dku?

— Co jest w porz dku, a co nie? To tylko ycie. Niektóre dzieci

rodz si z krzywymi nogami lub połow mózgu. Czy to w porz dku?
— Wstał i podszedł do okna. — Nie obchodzi mnie, co pan sobie my li, ale prosz posłucha , jak ta sprawa wygl dała naprawd . Byłem szefem gangu. Robiłem wiele rzeczy, ale nigdy nie zajmowałem si dziewczynkami. Tom Dewey próbował mnie załatwi na ró ne sposoby, ale mu si nie udało. W ko cu postawił mnie przed s dem wraz z dziewi cioma innymi facetami, a kilku z nich zajmowało si prostytutce . Pod koniec dnia ława przysi głych nie widziała mi dzy nami ró nicy. To si nazywa domniemany współudział.

— Ładne okre lenie — rzekł Carter.

Luciano odwrócił do niego głow .

— Pewnie, robiłem wiele rzeczy, ale nigdy nie prowadziłem interesu z dziewczynkami. Kiedy ich potrzekowałem, to dzwoniłem do Polly Adler. Miała najlepszy dom publiczny w Nowym Jorku.

Carter wyci gn ł w jego stron r k z papiero nic .

— Mo e jeszcze pan zapali?

— Ch tnie — odparł Luciano, bior c papierosa. — No dobrze, ale czego wła ciwie pan ode mnie chce?

— Kiedy zacznie si inwazja, VII Armia generała Pattona b dzie miała za zadanie przebi si przez najgorsze góry na Sycylii i dotrze do Palermo. Gdyby udało si namówi mafi , eby zorganizowała powstanie ludowe i doprowadziła do poddania si armii włoskiej w Cammaracie bez jednego wystrzału, to mo na by uratowa ycie tysi com Amerykanów. W przeciwnym razie...

— Słuchaj pan, zrobiłem wszystko, o co mnie poproszono — przerwał mu Luciano.

— Wiem, ale jak ju powiedziałem, nie s dz , eby to wystarczyło. Byłem na Sycylii zaledwie przed paroma tygodniami i o wiadczam panu, e tylko jeden człowiek potrafi dokona tego, o co nam chodzi, a tym człowiekiem jest Antonio Luca. On jednak si ukrywa i jest nieuchwytny.

Luciano przestał si u miecha .

— Don Antonio? Zna go pan?

— Poznali my si . A pan?

— Pewnie, e znam. — Luciano pokiwał głow . — W dalszym ci gu dociera do mnie to i owo. Wiem, e wydostał si z wi zienia w Neapolu i wrócił na Sycyli , ale pan tylko traci czas. Gdyby nawet go pan znalazł, to i tak nic z tego, bo on nienawidzi Amerykanów. Jego brat poszedł na krzesło elektryczne w czasach prohibicji. .

— Wiem o tym. A co z jego córk ?

— Sophi ? W czasie pierwszej wojny wiatowej wszyscy my leli, e chodziła do szkoły w Rzymie, a ona została siostr Czerwonego Krzy a. Poznała niejakiego Vaughana, porucznika angielskiej piechoty, który słu ył na froncie włoskim, i wyszła za niego. On zgin ł w ostatnim miesi cu wojny, a ona wróciła do Palermo i zamieszkała z ojcem. W nast pnym roku urodziła córk , Mari , która stała si oczkiem w głowie don Antonia.

— Co było dalej? — spytał Carter, cho wielokrotnie słyszał t histori .

— W lipcu trzydziestego szóstego to dziecko musiało mie jakie siedemna cie lat. Którego dnia jej matka po yczyła od ojca ferrari, bo chciały wybra si po zakupy. Kiedy nacisn ła starter, samochód wyleciał w powietrze. Domy lam si , e temu, kto to zrobił, chodziło o don Antonia.

— Czy Sophia zgin ła?

— Tak. Maria przez jaki czas le ała w szpitalu, ale pewnego dnia po prostu znikn ła. Chyba miała do czasu, eby sobie wszystko przemy le , le c tak długo na plecach.

— To znaczy, e gdyby jej dziadek był kim innym, wówczas wszystko to nigdy by si nie wydarzyło — stwierdził Carter. — Czy kiedykolwiek dała znak ycia?

— Raz napisała do niego z Londynu, e czuje si dobrze, ale nie pragnie si z nim zobaczy . Przez ojca miała angielskie obywatelstwo. Don Antonio wysłał tam swoich ludzi, lecz nigdy nie udało im si jej odnale . Potem coraz bardziej si w sobie zamykał.

— A pana by przyj ł?

— Mnie? — spytał Luciano, marszcz c brwi. — Nie rozumiem.

— Gdyby znalazł si pan na Sycylii i gdyby on wiedział, e pan tam jest, to czy zgodziłby si pana przyj ?

Luciano był naprawd zdumiony i nie ukrywał tego.

— Pan chyba oszalał.

— Słusznie, ale mimo wszystko prosz si zastanowi , co pan traci. Nast pne dwadzie cia okr e spacerniaka jutro, pojutrze i tak dzie za dniem przez trzydzie ci do pi dziesi ciu lat, bo chyba taki wła nie wyrok pan otrzymał? Gdzie w tysi c dziewi set pi dziesi tym szóstym b dzie si mógł pan stara o zwolnienie, ale ja bym na to nie liczył.

— Ty sukinsynu! Po pierwsze w ogóle nie powinienem si tu znale .

- Zgoda, ale to może być sposób na wydostanie się stąd.
- Odepierz się, do cholery!

Carter przez chwilę na niego patrzył, potem wstał i wyszedł do pokoju obok, gdzie naczelnik w zieniu rozmawiał z sekretarką. Pułkownik wyjął z portfela jak wizytówkę i podał ją naczelnikowi.

— Czy mógłbym prosić o poćczenie mnie z tym numerem? Hasło „Skorpion” pozwoli mi je uzyskać natychmiast, bo daje absolutnie pierwsze słowo.

W miarę czytania wizytówki naczelnik robił coraz większe oczy, a w końcu cicho gwizdnął.

- Oczywiście, w tej chwili — rzekł.

Carter stał przy oknie pokaszując od dymu tytoniowego. Mimo postawy Luciano instynktownie czuł, że nadchodzi bardzo ważna chwila. Kiedy wreszcie naczelnik go zawołał, od razu podszedł do telefonu.

- Czy to pan, Carter? — spytał głos w słuchawce — Jak idzie?

— Są problemy, panie prezydencie — odpowiedział i zaczął wyjaśniać.

Kiedy otworzyły się drzwi i wszedł Carter z naczelnikiem w zieniu, Luciano stał przy oknie, patrząc na spacerniaka.

- Czy mogą już odejść? — spytał.

Naczelnik obszedł biurko i usiadł na swoim miejscu.

— Obawiam się, że nie, panie Luciano. Pan pułkownik Carter załatwił samochód, którym pod jego opieką zostanie pan przewieziony do Waszyngtonu.

- Do Waszyngtonu?! — wykrzyknął Luciano. — Po co?

— Powiedzmy w celach zdrowotnych — odparł naczelnik. — W Waszyngtonie mają jedną z najlepszych w kraju klinik chorób płuc, a pan od jakiego czasu uskarża się na kaszel.

— Poza tym będzie pan musiał zrobić jeszcze coś, profesorze — powiedział Luciano, zwracając się do Cartera.

— O, naturalnie. Mam taki zamiar — rzekł Carter z uśmiechem. — Może pan na mnie liczyć.

Późnym wieczorem Packard skręcił w aleję Konstytucji i jechał w stronę Białego Domu. Carter z Lucianem zajmowali tylne siedzenie. Luciano opuszczał szybę w oknie i patrzył na wiatła Waszyngtonu.

— Słyszałem, że teraz trudno tu o miejsce w hotelu. Czy to prawda?
— Nie, jeśli się zna właściwych ludzi.

Luciano się uśmiechnął.

Packard podjechał pod zachodnie wejście do Białego Domu, gdzie Carter pokazał przepustkę funkcjonariuszom służby bezpieczeństwa.

Luciano miał na sobie szary samodziąłowy garnitur, trenaż i ciemny filcowy kapelusz. Ubranie to wybrał sam w magazynie w ogrodzie Great Meadow. Stał, niedbale trzymając papierosa w ustach, ubawiony sytuacją.

— Ej, profesorze, jest pan pewien, że nie czekamy tu na jakiego głupawego gryziopiórka?

W tym momencie pojawił się adiutant, młody porucznik piechoty morskiej w nienagannym mundurze.

— Pan pułkownik Carter? Proszę tutaj. Prezydent natychmiast panów przyjmie.

Kiedy weszli do Gabinetu Owального, wewnątrz panował półmrok. Jedynym źródłem światła była lampa na masywnym biurku, przy którym na tle flag siedział nad jakimiś papierami prezydent Roosevelt z nieodłącznym długim cygarniczką w ustach.

Prezydent podniósł wzrok i się uśmiechnął.

— Pułkowniku Carter, jak się pan czuje?

— Wietnie, panie prezydencie. Roosevelt skinął głową na młodego oficera.

— Poproś pana, kiedy będzie mi pan potrzebny.

Drzwi cicho się zamknęły. Prezydent w milczeniu włożył nowego papierosa, starannie go zapalił i dopiero wówczas potwierdził obecność Luciana.

— A więc to pan jest Luciano?

— Tak mnie nazywają.

— Słyszałem od pułkownika Cartera, że sprawia mu pan kłopoty.

— Wszystko, panie prezydencie, zależy od punktu widzenia — odparł Luciano. — W zeszłym roku siedziałem sobie w swojej celi, kiedy przyszli pańscy ludzie i poprosili mnie, abym coś zrobił z sabotażystami w dokach po tym, jak podpalili „Normandie”, więc załatwiłem sprawę ze zwińkami zawodowymi. Miesiąc temu znowu do mnie przyszli i poprosili o pomoc w sprawie Sycylii. Ponownie

zrobiłem, co mogłem. I za co? Co ja z tego mam, u diabła, poza trzydziestoma latami w pudle? A teraz przychodzi ten facet z jakim zwariowanym pomysłem i chce, abym pojechał na Sycylię i się narażał, a pan twierdzi, że to ja sprawiam kłopoty. Jem u? Roosevelt odchylił się do tyłu i powiedział cicho:

— Powiem panu, co zrobię, panie Luciano. Zamierzam dać panu szansę stania się na powrót Amerykaninem...

— Jeśli pojedzie na Sycylię z obecnym tu profesorem? A niby dlaczego miałbym to zrobić? Co mi to da?

— Kul w głowie, jeśli złapię pana faszyści.

— A jeśli nie złapię? Jeśli wszystko się uda, to wtedy co?

— O, przypuszczam, że mógłby pan się ukryć w tych sycylijskich górach i zostać uciekinierem do końca życia. Mógłby pan też zaryzykować i wrócić do swojej celi. Jestem pewien, że się dowiecie o to pod uwagę, rozpatrując sprawę warunkowego zwolnienia.

— Czy pan może mi to zagwarantować?

Roosevelt włożył nowego papierosa do cygarniczki.

— Proszę wybaczyć, ale mam pilną robotę. Dziękuję panom za wizytę.

Luciano stał przez chwilę, patrząc na prezydenta, po czym zerknął na Cartera, uniósł rękę w zamasztyście, bardzo włoskim geście, odwrócił się i ruszył do drzwi.

— Co jeszcze może dla pana zrobić, pułkowniku? — spytał Roosevelt.

Carter wyjął z portfela złożony kartek papieru i podał je przez biurko.

— Gdyby mógł pan poprosić wywiad o odszukanie tej osoby, panie prezydencie, najlepiej przed moim wyjazdem, to bardzo by mi się to przydało.

— Zajm się tym.

— Moje uszanowanie, panie prezydencie.

Carter odwrócił się i ruszył za Lucianem, który już wychodził.

— Zaraz wracam, panie pułkowniku — odezwał się porucznik i wszedł do Gabinetu Ovalnego.

Luciano znów się uśmiechał.

— No i co? — spytał Carter.

— Co „co”? — odparł Luciano. — Właściwie nie dał mi żadnego wyboru, no nie? — Uśmiechnął się szeroko. — Mogę o nim powiedzieć tylko jedno: to facet z jajami.

- Wiadomo.
— Ale nic mi nie obiecał.
— Na papierze. Nie mógł tego zrobić. Z drugiej strony, skoro nie ufa pan Rooseveltowi, to komu może pan zaufa?
— Dobra. Dopiero pan swego. Co teraz?
— Wylatujemy tu po północy. Pierwszy przystanek Szkocja. Miejscowość zwie się Prestwick. Stamtąd bezpośrednio do Algierii.
— Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko zabijać czas przez te pięć godzin.
Wrócił porucznik i odprowadził ich korytarzem do zachodniego wyjścia.
— Załatwiłem dla nas pokój w hotelu, żeby my nie rzucali się w oczy.
Luciano lekko się uśmiechnął.
— No pewnie, profesorze, z pańskimi kontaktami...

Kiedy „latajca forteca” nabierała wysokości nad Atlantykiem i wyrzuciła Nową Anglię gdzieś w oddali, Carter próbował znaleźć jak najwygodniejszą pozycję w piworze otrzymanym od kwatermistrza. Siedząc obok niego Luciano miał taki sam kłopot.

— Ten samolot na pewno nie jest przeznaczony do wożenia pasażerów — powiedział.

Carter wyjął z kieszeni jakąś kopertę i podał ją Luciano.

— Teraz nazywa się pan Frank Orsini. Jest pan oficerem operacyjnym Zarządu Służb Strategicznych, w randze kapitana. Dokumenty potwierdzające to wszystko znajdują się w tej kopercie.

— Prezent gwiazdkowy w czerwcu — rzekł Luciano.

Wyjął figurkę Madonny, z trzaskiem otworzył nó i rozciął kopertę.

— Skąd, u licha, pan to wziął?! — wykrzyknął Carter.

— Z kieszeni ubrania, które zafasowałem w Great Meadow — odparł Luciano z uśmiechem. — Można tam dostać prawie wszystko, a to podarował mi na drogę przyjaciel.

Zjawił się radiooperator w stopniu sierżanta i kucnął obok Cartera, trzymając w ręku depechę.

— Panie pułkowniku, tę wiadomość dla pana otrzymałem zaraz po starcie. Wysłałem ją otwartym tekstem, bo ma sens.

Carter się uśmiechnął, kiedy ją przeczytał.

— Nawet wiele sensu, sierżancie.

— Wygląda pan na zadowolonego — odezwał się Luciano po odejściu radiooperatora.

— Moja na tak powiedzcie. Interesująca rzecz w tej wojnie jest to, panie Luciano, że w Anglii dokładniej rejestruje się obywateli niż w Niemczech. Wszyscy ludzie, mężczyźni z kobietami i dziećmi, mają swoje numery identyfikacyjne. Przypomina pan sobie ten karteczek, który dałem prezydentowi? Prosiłem w niej wywiad w Londynie o odszukanie Marii Vaughan. Szybko się z tym uwinęli.

Podał depeszę Lucianoowi, który ją przeczytał i wytrzeszczył oczy.

— Siostra Maria Vaughan. Zakon Sióstr Miłosierdzia w Liverpool? Matko Najświętsza!

— Uwaga! — powiedział Carter, odbierając depeszę. — Omal się pan nie przebiegnął.

— Siostry miłosierdzia? Nie znam tego zakonu.

— Siostry pielgniarkami.

— Liverpool... czy to nie port?

— Na północno-zachodnim wybrzeżu Anglii, w hrabstwie Lancashire.

— Chce się pan z nimi zobaczyć?

— Tak, a powiedziałbym, że nadarzy się okazja.

— U pana zawsze wszystko gra — rzekł Luciano. — Założę się, że jest pan piekielnie dobrym szachistą, ale pozbawionym wszelkich emocji. Czy kiedykolwiek był pan w kimś zakochany? Mam na myśli prawdziwą miłość.

Carter skinął głową.

— No pewnie.

— Kiedy to było?

— Przed wiekami... miałem wtedy szesnaście lat. Kochałem się w córce farmera z Norfolk, dokąd cała rodzina jeździła na wakacje. Jeszcze teraz mam ją przed oczami, jak w bawełnianej sukience biegnącej przez wydmy.

— Co się z nią stało?

— Umarła w czasie epidemii grypy zaraz po wojnie. Jeżeli o mnie chodzi, to tu przed ukończeniem siedemnastego roku życia uciekłem ze szkoły i wstąpiłem do piechoty. Uważałem, że to bardzo romantyczne.

— Wyobraź sobie — powiedział Luciano, ale już się nie uśmiechał.

— Zaczęliśmy wielką ofensywę w osiemnastym roku. W moim batalionie było siedmiuset pięćdziesięciu dwóch żołnierzy, a po trzech

miesiącach zostało nas siedemdziesiątych trzech. Ja nie zginęłam, a ona musiała umrzeć na ten cholerny grypa.

— I nigdy się pan nie ożenił? — cicho spytał Luciano.

— Owszem, z daleką kuzynką, Olivia, w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim.

— Kochał ją pan?

— Przyjaźniłyśmy się w dzieciństwie i zakochała się we mnie.

— Macie dzieci?

— Nie. Bardzo wcześnie paskudnie poroniła.

— Zobaczy się pan z nią, kiedy wyjdziemy?

Carter pokręcił głową.

— To niemożliwe. W trzydziestym ósmym umarła na raka.

— A więc dla pana ta wojna wybuchła w odpowiednim momencie — stwierdził Luciano, kiwając głową.

Carter spojrzał na niego pustym wzrokiem.

— Tak pan uważa?

— A pan nie?

Luciano nasunął kapelusz na oczy, założył rękawice i próbował usnąć.

Rozdział szósty

Kiedy samoloty rozpoznawcze Ju-88 przypuły pierwszy atak na doki w Liverpoolu, padał ulewny deszcz. Siostra Maria Vaughan miała zakochany swój dywan w szpitalu o siódmej, ale w ostatniej chwili, ze względu na powalny brak do wiadczonej pielgniarek w salach operacyjnych, poproszono ją, aby asystowała profesorowi Tankerleyowi przy sekcji zwłok w kostnicy. Nie lubiła tego zajęcia, lecz kto to musiał zrobić.

Szybko włożyła biały fartuch na habit i zawiązywała maseczkę, patrzyła w lustro. Miała dwadzieścia trzy lata, drobny kształt i powagę, spokojną twarz. Była to jedna z tych zwykłych twarzy, na które większość ludzi, nie wiadomo z jakiego powodu, musi spojrzeć drugi raz. Maria zdradzała jedynie oczy. Ich nerwowe, badawcze spojrzenie wiadczyło, że ten pozorny spokój wiele jej kosztował.

Kiedy weszła do sali sekcyjnej, Tankerley już tam był — niski, wawym czarna w białym fartuchu, którego stan wskazywał, że używano go od dawna. Oprócz nich dwojga w sali znajdowały się jedynie zwłoki przykryte przez cieradłem.

Tankerley niecierpliwie naciskał gumowe rękawiczki.

— Rusz się, siostrze. Za godzinę mam obchód.

Profesor już przed trzema laty powinien przejść na emeryturę, ale nie zrobił tego ze względu na wojnę. Jako wietny chirurg i zawołany ateista nawet w normalnej sytuacji nie miał wiele czasu dla zakonnic, a z pewnościami nie w szpitalu.

Przy stole sekcyjnym na małym stoliku na kółkach leżały narzędzia

chirurgiczne. Siostra Maria zdjęła prześcieradło i starannie je złożyła. Zmarły był młodym człowiekiem w rednym wieku. Za życia musiał być w niezwykle dobrej formie, o czym świadczyły szerokie ramiona i silne, muskularne ręce. Miał zamknięte oczy, twarz spokojną.

— Jak zwykle brak personelu i nie dostaliśmy stenografistki. Sam próbuję zrobić opis z pamięci — powiedział Tankerley. — Znalezione go na chodniku, koło przystanku autobusowego przy Lime Street, o pięćdziesiąt trzydzieści. Wiek: około pięćdziesiątki; dobry stan fizyczny, brak zewnętrznych uszkodzeń ciała, najwyraźniej więc nikt go nie napadł. Jak by siostra postawiła diagnozę?

— Zawał?

— Tak, zaczynam od tego. Wszystko pasuje, łownie z wiekiem, a zatem od razu zajmujemy się sercem.

Wyciągnął otwarte nożyczki. Siostra Maria podała mu drobny skalpel, którym utworzył kłatkę piersiową jednym sprawnym ruchem. Wzrost pacjenta nie wzbudzał w niej żadnych emocji, ale przy zmarłym czuła się nieswojo. Przełknęła ślinę, kiedy Tankerley zaczął przecinać obojętnie ramiona szczypcami.

— To jedynie surowe miśro, siostrze. — Jak zwykle nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie dokuczyć. — Tylko tyle zostaje z człowieka. No, gdzie teraz jest ten wasz Bóg?

Podawała mu mały skalpel.

— To właśnie On stworzył tę najwspanialszą konstrukcję, pod kątem względnie funkcjonalną. Zgodzi się pan, że chyba nie ma takiego zadania, którego człowiek nie mógłby wykonać, prawda?

— Ale nie nauczył się żyć wiecznie.

— Nie, lecz interesujące jest właśnie to, że ludzie są tak nadzwyczajni — odparła. — Czy naprawdę pozostaje z nich tylko tyle, jedynie to ciało na stole sekcyjnym? Nie sądzi pan? Chrystus, panie profesorze, był człowiekiem, który umarł na krzyżu dwa tysiące lat temu, a miliony ludzi nadal czują jego obecność.

Uśmiechnął się lekko, spojrzał na nią niechętnie, choć z pewnym podziwem.

— O, trzeba przyznać, że potrafi siostra mówić przekonująco.

Akurat w tym momencie pierwsze bomby spadły na port. Jedna z nich wybuchła bardzo blisko. Cały budynek się zatrzęsł, z brzoziem posypały się wybite szyby. Światło na chwilę przygasło i gdzieś jakaś kobieta krzyknęła ze strachu.

— Też sobie wybrali port — odezwał się Tankerley. — Proszę

mnie zostawi , siostrze. B dzie siostra potrzebna przy rannych. Poradz sobie sam.

Kiedy podeszła do drzwi, nast pna seria bomb spadła na port. Na stoliku zaklekotały instrumenty, gdy budynek ponownie si zatrza sł. Tankerley spokojnie wzi ł inny skalpel i kontynuował sekcj , a tymczasem siostra Maria otworzyła drzwi i po piesznie wyszła.

W punkcie przyjmowania rannych panował niesamowity rozgardiasz, ludzie biegali po korytarzach, czuło si sw d spalenizny. Bombardowanie ju si sko czyło — Maria słyszała z oddali syreny wozów strackich.

Szpital pracował teraz pełn par . Maria samodzielnie zakładała dwadziecia pi szwów na lewej nodze młodego marynarza, którego przywieziono z doków przed półgodzin .

Uwa nie jej si przygl dał, trzymaj c w ustach nie zapalonego papierosa.

— Siostrze wietnie sobie radzi. Mo e dostan całusa za to, e byłem grzeczny?

— To chyba nie nale y do moich obowiazków.

— Jaka szkoda. Dla takiej ładnej dziewczyny celibat musi by piekłem.

Akurat do sali wszedł Tankerley i wszystko usłyszał. Wyj ł zapalniczk .

— Zapal papierosa i przykniij si — rzekł podaj c marynarzowi ogie . Pochylił si , by obejrze nog . — Bardzo dobrze, siostrze. Prosz ju i . Ja to sko cz .

Maria weszła za parawan i zacz ła niezgrabnie rozwi zywa sobie tasiemki fartucha na plecach. Po chwili stan ł za ni Tankerley.

— Siostrze pozwoli...

Kolejno poci gał za pozostałe tasiemki. Maria wyczuła, e jest zły.

— Głupi gnojek — mrukn ł.

Maria odwróciła si , kr c c głow .

— On tego nie rozumie, i tyle. Mnóstwo ludzi chce, eby inni byli tacy jak oni. Poza tym on ma racj . To rzeczywi cie mo e by piekłem. wi ty Chryzostom nazywał celibat małym ukrzy owaniem.

— Rzeczywi cie tak jest?

— Niezupełnie, panie profesorze. To, co otrzymuje si w zamian, warte jest zachodu.

Spojrzał na ni spode łba i lekko j popchn ł.

— No, niech ją siostra idzie. Proszę się dźgnąć, zanim całkowicie mnie siostra uwiedzie. Do domu.

Po raz pierwszy bez słowa zrobiła, co jej kazał, zbyt zmęczona, za bardzo wyczerpana, żeby wdawać się w dyskusję.

Klasztor Sióstr Miłosierdzia znajdował się za wysokim murem przy Huby Road, w dużym budynku z czerwonej cegły, gdzie niegdyś było seminarium kształcącej nauczycieli szkół podstawowych. Nauczyciele już dawno się dźgnęli, a ich miejsce zajęły siostry miłosierdzia z ogromną wiarą i sporym długiem hipotecznym. Od dwudziestu pięciu lat miały tutaj swoją bazę, pracując w całym mieście.

W kaplicy było zimno i czuło się wilgoć, co nie powinno dziwić, gdy w ogóle jej nie ogrzewano z powodu racjonowania opału. Zwykle panował w niej mrok, czasami tylko rozjaśniony wiatłem wiec rzucających cienie.

Maria Vaughan uklękła przed ołtarzem i zapaliła świecę Matce Boskiej. Przez chwilę się modliła, potem wstała, wzięła wiadro z myjką na kiju, przeszła do głównej nawy i zaczęła wycierać posadzkę. Chociaż odczuwała zmęczenie, to jednak nie miała nic przeciwko temu zajęciu, bo było nieskomplikowane i dawało jej czas na myślenie.

Z wysokiej galerii obserwowali ją Carter i Luciano w towarzystwie przeoryszy, siostry Katherine Markham.

— Czy siostra nie wspominała, że ona cały dzień pracuje w szpitalu? — spytał Carter.

— Zgadza się. Jest instrumentariuszką.

— Wiem, dlaczego jeszcze to robi?

— Bez względu na zajęcie w ciągu dnia każda z sióstr ma co wieczór do spełnienia wyznaczone obowiązki. Choć są to posługi, panie pułkowniku, stanowi jednak symbol miłości, która nas wszystkich łączy. Teraz zjedziemy i przedstawię panów.

Ruszyła galerią w stronę schodów.

— Nie należy zadawać głupich pytań, profesorze — szepnęła Luciano.

Kiedy się zbliżyli, Maria uniosła głowę i przerwała pracę.

— O co chodzi, siostrze? — spytała.

— Masz go ci, Mario — odpowiedziała przeorysza z uśmiechem.

— To pułkownik Carter, a to pan Orsini.

Maria jakby sparali owało. Stała ze wzrokiem utkwionym w Luciana, który lekko się uśmiechnął i powiedział po sycylijsku:

— Witaj, dziewczyno. Dawno cię nie widziałem.

Przeorysza delikatnie wyjęła jej myjkę z ręki Marii.

— Ja za ciebie skończę. Mojesz zaprowadzić panów do mojego gabinetu.

Maria ponownie spojrzała na Luciana, odwróciła się i odeszła. Kiedy Luciano i Carter ruszyli za nią, przeorysza powiedziała:

— Mamy tu dom noclegowy, panie pułkowniku. Miło nam będzie przemocować panów.

Po ich wyjściu zanurzyła myjkę w wiadrze i zabrała się do wycierania posadzki.

Gabinet przeoryszy był mały i zagracony — zwykły pokój z biurkiem i szafami na akta. Luciano oparł się o drzwi i zapalił papierosa, a Carter i Maria stanęli naprzeciwko siebie po obu stronach biurka.

— A wiesz, siostrze — odezwał się Carter — sprawa jest naprawdę bardzo prosta. Wymaga jedynie odpowiedzi tak lub nie. Pan Orsini i ja...

— Te wybieganie całkiem zbędne, panie pułkowniku — powiedziała spokojnym głosem. — Znam pana Luciana. On jest człowiekiem, któremu przeszło ci, do której wolałabym się nie przyznawać i którą już nie należy do mojego życia.

— Jeśli obetniesz sobie rękę czy nogę, to staniesz się kim innym? — spytał Luciano po sycylijsku.

— Panie Luciano — odparła w tym samym języku — żeby uratować drzewo, dobry gospodarz obcina zgniłe gałęzie.

— Siostrze — odezwał się Carter cierpliwie — dla oszczędzenia życia tysięcy ludzi trzeba przekonać pani dziadka, żeby publicznie opowiedział się po naszej stronie. Siostra po prostu może być tą osobą, która tego dokona.

— Traci pan czas, pułkowniku. Od lat nie utrzymuję z dziadkiem żadnych kontaktów. To wszystko jest bezcelowe i nie ma ze mną nic wspólnego. A teraz proszę mi wybaczyć. Muszę wracać do pracy.

Po tych słowach natychmiast wyszła, mignęła obok Luciana. Carter podniósł słuchawkę telefonu i zamówił dziesięć rozmów ze sztabem Zarządu Służby Specjalnych przy Baker Street w Londynie.

— I co teraz? — spytał Luciano.

- Ona si zgodzi.
— Sk d ta pewno ?
— O, zgodzi si , kiedy pomy li o tych wszystkich, co mog zgin .
Przecie jest dobra prawda?
Zadzwoił telefon i Carter si gn ł po słuchawk .
— Prosz z dwójk . Tu Carter. Hasło „Skorpion”.
Wyj ł papierosa. Luciano podał mu ogie .
— Czołem, Jack. Tu Harry... Tak, wszystko gra. Na kilka dni
b d potrzebował bezpiecznej kwatery koło Manchesteru. Czy opactwo
Bransby wci jest na naszej li cie?
— Ej, chwileczk — wtr cił Luciano.
Carter nie zwracał na niego uwagi.
— Dwóch osiików do obstawy. Z dobr znajomo ci włoskiego
i normalnie przeszkolonych, ale musz ich mie w ci gu czterdziestu
o miu godzin. Zawiadomcie 138 Eskadr w Maison Blanche i naszych
przyjaciół w Bellonie, eby przygotowali si do zrzutu za jaki tydzie
do dziesi ciu dni.
Carter przez pewien czas słuchał, a potem si u miechn ł.
— ...nie, bez problemów.
Odło ył słuchawk .
— Jak ju powiedziałem, adnych emocji — odezwał si Luciano.
— Wszystko gra, ale w jednej sprawie pan si myli, profesorze.
— W czym?
— Je eli Maria si zgodzi, to nie dlatego, e uratuje ycie tym,
którzy w przeciwnym wypadku prawdopodobnie by zgin li...
— A pan uwa a, e dlaczego?
— To proste. Tak j z era poczucie winy, e nie mo e odmówi .

Jedynym grzechem siostry Angeli były papierosy. Maria wiedziała, gdzie ona je trzyma: za workiem m ki w kuchennej spi arni. Dr cymi palcami zapaliła jednego i stała w ciemno ciach, zaci gaj c si w ciekłe jak zbuntowane dziecko.

Jej sycylijska natura czasami zbyt łatwo si uzewn trzniała, z czym Maria walczyła, lecz nie tym razem. Widok twarzy Luciana z jego sardonicznym u miechem otworzył dawne rany. Wróciły wspomnienia.

Znów czuła wo spaleniżny, widziała krew na twarzy czołgaj cej si w jej stron matki, a potem ten ból. Długie tygodnie w szpitalu,

przeszczepianie skóry, dziadek całymi dniami przesiadujcy przy łóku, mimo że nie chciała z nim rozmawiać.

Ogarnęła ją tak silna nienawiść i złość, że się wystraszyła. Cisnęła papierosa do zlewu i odkręciwszy kran, obmyła sobie twarz zimną wodą.

Wkrótce poczuła się lepiej. Przecież na zawsze zerwała z przeszłością. Pochowała już swoich zmarłych, do których zaliczyła również dziadka. Sycylia i sprawy z nią związane całkowicie jej zobojętniały. Miała pracę, codzienne zajęcia, szpital. Nie było w tym miejsca na nic innego. Luciano i Carter muszą to zrozumieć. Wygładziła suknię, wzięła głębi oddech i wyszła.

Schronisko dla bezdomnych w dawnych stajniach za klasztorem nie prezentowało się nadzwyczajnie, ale kamienne ściany były przywoicie pobielone, w piecyku palił się koks, przygotowano ławy i koce dla tych, którzy co wieczór czekali tam w kolejce.

Przybywali bardzo różni ludzie — całe rodziny z dziećmi, pozabawione domów wskutek bombardowania, ołnierze na przepustkach czekający na pociąg, a także wszelkiego rodzaju rozbitki życiowe i społeczne, jakich nie brak w dużym mieście: brudasy, obdartusy, pijacy, którzy już sami nie potrafią sobie radzić.

Maria i dwie inne zakonnice stały za prymitywnym stołem na krzyżakach, wydając chleb i gorącą zupę ludziom, którzy wolno przesuwali się w kolejce. Na jej kocy klóciło się dwóch ołnierzy w połowych mundurach khaki. Nagle ktoś krzyknął widząc, że się biją. Maria błyskawicznie obiegła stół i rzuciła się między walczących. Jeden z nich, młody rudowłosy Szkot, w dalszym ciągu próbując dosięgnąć przeciwnika, w ciekłe wymachiwał rękami i w pewnym momencie uderzył ją w policzek.

Wtedy pojawił się Luciano z miną Lucyfera. Prawą ręką trzasnął ołnierza w twarz, lewą złapał go za gardło.

Maria oburcz chwyciła rękę Luciana i przytrzymała ją ze wszystkich sił.

— Nie, proszę. Tak nie można.

Luciano z uśmiechem puścił chłopca, który osunął się na kolana.

— Dobrze, licznokto. Jak sobie uczysz — rzekł po sycylijsku.

Ludzie w kolejce zaczęli z ożywieniem rozmawiać. Ołnierz wstał, ostro nie macając się po szyi.

— Bardzo przepraszam. Nie wiem, jak to się mogło stać — tłumaczył się przed Marią.

— Już dobrze. Proszę wziąć zupę i usiąść — odparła, po czym odwróciła się i poszła za Lucianem.

— Tyle czasu minęło... Lato trzydziestego piątego... Ile miała wtedy lat? Szesnaście cię?

— A pan w ogóle się nie zmienia.

— Wiem, co cię interesowało, co się z tobą dzieje?

— O tak, wiem bardzo dużo o wielkim „Szczęściarzu” Lucianie, który wciąż na wszystko odpowiada gwałtem. I co to panu dało? Trzydzieści lat wiązania.

— Drobiazgi. Przecież jestem na wolności, nie?

— Czy pan wie, że tamtego lata, w czasie wizyty u mojego dziadka, był pan dla mnie bohaterem? Połczyłem Robin Hooda i Ryszarda Lwie Serce. Kiedy spacerowali my po Palermo i ludzie się zatrzymywali, by pocałować pana w rękę, to ja myślałam, że w ten sposób wyrażają szacunek. Myślałam się jednak. Oni robili to ze strachu.

— A co z don Antoniem? Masz od niego jakieś wiadomości?

— Nie.

Wydawało się, że w kaplicy jest zimniej niż kiedykolwiek i Luciano, patrząc na Marię, wcisnął się w krzesło ławki.

— Wciąż go kochasz i czujesz się rozdarta, bo uważasz, że powinna go nienawidzić.

— Co za bystro umysłu...

— Słuchaj, kiedy siedziałem w Sing-Sing, psycholog zrobił mi te wszystkie modne testy i powiedział, że moja inteligencja jest niższa od przeciętnej. Napisał to w swojej opinii. Stwierdził, że powinienem nauczyć się jakiegoś zawodu.

Maria nie mogła wytrzymać i lekko się uśmiechnęła.

— No, teraz lepiej. Tamtego lata wiele się miała. Właśnie nie to tak dobrze zapamiętałam. Twój uśmiech.

Pokiwała głową.

— Och, panie Luciano, co się z panem stanie?

— Nie chcę się tłumaczyć. Mogłbym powiedzieć, że Eastchester Avenue to nie miejsce, gdzie powinny wychowywać się dzieci, ale tego nie zrobił. Sam dokonałem wyboru. Kiedy ktoś mi mówi o wojnie,

pytam: co to jest wojna? Przez całe życie prowadzi wojnę, ale ja nie walczę z cywilami.

— Lecz z gangsterami, handlarzami narkotyków, złodziejami i mordercami — powiedziała Maria.

— Właśnie. Zupełnie jak w Starym Testamencie.

— Mnie pan nie musi tego mówić. Wiem, w którym żyje człowiek, nie może być wolny od grzechu.

— I cóż to, u licha, znaczy w ustach takiej perły mordercy? Chcesz, abym wypił ten kielich goryczy? Dobra, powiem ci, jak to jest. — Podszedł do balasków i się odwrócił. — W gruncie rzeczy wszyscy jesteście my samotni. Nic nie trwa wiecznie.

— A Bóg? Zawsze mamy Boga.

— Cóż, jeżeli ten twój Bóg istnieje, to bardzo bym pragnął, abyś się zdecydował. Wiele mówi, jak i kiedy, ale nigdy dlaczego.

— Niczego się pan nie nauczył? Życie niczego pana nie nauczyło?

— O, tak — odparł. — Nauczyłem się zabijać z uśmiechem. Prawdopodobnie równie umiem z uśmiechem. Ale jak się dzisiaj, czy ci ożnierze, którzy zginęli w Cammaracie, te biali się uśmiechali?

Przez dłuższą chwilę stała, patrząc na niego, potem się odwróciła i wyszła z kaplicy.

Siostra Katherine siedziała za biurkiem, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Maria. Stała z załamanymi ramionami, najwyraźniej czymś bardzo zmartwiona.

— Usiódź, moje dziecko — odezwała się przeorysza.

— Siostrze, czy pułkownik Carter mówił ci, po co tu przyjechał?

— Tak. Tyle, ile uznał za stosowne. Maria

obeszła biurko i padła na kolana.

— Siostrze, znasz moją historię i wiesz, dlaczego tu jestem...

— Naturalnie — odparła przeorysza. — Szukałaś ucieczki, a zamiast niej znalazłaś Boga, prawda?

— Siostrze, Biblia mówi, że wszyscy powinniśmy się wzajemnie kochać, ale kiedy myślę o swoim dziadku, odczuwam tylko nienawiść.

— powiedziała Maria, mocno ciskając dłońmi staruszki. — Boję się gwałtowno cię, którą w sobie czuję. Oni chcą, abym powróciła do tego, czego się wyparłam, do czego odwróciłam się plecami. Ja tego nie zrobię — dodała z przekonaniem.

Przeorysza się uśmiechnęła.

— Ale to buta. Nie ty wybrała Boga, Mario. To On ci wybrał. Dla ciebie, Jego słubnicy, nie ma takich rzeczy jak wybór. Musisz robić to, co jest słuszne. Nie wolno ci robić nic innego.

Maria z pochylon głow przez pewien czas nie reagowała, a pó niej podniosła wzrok.

— To znaczy, e musz jecha na Sycyli ...

Siostra Katherine pokiwała głow .

— Skoro nie masz wyboru, wi c i w tej sprawie nie mo esz wybiera . To paradoksalne, a jednak prawda, e ta wyprawa sycylijska, o której rozwa enie prosił ci pułkownik Carter, to jedno, twoja za nienawi do dziadka to co innego, i trudno j wi za z t wa niejsz spraw . Czy nie tak?

Maria z dr eniem westchn ła gł boko.

— Pomó mi, sestro...

Przeorysza mocniej cisa ła jej dłonie. Obie zakonnice pochyliły głowy w modlitwie.

Kiedy Carter i Luciano weszli do kaplicy, panowała tam gł boka cisza, któr zakłóciło trza niecie drzwi. Zatrzymali si w połowie nawy, widz c Mari kl cz c przy balaskach. Oczywi cie wiedziała, e ju s , powoli unosiła głow . Po jakim czasie wstała i odwróciła si z twarz blad , lecz spokojn .

— Przeorysza powiedziała mi, e siostra chciała si ze mn zobaczy — rzekł Carter. — Przypuszczam, e siostra ju dokonała wyboru?

— Czy kiedykolwiek naprawd miałam jaki wybór, panie pułkowniku?

— W tej sytuacji rzeczywi cie nie — odparł Carter, któremu nagle zrobiło si bardzo przykro.

— Kiedy wyje d amy?

— Najwygodniej b dzie rano. — Zawahał si . — Prosz posłucha , jest pewna rzecz, któr najlepiej załatwi od razu. Obecnie na Sycyli mo na si dosta jedynie na spadochronie.

— Tylko tego nam brakowało — odezwał si Luciano.

Carter zignorował jego uwag .

— Znam agentów, których wysyłano w teren, jak my to nazywamy, całkiem surowych. Innymi słowy, kiedy nad celem wyskakiwali ze i spadochronem, robili to po raz pierwszy w yciu. Ja si nie b d przy

tym upierał. Wolałbym, eby siostra miała jakie poj cie o tym, jak to si robi.

— Co pan proponuje?

— Zatrzymamy si na krótko w pewnym domu w Cheshire niedaleko Manchesteru. Jest tam szkoła spadochronowa, przez któr przeszła wi kszo agentów Zarz du Operacji Specjalnych. Zwykle wystarcza sze ciogodzinny kurs i jeden skok.

— Przy odrobinie szcz cia złami nog — wtr cił Luciano.

Maria wydawała si całkiem oboj tna.

— Znakomicie, pułkowniku, jak pan sobie yczy — powiedziała rozgl daj c si dookoła, jakby patrzyła na wszystko po raz ostatni, a pó niej poło yła r k na balaskach. — Byłam tu szcz liwa... jedyny raz w yciu. Mo e to niedobrze.

— Teraz wrócisz do wiata — półgłosem odezwał si Luciano po sycylijsku. — Tam pewnie znajdziesz odpowied .

— Tak, panie Luciano, to niewykluczone — odparła z łagodnym u miechem. — Prosz mi wierzy , e stale b d o tym my lała. A zatem, do rana, panowie.

Przeszła naw . Zamkn ły si za ni drzwi.

— No có , profesorze, dopi ł pan swego — powiedział Lucia no. — Tylko tak dalej, to mo e dadz panu medal.

Carter pokr cił głow .

— Wcale nie jestem pewien, czy dopi łem swego. Widział pan jej min , panie Luciano? Zgodziła si , ale nie b d zaskoczony, je li zmieni zdanie przed dotarciem na Sycyli ...

W mroku kaplicy koniec papierosa Luciana rozjarzył si na chwil , o wietlaj c mu twarz.

— Dlatego tu jestem, profesorze. Z takim stra nikiem jak Luciano doprowadzi j pan pod drzwi don Antonia.

— Na pewno?

U miech znikn ł z twarzy Luciana.

— S dz , e mo e mi pan wierzy , pułkowniku.

W Maison Blanche w Algierii Harvey Grant szedł o wicie do budynku, z którego kierowano lotami. Był w bardzo złym humorze. W ustach miał niesmak i z braku snu piekły go oczy.

Kiedy wszedł do sali dowodzenia, od razu si zorientował, e s jakie kłopoty, nikogo bowiem tam nie było poza Joem Collinsonem,

głównym nawigatorem eskadry, który w nocy pełnił obowiązek oficera dyżurnego.

— Słuchaj, jakie wiadomości ci? — spytał go Grant.

Collinson pokręcił głową.

— Przykro mi, panie pułkowniku, ale obawiam się, że go dostali. Dawno skończyło mu się paliwo.

— To już czwarty z rzędu — powiedział Grant. — Niedobrze, Joe.

Collinson odwrócił się przodem do mapy Sycylii wisząc jej na ciele za jego plecami.

— Szkopy muszą wiedzieć, że nad Sycylią coś się szykuje, panie pułkowniku. W ciągu ostatnich tygodni za dużo ich tam lata. Te ich Ju-88 polują co noc, a to cholernie dobre maszyny. Za dobre dla Halifaxa.

— Mnie to mówisz? Widziałem w kasynie miny naszych pilotów. Doszło do tego, że kiedy wysyłamy nad Sycylię załogi ze zrzutami, to zupełnie tak, jakby my podpisywali na nie wyroki śmierci.

— No więc co robimy, panie pułkowniku?

— Cóż innego możemy zrobić, jak tylko poinformować dowództwo o sytuacji? Sam wiesz, jeżeli każe nam dalej latać, to będziemy latać.

Zapalił papierosa i nalał sobie kawy.

— Mam tu coś dla pana, pułkowniku. Dopiero co nadeszło.

Po stole z mapami Collinson przesunął w jego stronę kopertę. Grant otworzył ją i przez chwilę stał, czytając list od Harry'ego Cartera.

— Chryste Panie! — szepnął i opadł na krzesło.

— Jakże nieszczęście, panie pułkowniku? — spytał zaaferowany Collinson.

— Można to tak określić — odparł Grant ponurym głosem i podał mu list.

Tego ranka na Sycylii padał deszcz. Leżąc na drodze w kierunku miasteczka Vilalba posuwał się 21 Batalion Spadochronowy, a właściwie to, co z niego zostało. Trzydziestu pięciu spadochroniarzy Maxa Koeniga jechało sobie wygodnie trzema transporterami opancerzonymi, a on sam na końcu kolumny w samochodzie terenowym z kierowcą i strzelcem karabinu maszynowego. Szpic stanowił drugi łaźnik z Rudim Brandtem.

Usłyszawszy nierówną salwę karabinową, stłumioną przez padający

deszcz, Koenig skin ł na kierowc , który przy pieszył i wyprzedził kolumn . Koenig dał znak, by si zatrzymała.

Samochód Brandta wjechał mi dzy pinie na grani, sier ant wysiadł i przez polow lornetek Zeissa spojrział w dół na Vilalbe. Było to n dzne, typowo górskie miasteczko: ko ciółek, rynek i czterdzie ci do pi dziesi ciu domów. Na rynku stały dwie wojskowe ci arówki i chyba wszyscy mieszka cy, którzy ogl dali egzekucj . Na bruku ju le ało kilka trupów w nienaturalnych pozycjach. Pod cian ko ciała ustawiano nast pnych skaza ców.

Kiedy Koenig wysiadł z samochodu, Brandt podał mu lornetek .

— *Einsatzgruppen, Obersturmbannfuhrer.*

Einsatzgruppen były to eksterminacyjne jednostki SS, które utworzył Himmler przed najazdem na Rosj . Składały si one z kryminalistów dowodzonych przez oficerów SD i gestapo. Czasami kierowano do nich ołnierzy SS za powa ne przest pstwa oraz rosyjskich je ców wojennych, głównie Ukrai ców.

Koenig z ponur min oddał Brandtowi lornetek .

— No dobra. Zje d amy. Ja poprowadz .

Kiedy na czele kolumny jego samochód terenowy wjechał na rynek, niewielka grupa mieszka ców ju si powoli rozchodziła, pop dzana przez kilku esesmanów z karabinami. Jakie pi tna cie do dwudziestu kobiet wepchni to na ci arówk . W ród nich znajdowało si kilka bardzo młodych dziewcz t, przewa nie gorzko popłakuj cych.

Koenig wysiadł z łazika i podszedł do trupów. Trzy z nich były zwłokami kilkunastoletnich chłopców. Zobaczył tam równie ciało chłopca, który nie mógł mie wi cej ni dziesi lat.

Usłyszał za plecami jaki płacz.

— Panie pułkowniku, błagam! — kto zawołał.

Kiedy si odwrócił, spostrzegł starca, który umykał ołnierzom i biegł w jego kierunku. Jeden z ołnierzy podniósł karabin.

— Zostaw go — powiedział Koenig.

M czyzna był bardzo stary. Miał połatane ubranie, sumiaste białe w sy, a w oczach łzy.

— Błagam, panie pułkowniku! Nazywam si Angeli i jestem tu burmistrzem. Wszyscy wiedz , e pan to porz dny człowiek...

— Co si stało?

— Przyjechali tu godzin temu i powiedzieli, e wczoraj w s siedniej dolinie zamordowano niemieckiego wartownika i e zrobił to kto od nas. Rozstrzelali co pi tego m czyzn i chc zabra co pi t

kobiet ... — Błagalnie podniósł ręce. — W imię Boga, w imię sprawiedliwości, proszę powiedzieć swoim żołnierzom, żeby tego nie robili.

— To nie moi żołnierze — spokojnie odparł Koenig. — Nie należy wymieniać w jednym zdaniu takich szumowin jak oni i Waffen SS. Słyszysz pan?

Teraz starzec jakby oszalał. Machał ręką w stronę gospody.

— Panie pułkowniku, błagam! Moja wnuczka! Ten Rosjanin wciagnał ją tam!

Zanim Koenig mógł odpowiedzieć, podszedł do nich Brandt z powagą.

— Chyba będzie kłopoty, panie pułkowniku. To ludzie majora Meyera.

— Istotnie — rzekł Koenig. — Przypuszczam, że on jest w gospodzie?

— Nie, jego samego tu nie ma, panie pułkowniku.

Spadochroniarze czekali przy transporterach z bronią gotowi do strzału. Koenig spojrzał na nich, poprawiając sobie rękawiczki.

— Uwolnijcie te kobiety, sierżancie — powiedział wyraźnie, tak aby wszyscy słyszeli. — Jeśli ktoś będzie wam przeszkadzał, możecie go zastrzelić.

— *Zu Befehl, Obersturmbannführer* — natychmiast odpowiedział Brandt i odwrócił się do swoich żołnierzy. — Dobra, słyszeliście, co powiedział pan pułkownik.

Kiedy Koenig zbliżył się do gospody, z wnętrza dochodziły wybuchy miechu i piw. Zatrzymał się pod schodkami, wyjął papierosa ze starej skórzanej papierośnicy, zapalił go i wszedł do rodka.

Kilku żołnierzy piło przy barze, odstawiwszy karabiny. Jakiś tu Untersturmführer siedział przy końcu długiego stołu obok kominka. Rysy miał bardziej wschodnie niż europejskie: wcięte oczy i wystające kości policzkowe. Na kolanach trzymał drobny czarnowłosy dziewczynk, najwyżej piętnastoletni, z twarzą opuchniętą od płaczu. Na widok Koeniga wszyscy umilkli i nagle zapadła cisza.

— Wy tu dowodzicie? — spytał Koenig grubasa.

Untersturmführer odepchnął dziewczynkę i wstał.

— Zgadza się. Porucznik Susłow. Koenig uśmiechnął się do dziewczynki.

— No, idź. Dziadek na ciebie czeka.

Przez chwilę patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Kiedy

ruszyła do drzwi, Susłow próbował ją chwycić, lecz Koenig zastąpił mu drogę i dziewczynka wybiegła.

— Kim pan jest, u licha?! — gniewnie spytał Susłow.

— Oficerem wyższej rangi — spokojnie odparł Koenig. — Od tej chwili będziecie się odzywali, kiedy wam pozwolę. Poza tym staćcie na baczność w mojej obecności.

— Moim dowódcą jest Sturmbannführer Meyer, a nie pan.

— Sierżancie! — zawołał Koenig.

Otworzyły się drzwi na zapleczu i wszedł Brandt z dwoma spadochroniarzami po bokach. Wszyscy trzej trzymali gotowe do strzału pistolety maszynowe.

— Na przyszłość zapamiętajcie sobie, że kiedy ja wydam rozkaz, to stukacie obcasami i odpowiadacie *Zu Befehl, Obersturmbannführer* — półgłosem powiedział Koenig. — Zrozumieliście mnie?

Susłow rzucił mu mordercze spojrzenie, ale zrobił, co mu kazano.

— *Jawohl, Obersturmbannführer.*

— Dobrze. A teraz odpowiedźcie mi na kilka pytań. Kim są ci rozstrzelani?

— Co pan tym czyżna.

— A kobiety?

— Do wojskowego burdelu w Palermo. Co pan wie. — Zawahał się. — Z rozkazu majora Meyera.

Koenig pokiwał głową.

— Kazałem im wypuścić was. A teraz zbierzcie swoich ludzi i wynoście się stąd. Macie na to dokładnie dwie minuty, bo inaczej mnie też może przyjdzie ochota na rozstrzelanie co pan tego.

Susłow wiedział, że w tej sytuacji lepiej się nie sprzeciwiać. Odwrócił się do swoich żołnierzy, wydał im rozkaz po rosyjsku i ruszył do drzwi, a za nim pozostali.

Koenig wyjął następnego papierosa. Brandt podał mu ogień.

— To może oznaczać kłopoty, panie pułkowniku.

— Dobrze — odparł Koenig, kiedy zawarczały silniki na rynku.

Podszedł do drzwi i patrzył na ciarówki wyjeżdżące z miasteczka. W tej samej chwili na grani ukazał się sztabowy mercedes. Koenig zobaczył, że prowadzi ją ciarówka stanła. Wyskoczył z niej Susłow i pochylił się do okna mercedesa. Po chwili wsiadł z powrotem i odjechał, a mercedes ruszył w stronę miasteczka.

Koenig obserwował mieszkańców usuwających ciała rozstrzelanych. Podjechał mercedes, zatrzymał się i wysiadł z niego Meyer.

— Miałem wrażenie, że to ja tu dowodzę.

— Tęże nie? Nie ma się z czego cieszyć.

Jaka staruszka z dwiema dziewczynkami przeszła obok nich, ciągnąc wózek z ciałem dziesięcioletniego chłopca.

— Wczoraj wieczorem zamordowano jednego z naszych żołnierzy. Mam powody sądzić, że sprawcy pochodzą włącznie z tego miasteczka.

— Wśród kobiet wybranych na pański rozkaz znajdowały się dwunasto- i trzynastoletnie dziewczynki. A propos, kazałem je zwolnić. Przypuszczam, że Susłow już panu to powiedział.

— Nie omieszkać dokładnie opisać tej sprawy w moim raporcie dla Reichsführera Himmlera i feldmarszałka Kesselringa.

— Czy wiesz, na czym polega kłopot z tobą, Meyer? Uważasz się za żołnierza Rzeszy Niemieckiej, co jest całkiem naturalne ze względu na mundur, jaki nosisz, ale bardzo się mylisz. Mam ci w krótkich słowach powiedzieć, kim jesteś, tak żebyś w pełni to zrozumiał?

Meyer niczego po sobie nie okazywał, tylko patrzył na Koeniga obojętnym wzrokiem. W tym momencie podszedł Brandt i zsalutował.

— Wszystko gotowe do odjazdu, panie pułkowniku.

— Dobrze — odparł Koenig. — Już odjeżdżamy.

Podszedł do swego samochodu i wsiadł. Skiniął kierowcy, a kiedy odjechali, transportery po kolei ruszyły za nimi. Konwój zniknął za wzgórzem i warkot silników ucichł w oddali.

Stojący przy mercedesie Meyer zdał sobie sprawę, że panuje niezwykle cisza. Nagle zorientował się, że wszyscy mieszkańcy na rynku przerwali to, co dotychczas robili. Starcy, kobiety i dzieci, zajęci usuwaniem zwłok, stali teraz w milczeniu, groźnie na niego patrząc.

Kto schylił się po kamień? Meyer uwiadomił sobie, że jest zupełnie sam, nie licząc kierowcy mercedesa.

Braun wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi.

— Proszę, panie majorze — odezwał się ponaglającym tonem. — Chyba powinniśmy odjechać.

Meyer nie zwracał na niego uwagi. Zręcznie założył kamień z tyłu, zrobił kilka kroków w stronę mieszkańców miasteczka, zatrzymał się i czekał. Po dłuższym czasie młody człowiek, który podniósł kamień, upuścił go na ziemię. Meyer wyjął papierosa, spokojnie wybrał sobie papierosa bez popiołu, zapalił go, a potem odwrócił się i wolnym krokiem podszedł do samochodu.

Braun miał zaledwie osiemnaście lat i ze strachu aż się spocił. Stojąc tyłem do mieszkańców miasteczka, Meyer wyjął chusteczkę.

— Wytrzymaj sobie twarz. Wiesz, że byłem inspektorem policji w Hamburgu?

— Nie, panie majorze.

— A faktycznie byłem. St. Pauli to mój rewir. Dzielnica czerwonych latarni. Najgorsze knajpy w mieście. Alfonsy, rzezimieszki, mordercy. Miałem do czynienia z nimi wszystkimi. I wiesz, czego się nauczyłem, chłopcze? że nigdy nie należało odwracać się tyłem i nie wolno okazywać strachu.

— Tak, panie majorze.

— Zapamiętaj to sobie. A teraz jedźmy.

Rozparł się na tylnym siedzeniu. Kiedy odjeżdżał, pomyślał o Koenig, lecz bez szczególnej niechęci. Nie musiał mu przebaczyć, Koenig bowiem sam tak bardzo się narażał tym, co robił i mówił, że to tylko kwestia czasu, by uczynił coś niewybaczalnego, a wtedy...

Rozdział siódmy

Stara dakota oderwała się od głównego pasa startowego w Ringway i szybko osiągnęła wysokość trzystu metrów. Carter odsunął drzwi. W oddali zobaczył Manchester w strugach deszczu.

Poza instruktorem RAF-u było ich tylko troje: Carter, Luciano i Maria, wszyscy ubrani jak angielscy spadochroniarze w maskujące skafandry, hełmy i spadochrony typu X.

Maria w tym stroju wydawała się drobniejsza. Kiedy Carter przypinał jej linkę otwierając spadochron do liny pod sufitem, Maria przypominała całkowicie bezradne dziecko, uczestniczące w zabawie dorosłych, która jest dla niego za trudna.

— Jeśli się uda, nad prawdziwym celem będziemy skakali ze stu pięćdziesięciu metrów — powiedział do niej. — Wówczas siostra dotrze do ziemi po dwudziestu pięciu sekundach, co jest bardzo istotne, ale dziś zrobimy to z trzystu. Dobrze?

— Znakomicie — odparła skinąwszy głową.

Dakota zawracała nad lotnisko.

— Pan pierwszy, potem Maria, a ja na ostatku — rzekł Carter, zwracając się do Luciana, który z uśmiechem podszedł do drzwi.

— Mam nadzieję, że babcie robili zdjęcia dla mojego sędziego.

Kiedy nad drzwiami zamigotało czerwone wiatelko, instruktor zajął przy nich swoje miejsce. Luciano odwrócił się i zawołał:

— Z moim szczęściem prawdopodobnie złamię sobie nogę. I co wtedy?

Zapaliło się zielone wiatelko, instruktor krzyknął: „Zaczynamy!” i popchnął Luciana, który skoczył głową naprzód. Przeraziła ona Maria

z bij cym sercem i sucho ci w ustach bez wahania zrobiła to samo. Carter przypi ł swój link i poszedł w ich lady.

Nie było wiele czasu na mylenie. Luciano kilkakrotnie przeokoziółkował, a kiedy spadochron z trzaskiem si otworzył, poczuł nagłe szarpnięcie i ju kołysał si pod parasolem khaki.

Lotnisko w dole wygl dało jak zabawka: hangary, samoloty stoj ce w równych rz dach i ludzie, mnóstwo ludzi z zadartymi głowami. Luciano podniósł wzrok i zobaczył nad sob Mari , a dalej Cartera w odległości jakich sze dziesi ciu czy siedemdziesi ciu metrów. Lotnisko nagle zrobiło si znacznie wi ksze i bardzo szybko si zbli ało.

Luciano uderzył stopami w twar nawierzchni , przeokoziółkował i jakim cudem stan ł na nogach. Ze wzgl du na prawie całkowity brak wiatru spadochron nie sprawiał mu adnych kłopotów. Odpinaj c uprz , Luciano obejrzał si i zobaczył Mari , która ju wyl dowała około pi dziesi ciu metrów od niego.

Dalej za ni Carter po zetknięciu z ziemi fachowo si przewrócił, był to bowiem jego pi dziesi ty skok. Kiedy wstał i zdj ł uprz , zobaczył, e Luciano biegnie w stron Marii kl cz cej na spadochronie.

Zaniepokojony Carter pu cił si biegiem. Luciano odwrócił si i z u miechem na ustach wyszedł mu naprzeciw.

— Nic jej si nie stało? — zawołał Carter.

— No pewnie.

Luciano wyj ł pogniecion paczk papierosów i zapalił.

— Wi c co si dzieje?

— Nic. Odmawia modły dzi kczyne za szcz liwe l dowanie albo co w tym rodzaju — odparł cz stuj c Cartera papierosem. — Było wspaniale. Kiedy musimy to powtórzy .

— Powtórzymy, panie Luciano — zapewnił go Carter. — Ju niedługo.

Opactwo Bransby le y blisko Alderley Edge, w jednym z najpi kniejszych rejonów Cheshire, około pi tnastu kilometrów od lotniska Ringway. Pochodzi z XIV wieku, ale w latach pi dziesi tych ubiegłego stulecia zostało gruntownie przebudowane. Wzniesiono je z szarego kamienia i otoczono wysokim murem. Bransby było jednym z kilku tajnych o rodków Zarz du Operacji Specjalnych. Przygotowywano tam agentów do szczególnych zada , a w razie potrzeby prowadzono przy piezione szkolenie w ostatniej chwili przed akcją .

Następnego dnia po południu Carter i Luciano wyszli sobie pobiegać w terenie. W lesie znajdowała się ścieżka za specjalnym torem wyciecznym dla komandosów, wyposażonym w sieci, liny rozciągane między drzewami i podobne przeszkody. Mimo deszczu Luciano bardzo się to podobało. Ubrany był w wełnianą czapkę, jak noszą komandosi, i wojskowy dres, wkrótce więc przemókł, a na dodatek utył się w błocie.

Przezołgał się pod drutami kolczastymi wiedząc, że zgubił Cartera gdzieś w lesie. Kiedy wstał, jakiś głos zawołał:

— Ej, ty!

Obejrzał się i zobaczył stojącego na pagórku amerykańskiego oficera w polowej czapce i z naszywkami kapitana na wojskowym płaszczu.

— Chciałbym zamienić z tobą dwa słowa.

Była to nie tyle prośba, co rozkaz, wypowiedziany czystym bostońskim gwarem, której w Ameryce poza Nową Anglią zwykle się nie słyszy. Lucianoowi to się nie spodobało, bo nigdy nie lubił takiego tonu, więc nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

— Do ciebie mówię, ołnierzu.

— Doskonale — odparł Luciano. — Bardzo się cieszę.

W tym momencie jakaś kobieta chwyciła go za kark i ktoś odezwał się gwarem prosto z Nowego Jorku.

— Kiedy pan kapitan cię pyta, to masz odpowiadać. Słyszysz, zasrać cię?

Luciano zerknął za siebie i zobaczył, że trzyma go jakiś sierant, znacznie od niego wyższy, o brutalnej chudej twarzy z licznymi bliznami zawodowego boksera.

— Co taki wamby? — rzekł Luciano i błyskawicznym skrzem ciałem rzucił go przez ramię.

Sierant głową naprzód wpadł do jakiegoś dołu. Luciano spojrzął na kapitana.

— On popełnił duży błąd. Niech mu pan nie pozwoli, żeby zrobił następny.

Kapitan był wysokim mężczyzną o bardzo jasnych włosach i przystojnej, choć aroganckiej twarzy. W jego niebieskich oczach pojawił się dziwny błysk. Sierant już wygramolił się z dołu i z wycięgniętymi rękami ruszył na Luciana, gotów go zmiąć. Kiedy znalazł się w odległości zaledwie dwóch metrów, Luciano wyjął z kieszeni **rekin**, w której trzymał madonnę z kości słoniowej. Rozległ się

nieprzyjemny trzask i wyskoczyło ostrze. Sierant stanął jak wryty, a potem przyczajony zaczął się powoli zbliżać.

Nagle zmarszczył brwi i ze zdziwienia opadła mu szczęka.

— Ej, ja cię znam.

— Detweiler, nie ruszaj się. To rozkaz! — zawołał kapitan. I wtedy z lasu wybiegł Carter.

— Co się tu dzieje?

— Pan pułkownik Carter?

— Zgadza się.

Kapitan zasalutował i z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjął ółt kopert.

— Kapitan Jack Savage z dywizji komandosów, a to sierant Detweiler. Otrzymałem rozkaz jak najszybciej zameldować się u pana.

— Spojrzał tam, gdzie stał Luciano. — Przepraszam za nieporozumienie, ale ten ołnierz...

— Kapitan Orsini z Zarządu Służb Strategicznych — przerwał mu Carter.

Luciano się uśmiechnął.

— Orsini? Gówno prawda, panie kapitanie — ze złości powiedział Detweiler. — Wychowałem się w Nowym Jorku. Prawie całe życie mieszkałem na Eastchester Avenue i widziałem tego faceta ze sto razy albo wiżej. To gangster „Szczęściarz” Luciano.

Jack Savage liczył sobie dwadzieścia cztery lata i był synem zawodowego dyplomaty, który najczęściej przebywał za granicą, w Paryżu i Rzymie. W rezultacie chłopiec opanował oba języki. Savage'owie należeli do najbogatszych rodzin w Bostonie. Mieli ogromne udziały w ropie i stali, ale ich syna absolutnie to nie interesowało.

Rzecz w tym, że od najmłodszych lat zdradzał niezwykły talent do rysowania. Ulegając namowom rodziców, zapisał się w Yale na ekonomię, ale kiedy otrzymał magisterium, miał już tego dość i wyruszył do Londynu, gdzie studiował malarstwo w Slade.

Później mieszkał w kolonii artystów na Montmartrze, lecz do Paryża wkroczyli Niemcy. Pozostał tam jeszcze przez pół roku, zanim przeniósł się do Madrytu. W końcu wrócił do domu i zgłosił się do wojska tuż przed przystąpieniem Ameryki do wojny.

Amerykanie nie mieli odpowiednika angielskiego Zarządu Operacji Specjalnych aż do czerwca 1918 roku, kiedy to Wild Bill Donovan,

który z pierwszej ręki zapoznał się z brytyjskimi metodami, zorganizował Zarząd Służb Strategicznych, czyli OSS. Jack Savage, wówczas już bardzo znudzony porucznik wywiadu w Pentagonie, był jednym z pierwszych oficerów, których tam zwerbowano.

wietnie się prezentował, stojąc przed biurkiem Cartera w bibliotece opactwa — wysoki przystojny mężczyzna w oliwkowym mundurze polowym, z nogawkami wsuniętymi w cholewki spadochroniarskich butów. Na prawym rękawie miał naszyte dwie pary skrzydeł: odznak noszony tylko przez garstkę wojskowych z Amerykańskich Sił Specjalnych, którzy ukończyli kurs spadochronowy w Anglii.

Detweiler w dalszym ciągu nie dawał za wygraną.

— Jaki tam Orsini, panie kapitanie. Ten facet to Luciano!

Harry Carter wyciągnął rękę z rozkazami, które Savage przekazał mu na torze przeszkód.

— Czytał pan to, kapitanie. Przyzna pan, że zgodnie z tym jesteście całkowicie pod moją komendą?

— Oczywiście, panie pułkowniku.

— Dobrze, a więc się działo, że chyba powstało jakieś nieporozumienie — stwierdził, a potem chłodnym tonem zwrócił się do Detweilera: — Wobec tego na przyszłość, jeżeli byś chciał poznać nasze zdanie, to was o to poproszę.

Detweiler był bardzo zgorzony i nie ukrywał tego.

— Na rany Chrystusa, panie kapitanie...

Carter natychmiast przerwał:

— Staćcie na baczność i czekajcie na dalsze rozkazy. No, już!

Detweiler poczerwieniał, ale zrobił, co mu kazano.

Z wewnętrznej kieszeni munduru Carter wyjął kopertę, a z niej upoważnienia, które otrzymał od generała Eisenhowera i prezydenta Roosevelta.

— Proszę to przeczytać.

Savage przeczytał podane dokumenty i podniósł zdumiony wzrok.

— Jezus Maria! — wyszeptał.

— Właśnie — powiedział Carter. — Nie zamierzam niczego owijać w bawełnę. Nie podoba mi się postawa pańskiego sieranta. Gdybym miał czas, tobym go zmienił na kogoś innego, ale niestety nie mam.

— Panie pułkowniku, Detweiler to dobry ołnierz. Wiele razem przeszli my. Znam go.

— Dobrze. Prosz mu zatem pokaza te dokumenty. Zobaczymy, czy nabierze rozumu. Wróc za pi minut i wyja ni , o co chodzi.

Luciano siedział na tarasie oparty o kamiennego lwa. Zd ył ju si przebra w czarny sweter i spodnie, ale jeszcze si nie ogolił. Spojrzał na Cartera, kr c c głow .

— Sk d, u licha, pan ich wytrzasn ł?

— Jego wujek jest generałem.

— A ja bardzo dobrze znałem Ala Capone'a. Co to ma do rzeczy? Niech pan posłucha, profesorze, znam ten typ ludzi z Bostonu. Przepychaj si mi dzy sob , bo zawsze chc by pierwsi. Komu on potrzebny?

— Nam.

— Czy mógłby mi pan powiedzie dlaczego?

— Bo, ci le mówi c, jest to operacja ameryka ska i władze uznały, e dobrze by było, gdyby brali w niej udział tacy ludzie jak Savage i Detweiler.

— Aha, rozumiem. To ja si nie licz ?

— Co w tym rodzaju.

Carter u miechn ł si wiedz c, e mi dzy nim a Lucianem nie dojdzie z tego powodu do napi . Rozmawiali ze sob jak starzy przyjaciele — nie musieli udawa ani bra si za łby.

— Doskonale — powiedział Luciano. — Dopiero teraz naprawd czuj si potrzebny.

— To dobry ołnierz. Dwa krzy e za waleczno , Srebrna Gwiazda. Nawet Francuzi go odznaczyli. Kiedy działał we Francji jako agent OSS, został złapany przez gestapo i uciekł. Potem kilkakrotnie pokonywał Kanał z agentami Sił Specjalnych.

— Francja to nie Sycylia. Co on b dzie tam robił?

— Przed wojn jego ojciec przez cztery lata był dyplomata w ambasadzie ameryka skiej w Rzymie. Savage chodził tam do szkoły i dobrze mówi po włosku.

— Z rzymskim akcentem, profesorze. W Cammaracie s miasteczka, w których jego włoski b dzie równie przydatny co grecki. No dobrze, a ten Detweiler?

— Urodził się i wychował w Nowym Jorku, ale jego matka jest Włoszką. Całą sprawę już im pokrótce przedstawiłem. Szczegóły podam w czasie odprawy w bibliotece. Nie wie pan, gdzie jest siostra Maria?

Zagrzmiało, jakby znów miał padać deszcz.

— Chyba poszła na spacer. Pójdź, jej poszukaj.

— Dobrze. A więc za pół godziny w bibliotece — powiedział Carter i wszedł do rodka.

Maria siedziała na kamiennej ławce przy fontannie w ogrodzie różanym. Ubrana była w spodnie od dresu i oliwkowy wojskowy sweter, przynajmniej o dwa numery na nią za duży. Głowa miała owinięta szalikiem, który przypominał turban.

Było bardzo cicho i spokojnie, tylko w ród brzoź na końcu ogrodu nawoływały się gawrony. Sam fakt, że Maria mogła siedzieć tu, na dworze, zamiast w budynku, miał dla niej duże znaczenie.

Próbowała oswoić się z wolnością, jakiej nie zaznała od lat. To nie tylko sprawa oddalenia od klasztoru, przecie codziennie przebywała poza jego murami ze względu na pracę w szpitalu. Teraz to co innego. Czuliła się całkowicie odpowiedzialna za siebie jak przed wstąpieniem do zakonu. Lubowała, że będzie służyć nie tylko Bogu, ale również społeczeństwu, i przez długi czas była zupełnie pochłonięta tym pełnym ograniczonym życiem, a teraz ponownie sama decydowała o swoim losie.

Znów zagrzmiało. Maria spojrzała w niebo i podniosła się, by wrócić do budynku opactwa. W łukowatym wejściu do ogrodu, który był otoczony murem, pojawił się Luciano z wojskowym płaszczem w rękach.

— Teraz rozumiesz, dlaczego na chrzcie dano mi imię Salvatore — powiedział wesoło.

— Dziękuję, panie Luciano.

— Za dwadzieścia minut Carter chce się spotkać z nami w bibliotece, żeby omówi wszystko do końca. Reszta zespołu już tam jest: niejaki kapitan Savage i sierżant Detweiler.

— A więc chodźmy.

— Nie ma po piechu — rzekł i zapalił papierosa. Dalej mówił po sycylijsku: — Biedactwo, sprawiam ci kłopoty, prawda? Zburzyłem twoje uporządkowane, spokojne życie. W raju.

— To tak pan się widzi? W roli romantycznego intruza?

Kiedy przeszli pod łukiem, rozpadało się na dobre i Luciano wci gn ła Mari pod pergol , która dawała pewną osłonę przed deszczem.

— A ty? — spytał. — Jak ty mnie widzisz? Nie, nie odpowiadaj. — Przyłożył sobie palec do ust. — Cokolwiek o mnie mylisz, jestem kim innym.

— To odnosi się do nas wszystkich.

— Powiedz mi jedną rzecz. Jak to się stało, że wstąpiłaś do zakonu?

— Kiedy przyjechałam do Londynu, miałam bardzo mało pieniędzy. Przez jakiś czas pracowałam w sklepie i wówczas bardzo ciężko się rozchorowałam. Leżałam w szpitalu na oddziale dla ubogich, gdzie pielgniarkami były między innymi siostry miłosierdzia.

— I wtedy postanowiłaś zostać jedną z nich? O! nienie, Bóg zesłał kogoś, żeby ci to powiedział, czy co?

Tak dobrze pamiętała ten dzień, kiedy w czasie specjalnej mszy na klęczkach prosiła matkę przełożoną o przyjęcie do zakonu, zdecydowana prowadzić życie w całkowitej czystości, posłuszeństwie i ubóstwie, polegając na słusznym innym. Wciśkr poważyła się o tym mówić, lecz nie mogła tego uniknąć.

— Nie, dopiero teraz jest dla mnie jasne, dlaczego wstąpiłam do zakonu. Szukałam ucieczki. Powinnam dodać, że znalazłam Boga, panie Luciano, w momencie, który On uznał za odpowiedni.

— A tu nagle, jak w kiego filmie, zjawia się Carter, żeby ci z tego wszystkiego wyrwać ...

— Chyba ma pan rację — odparła z uśmiechem.

— I cię gniewa za siebie diabeł.

— Ten diabeł to ma być pan? W takim razie gdzie się rogi?

— Oj, nie wiem. Wszyscy skończymy tak samo — stwierdził pospiesznie nagle. — Tylko to jest absolutnie pewne. Wier . — Chwyć ją za ramiona, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć . — Uciekajmy stąd.

Kiedy weszli do biblioteki, Carter z Savage'em i Detweilerem już tam na nich czekał.

— A, jesteście — rzekł i przedstawił ich sobie. — Siostra Maria Vaughan, kapitan Savage.

— W tych okolicznościach proszę mi mówić po prostu Maria — powiedziała wychylnie .

Wymieniła z Savage'em krótki u cisk dłoni i usiadła. Zdjęła turban, odsłaniając krótko przystryżone czarne włosy, które nadawały jej chłopięcy wygląd.

— Bo e Wszechmogący! — wyszeptał Detweiler.

— Pana Luciana już znacie.

Savage skinął głową. Detweiler rzucił w ciekłe spojrzenie, a Luciano obojętnie usiadł na ławeczce we wnętrzu okiennej.

— Czy mogłoby jedno sprawę postawić jasno? — zaczął Carter. — Już od jakiegoś czasu zajmujecie się tego rodzaju operacjami wywiadowczymi, a prawda jest taka, że wiemy o was, czy się udajecie, czy nie, właściwie nie ma najmniejszego wpływu na losy wojny.

Savage poczuł się w obowiązku zmarszczyć brwi, gdy ta sugestia kwestionowała jego wojenną karierę.

— Nie sądzi pan, że to lekka przesada, panie pułkowniku?

— Nie, nie sądzę, ale jedno jest pewne: to nie dotyczy naszego przedsięwzięcia. Jeśli wszyscy dotrzemy na Sycylię, jeśli pan Luciano i Maria nawiąże kontakt, a mamy taką nadzieję, to oszczędzicie tysiące ludzi. Gdyby nam się nie udało, wówczas armia Pattona niepotrzebnie straciłaby żołnierzy. To bardzo proste.

Zaległo milczenie. Pierwszy odezwał się Savage.

— Kiedy wyruszamy, panie pułkowniku?

— Jutro wieczorem z bazy RAF-u w Hovingtonie. Polecimy Lancasterem nad Francję i Morzem Śródziemnym prosto do Algierii.

— A potem?

— Na Sycylię w ciągu czterech do pięciu dni, zależnie od warunków do zrzutu. Jeszcze jedno, kapitanie. Pan i sierżant Detweiler będą dziećmi ubranymi po cywilnemu, a wie pan, co to oznacza, jeśli wpadniecie w ręce wroga?

— Oni już i tak z rozkazu Hitlera od dwóch lat rozstrzelują naszych komandosów, którzy są już wojennymi w mundurach, panie pułkowniku. Nie widzą wielkiej różnicy.

— Skoro to rozumiecie, proszę wszystkich o podejście do mapy i zajmijmy się szczegółami.

W tym samym czasie w Bellonie Vito Barbera wchodził po krótkiej drewnianej drabinie do magazynu trumien nad zakładem pogrzebowym. Otworzył drzwi szafy stojącej w głębi podcienia i ręką nacisnął ukryty zamek. Cały tył szafy obrócił się wraz z półkami, ukazując

niewielkie zaciszne pomieszczenie, w którym stała radiostacja. Barbera zapalił wiatło, usiadł, nałożył słuchawki na uszy, a potem cierpliwie czekał. Wiadomo ci przekazywano mu o ustalonej godzinie trzy razy w tygodniu.

Drgnął usłyszawszy nagle sygnały. Sięgnął po ołówek i zaczął notować. Za jego plecami otworzyły się tajne przejście i weszła Rosa z kawą na tacy.

Nie przerywajcie pisanie, dał jej znak, żeby się nie odzywała. Po chwili zdjęła słuchawki i przeczytał to, co zapisał. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie.

— Co owa naga? — spytała.

— Wraca Carter.

— Sam?

Barbera przeczczyła pokręciła głową.

— Nie, Roso, nie sam.

Kiedy po kolacji Luciano szukał Cartera, został skierowany do strzelnicy w podziemiach, gdzie zobaczył go wraz z Savage'em na stanowiskach. Detweiler pomagał ładować pistolety zbrojmistrzowi, majorowi ze służby zaopatrzenia, niejakiemu Smithowi.

Luciano obserwował, jak Carter uważy nie celuje, oburzył się trzymając pistolet, a potem naciska spust i trafia w ramię sylwetki atakującego go Niemca na drugim końcu sali.

— Bardzo dobrze, panie pułkowniku — powiedział Savage.

— Wcale nie, bo celowałem w serce — odparł Carter. Wystrzelił jeszcze pięć naboje, raz trafiając w szyję i ponownie w ramię. — No cóż, nigdy zbyt dobrze nie strzelałem z pistoletu.

— Jak do wszystkiego, panie pułkowniku, trzeba mieć smykałkę — z humorem powiedział Savage i zaczął strzelać, oburzył się jak Carter, ale znacznie szybciej, lokując wszystkie pociski w klatkę piersiową.

— Nie przypominam sobie, żeby ktoś robił to lepiej od pana, kapitanie — odezwał się Detweiler.

— A pan? — spytał Carter Luciana.

Luciano wziął Browninga, zważył go w ręku i pokręciła głową.

— Z pistoletami to kłopot, bo się zacinają — stwierdził i zwrócił się do zbrojmistrza: — Nie ma pan nic innego?

— Może by Webley 38, panie kapitanie? — spytał Smith.

— Nieporęczny.

— W tej chwili dysponuj tylko jeszcze jednym rewolwerem, smith and wesson 32, z krótką lufą.

Luciano wziął go prawą ręką, a potem przełożył do lewej.

— To już lepiej. Ma pan do niego tłumik?

— Pewnie... tutaj.

Smith wyjął tłumik z szafki i przykręcił go do lufy. Kiedy podawał rewolwer Lucianowi, Detweiler powiedział:

— Pukawka. Tylko z bliska można coś tym zdziałać, ale to w pańskim stylu, prawda?

Luciano odwrócił się i błyskawicznie wystrzelił dwa razy. Obie kule trafiły sylwetkę w serce.

Wszyscy z szacunkiem milczeli.

— Powiedziałbym, że ten drugi strzał był raczej zbędny — odezwał się Savage.

— Lubię mieć pewność — odparł Luciano. — Ranny może odpowiedzieć ogniem.

— Przydałyby się dwie tarcze — powiedział Savage, zwracając się do Detweilera.

Kiedy Detweiler posłusznie ruszył w głąb strzelnicy, Luciano odłożył rewolwer, przestrzegając normalnych zasad bezpieczeństwa. Zmieniwszy dwie tarcze, się odwrócił.

— Ej, Detweiler! — zawołał Luciano. — Powiedziało się, że zawsze robi to najlepiej z bliska...

Znowu chwycił za rewolwer i na pozór bez celowania dwukrotnie wystrzelił. W sylwetce obok się anta w miejscu, w którym powinny być oczy, pojawiły się dwie dziurki.

Detweiler krzyknął ze strachu i odskoczył, a Luciano zaczął się śmiać. Wciąż jeszcze się śmiał, kiedy wychodził.

— Mówi się, że on osobiście zabił co najmniej dwadzieścia osób — zauważył Carter.

— Cóż, mogą powiedzieć tylko jedno, panie pułkowniku. Bardzo się cieszą, że on jest po naszej stronie — rzekł Savage.

Nazajutrz wczesnym rankiem Maria obudziła się z głębokiego snu. Błądliwie witała się przez zasłony w oknach. Leżała jeszcze przez kilka chwil. Przypomniała sobie, że to jej ostatni dzień w opactwie. Wieczorem na pokładzie samolotu poleci do Algierii, skąd nie będzie odwrotu.

Ju si nie bała, ale wszystko po prostu było inaczej, zupełnie jak we nie. Zaledwie przed kilkoma dniami klasztor i szpital stanowiły dla niej cały wiat, codzienne zaj cia wypełniały jej czas, absolutnie j pochłaniaj c. Nic nie budziło w niej adnych w tpliwo ci. Lecz teraz?

Podniosła si i przez chwil stała przy łó ku. Tej nocy spała nago, czego nie robiła od lat, w klasztornym łó ku bowiem zawsze miała na sobie skromn lnian koszul zakonnicy.

— Natychmiast wrzu co na grzbiet, Mario — cicho powiedziała do siebie i wło yła aksamitn sukienk .

Jej pokój znajdował si na parterze. Otworzyła francuskie okno, popatrzyła na ogród i wyszła na taras. W porannym sło cu wiat wydawał si niewiarygodnie pi kny — drzewa wieciły jakim niezwykłym blaskiem, leniwie krakały gawrony.

Maria czuła si jednak troch nie na miejscu, nie miała wiadomo ci, e jest cz ci tego wszystkiego. Odnosiła wra enie, jakby ogl dała jaki dziwny podwodny wiat w zwolnionym ruchu. Machinalnie zeszyła z tarasu i ruszyła boso po mokrej trawie.

Równie Luciano wcz nie si obudził. Siedział w pi amie przy oknie swojego pokoju, zaci gaj c si pierwszym papierosem, kiedy spostrzegł Mari id c po trawie w stron lasu. Wstał nie odrywaj c od niej wzroku, lekko zmarszczył brwi, a potem wyrzucił papierosa za okno, odwrócił si i zacz ł si po piesznie ubiera .

Maria zagł biła si w las, wci niczym we nie. Krakanie gawronów jakby si oddaliło i ogarn ła j cisza, jakiej jeszcze nie znała. Wyszła na dług grobl nad pi knym jeziorem, zatrzymała si i popatrzyła za wod .

Nagle całkiem wyra nie odezwał si jaki głos.

— Mam wszystko, nie posiadaj c niczego.

To był jej własny głos, który przywołał j do rzeczywiście ci. Znów słyszała krakanie gawronów siedz cych na gał ziach brzóz, czuła wo mokrej trawy i napawała si urod poranka.

A wi c tak to wygl da! — pomy lała. — Z cał pewno ci to wszystko równie do mnie nale y.

Jeszcze nigdy nie czuła si tak pogodzona ze wiatem, tak bardzo

z nim zwi zana jako jego integralna cz . Wydało si jej wi c zupełnie naturalne, e zsun ła z siebie sukienk i weszła do zimnej wody. Odwróciła si na plecy i z zamkni tymi oczami unosiła si na powierzchni jeziora, wystawiaj c twarz ku sło cu.

Id c przez las, Luciano zatrzymał si , zobaczywszy Detweilera przykucni tego za drzewem w miejscu, gdzie cie ka opadała w stron jeziora. Zacz ł cicho si do niego zbli a , a dostrzegł obiekt zainteresowania sier anta: Mari unosz c si na wodzie w ród lilii.

— Ej, Detweiler! — szepn ł, a kiedy ten si odwrócił, uderzył go kolanem w twarz.

Sier ant wywin ł kozła, ale szybko si pozbierał i skoczył na Luciana. W r ku Luciana pojawiła si madonna z ko ci słoniowej, trzasn ło otwierane ostrze, którego koniec rozkrwawił Detweilerowi policzek.

— A teraz uwa nie słuchaj, co ci powiem, bo nie lubi si powtarza — rzekł Luciano. — Je eli jeszcze raz ci złapi blisko niej, to w jakim rowie znajd twojego trupa z pewn bardzo osobist cz ci ciała w ustach. To taki stary sycylijski zwyczaj.

Detweiler spojrział na niego wzrokiem, w którym strach mieszał si z nienawi ci .

— eby ci szlag trafił, ty sukinsynu! — warkn ł chrapliwie, cofn ł si , odwrócił i odszedł.

Zło ywszy nó , Luciano schował go do kieszeni.

— Hej, licznotko! — zawołał po sycylijsku. — Czy tak zachowuje si przyzwoita dziewczyna?

— Panie Luciano! — odkrzykn ła. — Prosz tam zosta !

Bez po piechu zapalił papierosa. Po chwili zszedł cie k na grobl , gdzie Maria dopinała sukienk .

— Jeste szalona, wiesz?

U miechn ła si zniewalaj co.

— Jeszcze nigdy nie byłam taka głodna.

— Wracajmy wi c na niadanie.

Pokr ciła głow .

— W tej chwili to niemo liwe. We wsi jest ko ciółek katolicki. Id na porann msz . Nie poszedłby pan ze mn ?

— A mog ?

— Ka dy mo e sko czy na kl czkach, nawet „Szcz ciarz” Luciano.

Roze miał si .

— No dobrze. Powiem ci, co zrobi . Odprowadz ci do ko cioła i
zaczekam na zewn trz. Co o tym s dzisz?

— Na pocz tek wystarczy.

Szli razem cie k w gór . Lekki wiatr przyniósł znad jeziora
wilgotn wo gnij cych li ci. Maria zatrzymała si i u miechn ła.

— Czy to nie cudowne? W taki dzie człowiek czuje, e yje —
powiedziała i pu ciła si biegiem po cie ce, zakasawszy sukienk .

Luciano patrzył za ni i mimo sło ca zrobiło mu si zimno. Miał
uczucie, jakby kto zdeptał mu grób. Wracaj c my l do dzieci stwa,
które sp dził na Sycylii, instynktownie uniósł dwa palce i kciuk w
starym znaku, którym odstraszano złe moce, a potem ruszył za Mari .

Rozdział ósmy

Avro Lancaster był bombowcem, który odnotował największe sukcesy w lotnictwie sprzymierzonych podczas II wojny światowej. Do jego osiągnięć należało zatopienie „Tirpitz”, niemieckiego pancernika kieszonkowego. Zaledwie trzy tygodnie wcześniej Lancasterzy 617 Eskadry przeprowadziły jeden z najmniejszych nalotów tej wojny, niszcąc tamy w Zagłębiu Ruhry, wskutek czego ten największy region przemysłowy Niemiec znalazł się pod wodą.

Tu po godzinie dziewiętej wieczorem Lancaster M jak „Miła” oderwał się od pasa lotniska RAF-u w Hovingtonie i dołączył do grupy czterech bombowców, które wystartowały ze wszystkich baz w południowej i wschodniej Anglii.

Nad Morzem Północnym zebrało się ich już ponad sześćset, a ostatni leciał około stu pięćdziesięciu kilometrów za pierwszym. Celem były doki w Genui, dokąd miały dotrzeć nad Francją i Alpami — z wyjątkiem „Miłej”, która w ustalonym punkcie odłączyła się od głównej grupy, biorąc kurs na Afrykę Północną.

W ciasnym wnętrzu samolotu było bardzo zimno. Cztery potężne silniki tłokowe hałasowały prawie nie do wytrzymania. Zespół Cartera, zaopatrzone w grube skafandry pilotów i piwory, tłoczył się w kadłubie.

Luciano spojrzął w górę na strzelca w wieżyczce, a potem na Marię, która siedziała naprzeciwko i zdawała się spać. Kiedy otworzyła oczy, Luciano pochylił się ku niej.

— Dobrze się czujesz?

— Doskonale — odparła z uśmiechem.

Oczywi cię było to kłamstwo, bo znowu się bała. Przerwała jej nie tylko czekanie na ich niebezpieczeństwo, lecz przede wszystkim perspektywa spotkania z dziadkiem. Na sam myśl o tym ze strachu ciskało ją w ołdki.

Luciano się cofnął, głębiej wcisnął w piwórnice i próbował zasnąć pomimo wibracji kadłuba, ryku silników i dotkliwego zimna. Na Boga, co ja tu robię? — przemknęło mu przez myśl.

Siedzący trochę dalej Detweiler obserwował go wzrokiem pełnym nienawiści.

Franciszkański klasztor pod wezwaniem Cierniowej Korony leżał osiem kilometrów od Bellony. Usytuowany na grani, trzysta metrów nad doliną, skąd we wszystkie strony rozciągał się widok na trzydzieści kilometrów, przed wiekami był saraceńskim zamkiem. Ze swoimi kamiennymi murami wysoko cię trzydziestu metrów klasztor w dalszym cię gu bardziej przypominał zamek.

Vito Barbera dotarł tam z Bellony w cięgu półtorej godziny, jadąc na grzbiecie muła po drodze, która zygzakami wznosiła się zboczem góry. U podstawy murów wciąż widać było fosy, teraz pełne chwastów i młoci. Barbera przejechał po drewnianym moście do jedynej wejściowej bramy i zatrzymał się przed drzwiami.

Pochylił się w siodle i pociągnął za łańcuch dzwonka, który zadźwięczał gdzieś daleko, jakby nierealnie w to upalne popołudnie. Zmierzony Barbera czekał, spoglądając w dolinę.

Po chwili otworzyło się małe okienko, przez które wyrzął młody brodaty mnich. Nic nie powiedział, po prostu zamknął okienko. Wkrótce ze zgrzytem otworzyła się brama i Barbera wjechał do podwórka.

Ojciec Giovanni, przeor klasztoru, był wysokim, w tym starym wieku siedemdziesięciu lat. Jak wszyscy franciszkanie w Cierniowej Koronie nosił nie strzyżony brodę, w jego wypadku prawie białą, jedynie ze ładami nikotyny wokół ust.

Ubrany był w brązowy myk na głowie i brązowy habit, przewieszony w pasie plecionym sznurem, na którym wisi duży krucyfik. Miał uduchowioną twarz, znamionującą siłę i zdecydowanie, ale bystre spojrzenie jego oczu zawsze skrzyło się humorem.

Czerwone dachy zabudowa klasztornych wznosiły si niczym schody do szczytu murów obronnych, gdzie przeor trzymał goł bie, które były jego wielk miło ci przez całe ycie. Akurat krz tał si przy nich, gdy młody brat Lucio przyprowadził Barber .

— A, Vito! — rzekł stary przeor. — Miło ci widzie .

Barbera zdj ł czapk i pocałował wyci gni t r k — nie tylko z powodów religijnych, ale równie dlatego, e wszyscy wiedzieli o powi zaniach ojca Giovanniego z mafi . Mori, tak dobrze znany szef policji Mussoliniego, po wi cił wiele czasu, próbuj c to udowodni . Udało mu si nawet postawi ojca Giovanniego przed s dem, lecz proces zmienił si w ałosn fars , a ława przysi głych nie uznała przeora ani innych członków jego zakonu za winnych cho by karmienia goł bi w parku.

Ojciec Giovanni wyj ł papierosa z puszki stoj cej na murze.

— Co słycha w miasteczku?

— Niedobrze — odparł Barbera, kr c c głów . — Ten gestapowiec Meyer i ci jego Rosjanie

— A ten drugi, pułkownik Koenig?

— Porz dny człowiek w niewła ciwym mundurze. — Barbera wzruszył ramionami. — Tylko e strasznie głupi, *padre*. Uwa a, e wojn mo na prowadzi zgodnie z zasadami, jak w karcianej grze.

— No, no! — Starzec pokiwał głów . — W czym ci mog pomóc?

— Mam wiadomo dla don Antonia.

— Mój drogi Vito, któ mo e wiedzie , gdzie jest don Antonio? — odpowiedział przeor z u miechem.

Barbera podszedł do goł bnika i poskrobał siatk , gruchaj c do ptaków.

— Jestem pewien, e ma tu paru przyjaciół, którzy mogliby go znale , i to niezbyt daleko.

Ojciec Giovanni usiadł w wiklinowym fotelu.

— Vito, je eli to wiadomo od twoich przyjaciół z Algierii, je eli ma co wspólnego z mafi i ameryka sk inwazj , to ci powiem, e tylko niepotrzebnie tracisz czas. Don Antonio nie lubi Niemców, ale prawie tak samo nie lubi niczego, co ameryka skie. Nie... w tym wypadku pozostanie w górach. On nie yczy sobie, eby go w to wci gni to.

— Ale teraz to co innego, *padre*. Przyje d a jego wnuczka Maria.

Starzec spojrział na niego zdumiony.

— Tu, do Cammaraty? Jakim cudem?

— Zawiadomili mnie przez radio. Wraca Carter, i to lada chwila.

Ojciec Giovanni ze zło ci zdusił papierosa.

— Głupiec. Mówiłem mu ostatnim razem, że mam już tego dość. Tylko szuka miłości. Ale powiedz mi coś więcej o tej dziewczynie. Carter przywiezie ją ze sobą, prawda? Pewnie mają nadzieję, że może ona, jak nikt inny, zdoła wpłynąć na don Antonia. — Wzruszył ramionami. — Nie byłbym tego taki pewny.

— I jeszcze jedno, *padre*, znacznie ważniejsze: przyjedź z nim Luciano.

Starzec wytrzeszczył na niego oczy.

— Lucania? — spytał szeptem, używając sycylijskiego nazwiska Luciana. — Przyjedź z tu Salvatore Lucania? Ale przecież on jest w więzieniu. — Nagle zaczął rozumieć. — Aha... to taka taktyka. Luciano i wnuczka starego don Antonia. Harry Carter pewnie myśli, że w ten sposób wygra.

— A ty, *padre*! Co ty o tym myślisz?

— Czy to, co ja myślę, może mieć jakieś znaczenie? Postaram się, żeby jeden z moich małych przyjaciół przekazał te wiadomości don Antoniowi — powiedział dotykając gołębika — a on już zrobi, co uzna za stosowne. Kiedy oni przyjadą?

— W ciągu kilku najbliższych dni. Zawiadomi mnie przez radio.

— Skontaktuj się ze mną, kiedy będziesz znał dokładną datę. Czy rozmawiałeś o tym z komitetem okręgowym?

— Nie — odparł Barbera.

Komitety okręgowe zorganizowano latem ubiegłego roku, by koordynowały działalność grup ruchu oporu.

Ojciec Giovanni położył Barberze dłoń na ramieniu.

— A teraz, mój przyjacielu, zasiądź ze mną do stołu. Przyda ci się to przed powrotem drogą do Bellony.

Harry Carter czekał na tarasie willi w Dar el Ouad, gdy Eisenhower wjechał na dziedziniec. Generał zsiadł z konia, oddał wodze stajennemu i po stopniach ruszył do wejścia, skinął głową salutując wartownikom. Kiedy wszedł do hallu, Cusack wstał zza biurka.

— Pułkownik Carter czeka, panie generale.

Eisenhower odwrócił się, słysząc kroki Cartera wracającego z tarasu. Uważnie mu się przyjrzał.

— Proszę, niech pan wejdzie, pułkowniku — powiedział i wszedł do swojego gabinetu.

Rzucił szpicrut na stół.

— Czytałem pański raport. Widz, że nie tracił pan czasu.

— Zgadza się, panie generale.

— Gdzie się pan zatrzymał?

— W niewielkiej willi niedaleko lotniska w Maison Blanche.

— Wygodnie tam?

— Wystarczająco, panie generale.

— Luciano i wnuczka tego Luki to jak dwa asy. Proszę spocząć. Carter usiadł.

— Wciąż trwają przygotowania do inwazji, panie generale?

— O, tak. Oczywiście oni, o tym wiedz. Postarali się o to. Teraz spodziewaj się nas w każdej chwili. Nasz plan polega na takim wprowadzeniu ich w błąd, żeby każdy atak na Sycylię potraktowali jako pozorowany, a za prawdziwe cele uznali Sardynię i Grecję.

— Kiedy to się zacznie, panie generale?

— Wyłóżcie do pańskiej wiadomości, pułkowniku. Proszę tego nie mówić swoim ludziom, chyba że w absolutnie wyjątkowych okolicznościach.

— Oczywiście, panie generale.

— Dziewięć tego. — Eisenhower odwrócił parę kartek kalendarza stojącego na biurku i uśmiechnął się. — Tu jest napisane: „Dobry dzień, by się zająć i ocenić swoje dotychczasowe zwycięstwa”.

— Ale to daje nam tylko cztery dni — stwierdził zdziwiony Carter.

— Wiem, lecz na ten dzień nasi meteorologowie gwarantują nam sztormy. W takich pogodach Włosi nie będą się spodziewali żadnego ataku.

— Zatem, jeżeli mamy wyruszyć, to najpóźniej jutro wieczorem, a wtedy pozostanie nam zaledwie trzy dni na dotarcie do celu.

— A dużo czasu wam potrzeba? — spytał Eisenhower. — Wszystko ułatwi jedno spotkanie z Luką. Jeżeli zdecyduje się do nas przyjechać, to po prostu wystarczy, że szepnie słówko, nieprawda?

— Teoretycznie tak, panie generale.

— Cóż, wszystko zakładamy teoretycznie. — Eisenhower wstał, podszedł do mapy i uderzył palcem w Cammaratę. — Tutaj mają podobrzęta dwie główne drogi, którymi będziemy posuwali się do Palermo. W tym kierunku ci wojska włoskie z artylerią wszelkiego rodzaju, w tym osiemdziesiątka czołgów, a pan wie, co one robi z naszymi czołgami. Mają tam nawet parę niemieckich tygrysów. Jeżeli zdecydują się walczyć, to mogą nas zatrzymać na całe tygodnie. Gdyby się poddali, to wówczas te kilka niemieckich jednostek w tym rejonie

b dzie musiało szybko si wycofa , otwieraj c George'owi Pattonowi drog do Palermo.

— Orientuj si w sytuacji, panie generale.

— Nie wie pan jednak, e od czasu naszej ostatniej rozmowy dotarły do nas z Rzymu informacje, e ten cały domek z kart gotów si rozpa . Mussolini jest bliski upadku. Wystarczy tylko jeszcze troch nacisn i marszałek Badoglio zajmie jego miejsce, a to oznacza zawarcie pokoju z Włochami.

— Naley uwzgl dni jeszcze jeden aspekt — rzekł Carter. — Przed przybyciem tutaj zatrzymałem si w Maison Blanche, by z podpułkownikiem Grantem omówi przygotowania do zrzutu. Powiedział mi, e dowództwo lotnictwa zawiesiło wszelkie operacje nad Sycyli . Zdaje si , e stracili my tam ostatnio cztery halifaxy.

— Tak, wiem o tym — spokojnie odparł generał. — Jednak e pisemne upowa nienie, którym pan dysponuje, umo liwia zmian tego rozkazu.

— Chodzi o to, e zdaniem Granta istniej niewielkie szanse, by halifaxowi udało si dotrze nad cel.

— Czy on twierdzi, e to niemo liwe? — spytał Eisenhower.

Carter przypomniał sobie słowa Granta.

— Powiedzmy, e nie daje nam zbyt du ych szans.

— Uwa a pan, e naprawd ich nie ma?

— Nie, ale po prostu jestem realist , panie generale.

Eisenhower podszedł do okna.

— Wie pan, pułkowniku, co odkryłem w sprawie dowodzenia? — odezwał si patrz c na ogród. — e nawet Napoleon był tylko tak dobry jak jego najgorszy ołnierz. Cho by si najlepiej wszystko zaplanowało, wynik całej bitwy mo e zale e od kilku odwa nych ołnierzy, którzy nie oddadzą wrogowi jakiego mostu. Według mojej własnej teorii tak jest w ka dej bitwie. Gdzie w czasie działa , o czym mo emy nigdy si nie dowiedzie , jakie jedno wydarzenie decyduje o tym, komu przypadnie zwyci stwo.

— Tak, chyba ma pan racj , panie generale.

Eisenhower si odwrócił.

— Cokolwiek si stanie, ruszamy na Sycyli . Ryzujemy. Mo e zwyci ymy z du ymi stratami, ale o ile wiem, to Luca b dzie tym decydującym elementem, o który mi chodzi. Od niego zaley, czy wygramy, czy nie.

— A wi c mamy lecie , panie generale?

Eisenhower u siebie, tym razem trochę smutno.

— Trudne decyzje zawsze były przywilejem dowódców, pułkownika. Niech pan leci i zaryzykuje. — Wyciągnij rękę. — Mogę tylko życzyć panu powodzenia.

Siedząc za swoim biurkiem w Maison Blanche, Harvey Grant czytał upoważnienia wydane przez generała Eisenhowera i prezydenta Roosevelta. Kiedy skończył, zwrócił je Carterowi.

— To szaleństwo. Moim zdaniem równa się samobójstwu. Jak już powiedziałem, nie daję wam nawet pięćdziesięciu procent szans. I jeszcze jedno: loty wstrzymano nie z powodu strat. Wiem, że lada dzień nastąpi inwazja. Mówi się o tym na każdym bazarze w Algierze, a jeszcze o jakiejś gigantycznej pozorowanej akcji dla zmylenia wroga. Sycylia czytaj Sardynia. Czego oczekuje nie widzę ...

— Nic ci nie mogę powiedzieć na ten temat — rzekł Carter.

Nagle Grant uderzył dłońmi w blat.

— Rany boskie, Harry, chyba mam! Czego oczekuje nie widzę ... poprawka: na to, co spodziewasz się zobaczyć, nie zwracaj uwagi.

— Nie rozumiem cię.

— Zaraz zrozumiesz. Chodź, to cię pokażę. Zeszli po schodkach i ruszyli w stronę hangarów.

— Powiedziały, że ilu was jest?

— Pięć osób, w tym jedna kobieta.

— O Boże, kobieta? Mimo wszystko chyba się zmieniście.

— O czym ty mówisz?

— O tym.

Grant pokazał rękę i zaprowadził Cartera do końca hangaru, gdzie w mroku czaił się pomalowany na czarno niemiecki nocny myśliwiec Ju-88 S.

— Naprawdę myślisz, że się uda? — spytał Carter.

— Trzeba tylko pomachać pistoletem i z powrotem zmienić znaki rozpoznawcze RAF-u na niemieckie. Rzecz w tym, że to małe stwo ma urządzenie zwiastujące moc silnika, które umożliwi osi gąsienic prądki cię rzędu sześciusetek, co pozwoli wam dotrzeć do strefy zrzutu w niecałą godzinę. Tak czy inaczej dla każdego będzie we wszystkich szczegółach wyglądał jak jeszcze jeden nocny myśliwiec.

Carter powoli kiwał głową .

— Chyba masz rację .

— Szkopy te u ywały go do takich samych celów — z irytacją powiedział Grant. — St d odpowiednie modyfikacje w postaci tych specjalnych drzwi, które zamontowali, eby mo na było szybko wyskakiwać . To wi cej ni zwykły zbieg okoliczności ci, Harry, to u miech losu.

— No dobra — rzekł Carter. — Powiedzmy, e si uda, ale jak wróci? Rzuc si na niego wszystkie my liwce RAF-u w tym rejonie, gdy tylko przekroczy lini brzegu.

— aden problem. Naturalnie b d musiał zawiadomi marszałka Sloane'a z dowództwa lotnictwa i zamierzam to zrobić , ale z tym równie nie powinno by adnego problemu, skoro zobaczy twoje upowa nienie. On mi załatwi odpowiednie przyj cie, kiedy b d wracał.

— Przecie nie wolno ci lata . Zapomniałeś ?

— Nie tym razem, staruszkule — odparł Grant, poklepując kadłub junkersa. — Nie twierdz , e jestem jedynym pilotem w eskadrze, który potrafi tym lata , ale tylko ja mog zapewni tej operacji jakie szanse powodzenia. Zabior ze sob Joego Collinsona, głównego nawigatora eskadry. Wylatał tym samolotem tyle samo godzin co ja i ju zapoznał si z jego urz dzeniami.

W tej sytuacji Carter mógł si tylko zgodzić i skin ł głową .

— W porz dku, Harvey.

— Kiedy startujemy?

— Jutro wieczorem, je eli nie masz nic przeciwko temu.

— Ta sama strefa zrzutu co ostatnio? Pod Bellon ?

— Tak.

— Je eli pójdziesz ze mn do meteo, to zobaczymy, jaka b dzie pogoda, cho to i tak wszystko jedno. Powiedziałbym, e mo esz ju zawiadomi swoich ludzi w Bellonie, by czekali na was około jedenastej.

— wietnie.

— Dobra, a wi c chod my. Jest jeszcze troch roboty.

Generał Alfredo Guzzoni, dowódca 6 Armii Włoskiej, zwołał naradę sztabu w swojej tymczasowej kwaterze w Grand Hotelu w Palermo. Uczestniczyli w niej głównie oficerowie włoscy, ale była tam równie garstka Niemców z Meyerem i Koenigiem.

Guzzoni, wietny ołnierz, weteran licznych kampanii, przez godzin omawiał sytuację w rejonie Morza ródziemnego.

— A wi c, panowie — powiedział na zakończenie — wiemy, że oni wkrótce nadejdą. W pewnym momencie przypuszczają pozorowany atak na Sycylię, główne uderzenie kierując prawdopodobnie na Sycylię. Nie spodziewamy się żadnych działań przynajmniej przez najbliższy tydzień. Komunikaty meteorologiczne przewidują silne burze. Są pytania?

Było ich kilka. W pewnej chwili podniósł rękę Meyer.

— O co chodzi, majorze? — spytał Guzzoni.

— O współpracowników, panie generale. Nie możemy jej oczekiwać ze strony tych przeklętych chłopów z gór, ale skoro mam do czynienia z tym, co mam na okoliczności całkowitym brakiem pomocy jednostek armii włoskiej...

Wśród włoskich oficerów rozległ się pomruk gniewu. Sytuację załagodził Koenig, który wstał i powiedział:

— Należałoby wybaczyć majorowi Meyerowi, panie generale. Był może nie znany mu fakt, że Włosi giną daleko na wschodzie, a nie na przedpolach Moskwy, a wielu z nich leży także pod Stalingradem. Miałem to szczęście, że niejednokrotnie walczyłem ramię w ramię z włoskimi żołnierzami i jestem im za to wdzięczny.

Kilku włoskich oficerów zaczęło spontanicznie bić brawo. Meyer spokojnie popatrzył na Koeniga, wziął swój teczek i wyszedł. Zbliżył się Guzzoni i wyciągnął dłoń.

— Chyba zrobił pan sobie tutaj wroga.

— Jako to przeżyj, panie generale.

Guzzoni objął go ramieniem.

— Kiedy w zeszłym miesiącu byłem w Berlinie na posiedzeniu naczelnego dowództwa Wehrmachtu, miałem przyjemność poznać pańskiego ojca. Proszę zjeść ze mną obiad, a opowiem panu, jak on się miewa.

Willa, w której mieszkał Carter ze swoim zespołem, znajdowała się nad brzegiem morza, osiem kilometrów od Maison Blanche. Była zaniedbana i wymagała malowania, ale była jednak w zdumiewająco pięknej okolicy. Od morza oddzielał ją dziczyzna ogród i piaszczyste wydmy, za którymi jak okiem sięgnąć rozciągała się biała plaża.

Carter zebrał cały zespół na odprawę w największym pokoju. Na ścianie wisiała mapa Sycylii; kilka dużych kopert leżało na stole.

Referował przebieg sprawy, które już przedtem omawiał. Na zakończenie rzekł:

— Macie jakie pytania?
— Kiedy rozpocznie się inwazja, panie pułkowniku? — odezwał się Detweiler.
— Jeszcze nie musicie tego wiedzieć — odparł Carter. — Wyznaj zdrowe zasady, a przed akcją w terenie należy do minimum ograniczyć znajomość dat, faktów i nazwisk. Im mniej będzie wiedzieli, tym mniej ujawnią, gdyby was ktoś przycisnął. Oczywiście dla wszystkich przygotowano fałszywe dokumenty.
— A gdyby coś nie wyszło w czasie dowodzenia? — spytał Savage.
— Jeżeli komuś z nas nie uda się połączyć z grupą, to dokąd pójdzie?
— Tutaj nad doliną jest franciszkański klasztor pod wezwaniem Ciernistej Korony. Tam będzie nasza główna kwatera. Są jeszcze jakie pytania?
Zaległo milczenie.

Maria siedziała w zagłębieniu między wydrami, kiedy odnalazł ją Luciano. Usiadł obok niej i zapalił papierosa.
— Wrócił Carter. Za pół godziny chce nas wszystkich zobaczyć.
— To już wyjeżdżamy?
— Na to wygląda.
Maria popatrzyła w morze, obejmując ramionami kolana.
— Co tam wypatrujesz? Sycylii? — spytał Luciano.
— Dawno jej nie widziałam.
— Dziadka też dawno nie widział.
— Tak. Byłoby zbyt dawno dla nas obojga. Nie pomyślał pan o tym?
— Ja tak, ale profesor chyba nie.
Pokręciła głową.
— Wszemocny Luciano. Czy dla pana nie ma rzeczy niemożliwych?
— Parzy się znaleźć. Nawet diabeł miewa gorsze dni.
Chwyć ją za rękę i pociągnij, stawiając na nogi.
— Chodźmy, czas coś przekazać.
Idąc obok siebie, zniknęli za wydrami. I wtedy nie opodał coś się poruszyło w kępach wysokiej trawy. Był to Detweiler, który wstał i przez chwilę z dziwnym wyrazem oczu strząpywał piasek z dresu, a potem ruszył za nimi.

Rozdział dziewięty

W swoim domu za zakładem pogrzebowym Vito Barbera przewodniczył zebraniu komitetu okręgowego. Był tam Pietro Mori, kierownik szkoły. Ten szczupły, wawy czterdziestosecioletni mężczyzna w okularach w drucianej oprawce walczył w Brygadzie Międzynarodowej w Hiszpanii. Również tam obecny Ettore Russo walczył razem z nim i tylko to jedno ich imię było, Ettore bowiem odziedziczył po ojcu stado owiec, czym budził podejrzenia u wielu swoich towarzyszy.

Chrześcijańskich demokratów reprezentował ojciec Collura, proboszcz parafii w Bellonie, separatystów zaś karczmarz Verga. Choć oficjalnie tego nie ogłoszono i nigdy nie było takiej potrzeby, Vito Barbera wystąpił tam w imieniu szacownego stowarzyszenia — mafii.

Kiedy skończył mówić, zapadło długie milczenie. Pierwszy odezwał się Mori.

— A więc co chcesz, żebyśmy zrobili? Padli na kolana, bo zjawia się u nas ten bandyta?

— „Salvatore przybywa, żeby nas uratować” — przedrzętnął Barbera Ettore Russo. — Przed kim?

— Przed Niemcami — odparł Vito.

— Tak, ale nie przed mafią — wtrącił karczmarz Verga. — My z ruchu separatystycznego chcemy, żeby Sycylia była naprawdę wolna, a nie tylko oderwana od Włoch i dalej rządzona przez tych samych gangsterów z mafii.

— Czy naszym najważniejszym zadaniem nie powinno być jak najwcześniejsze wspomaganie amerykańskiej inwazji? — spytał ojciec

Collura łagodnym głosem. — Dyskusje nad tym, kto ma rządzić krajem, zostawmy na potem. To sprawa demokratycznych wyborów.

— Cudownie — rzekł Mori. — Demokratyczne wybory z mafii, która wszystkich trzyma za gardło.

— Cokolwiek można na o niej powiedzieć, to jednak mafia nigdy nie zajmowała się polityką — stwierdził Barbera. — Chyba nikt z obecnych tu nie zaprzeczy.

— Ale zawsze stała za plecami władzy — odparł Russo.

Barbera westchnął.

— Czy mam więc rozumieć, że w tej chwili nikt nie jest za tobą jakiegokolwiek uzgodnionej akcji?

— Kiedy przyjdą Amerykanie, zrobimy powstanie w górach, ale Luciano niech sobie idzie do diabła — powiedział Mori.

— A wnuczka don Antonia Luki też ma iść do diabła?

Na dźwięk tego nazwiska wszyscy umilkli. Mori zerknął na Russa i uśmiechnął się z przymusem.

— Słuchaj, Vito, stary przyjacielu, żaden z nas oczywiście cie nie chce obrazić don Antonia.

— Tak też myślałem. — Barbera spojrzał na zegarek i wstał. — Moi przyjaciele będą tu za jakie trzy godziny, a więc musicie mi wybaczyć. Naturalnie wiem, że nikomu tego nie powiecie. W razie wpadki wiadomo będzie, kogo szukać. — Uśmiechnął się wzruszając ramionami. — Ale co ja wygaduję.

Kiedy znaleźli się w ciemnej uliczce, ka dy wybrał inną drogę poza Morim i Russem, którzy przez chwilę szli razem.

— Wiem, że nie zawsze na wszystko patrzemy jednakowo — odezwał się Mori — ale w tej sprawie chyba się zgadzamy. Gdyby Luciano i Luca połączyły siły, to nasz ruch będzie musiał walczyć z dwugłowym gigantem.

— Jeśli chodzi ci o to, żeby szybko coś zrobić z Lucianem, podzielam twoje zdanie — rzekł Russo.

Mori objął go ramieniem.

— Wróć do mnie i razem zjemy kolację. Pogadamy sobie o tym w spokoju, a mam butelkę doskonałego chianti.

Maison Blanche pokrywała gęsta, wilgotna mgła znad Morza Ródziemnego, ograniczając widoczność do co najwyżej dwustu metrów. Ponownie zaopatrzeni w znaki rozpoznawcze Luftwaffe junkers

czekał na pasie startowym mniej więcej od półgodziny. Carter i pozostali członkowie zespołu tłoczyli się w ciasnym kadłubie, obładowani spadochronami i sprzątem.

Nawigator, porucznik Collinson, już był na pokładzie i oswajał wzrok z radarem pozwalającym junksowskiemu widzieć w ciemności.

Przed wejściem do sali odpraw stał Harvey Grant w towarzystwie marszałka lotnictwa Sloane'a, który specjalnie tu przyleciał, by osobiście ich odprowadzić.

— Niedobrze, Harvey — odezwał się marszałek. — Fatalna pogoda, mniej więcej taka sama, jak ją miałem. Jeśli polecisz, to może nie uda ci się wyłowić, gdyby nawet wrócił.

Zjawił się jakiś młody pilot i podał Grantowi prognozę meteorologiczną.

— Przewiduj deszcz i burze z piorunami — ucieszył się Grant. — Dla mnie to bardzo dobrze, panie marszałku. Do zobaczenia za dwie godziny. Wówczas tej waty już w ogóle tu nie będzie.

Odwrócił się i podszedł do junksa, wkładając na głowę hełm lotniczy. Sloane patrzył, jak Grant wchodzi po drabince, a później wciągnął za sobą. Po chwili zawarczały silniki, które były już podgrzane.

Kiedy Grant zwił obrotami, junks ruszył naprzód i zrosnąc przodem cięciem wzdłuż wiatel drogi startowej. W końcu zniknął we mgle, a wtedy Sloane i wszyscy pozostali przy wejściu do sali odpraw wstrzymali oddechy.

Nie musieli tego robić, Grant bowiem akurat w właściwym momencie przyciągnął do siebie drabinkę, a wtedy junks oderwał się od pasa i przebił warstwę mgły, nad którą powietrze było już czyste. Grant wychylił ster kierunkowy w prawo i samolot skręcił nad morze.

— Jak tam w tyle? — spytał po chwili przez specjalnie zainstalowany telefon pokładowy.

— Wietnie — odparł Carter.

— To dobrze. Nad celem znajdziemy się w przybliżeniu za pięćdziesiąt minut. Pada, ale widocznie powinna być dobra. Przewiduje się burze, więc może trochę rzuci.

Prowadził junksa dokładnie na wysokość trzystu metrów, tu nad warstwę mgły, prawie nie dotykając sterów. Lot sprawiał mu przyjemność.

Dwadzieścia minut od celu, w odległości stu kilometrów od sycylijskiego przylądka Granitola, pochylony nad radarem Collinson nagle się ożywił.

— Mam coś, pułkowniku! — zawołał. — Prawdopodobnie nocny myśliwiec.

— Carter, uwaga! — powiedział Grant do mikrofonu. — Mamy towarzystwo.

Carter, Luciano i pozostali członkowie zespołu nie mogli niczego dostrzec z ciasnego pomieszczenia w kadłubie Junkersa.

— Jesteś pewien? — spytał Carter.

— Teraz tak — odparł Grant, kiedy jakiś bliźniaczy Junkers wyskoczył z mgły.

Grant podniósł rękę i zobaczył, że pilot drugiego samolotu robi to samo. Niemiec przez jakiś czas trzymał się obok nich, a potem odpadł w prawo i zniknął w ciemnościach.

— Wspaniale zadziałało — wesoło powiedział Grant do Cartera przez telefon pokładowy. — Po prostu odleciał. Mamy dokładnie piętnaście minut, więc lepiej zaczniemy się przygotowywać.

Barbera i Rosa czekali na ławce w dolinie za willą hrabiny di Bellona. Nieustannie padało, schronili się więc pod drzewami na skraju łąki. Rosa miała na głowie samodzielną czapkę i była ubrana w stary płaszcz przeciwdeszczowy z paskiem.

— Dobrze się czujesz? — spytał Barbera. — Nie liczyłem się z tym, że będzie taka ohydna pogoda.

— Dlaczego nie pomyślisz o ważniejszych sprawach? Na przykład o tych komunistycznych łajdakach. Mori i Russo mogą w każdej chwili sprowadzić nam na kark Niemców.

— Nie, nie sądzę. Mori nie jest głupi, przynajmniej nie na tyle, żeby kłaść głowy pod topór.

Chwyciła go za rękę.

— Posłuchaj, nadlatuj.

Z oddali dochodził warkot silników.

— Wiesz, co robi — powiedział Barbera.

Rosa pobiegła na drugi koniec łąki, a Vito przytknął płonącą zapalniczkę do oblanego benzyną ogniska, które przygotowali przed godziną. Buchnęły płomienie, a kiedy Rosa wykonała swoje zadanie, taki sam ogień wykwitł na drugim końcu łąki.

Barbera patrzył w ciemne niebo i czekał.

Junkers leciał na wysokość trzystu metrów, gdy Harvey **Grant** dostrzegł dwa ogniska oznaczające północny i południowy skraj lądów.

— Widzisz to, Joe? — spytał Collinsona.

— Jasne, pułkowniku.

Grant położył samolot w prawym kierunku, przeskoczył nad granicę i zawrócił.

— Macie dwie minuty — powiedział do mikrofonu.

— Wietnie, Harvey, zdajemy — odparł Carter.

Skinął głowę i wszyscy wstali, niezgrabnie pochylając się w ciasnym pomieszczeniu. Do liny pod sufitem kałdy przypięt swój link, która automatycznie otworzy spadochron, kiedy skoczek opuści samolot. Carter przeszedł wzdłuż liny, osobiście sprawdzając karabinami: najpierw Marii, potem Savage'a i Luciana, a w końcu Detweilera.

Wrócił, przypięt swój link i otworzył drzwi. Do wnętrza wpadło zimne powietrze z deszczem. Nad głowami Cartera zamigotała zielona lampka.

Zobaczył w dole ognisko i bez wahania wyskoczył. Maria na moment zamarła, ale Savage wypchnął ją swoim ciałem i ruszył za nią.

To, co teraz nastąpiło, nie było zamierzone. Jakiś odruch wywołany nienawiścią Detweilera do Luciana. Z pochwy na prawym kolanie sierant wyciągnął duży nóż, ostry jak brzytwa. Stojąc w wyjściu i ciskając wórn z zaopatrzeniem, Luciano spostrzegł, że nóż przecięt mu link nad głowami, lecz w tej samej chwili sierant wypchnął go w przestrzeń.

Collinson, który patrzył przez otwarte drzwi kabiny, niczego nie zauważył; w półmroku widział jedynie, że Detweiler wciąż jeszcze jest na pokładzie. Sierant zatrzymał się w wyjściu jak sparaliżowany. Stał bez ruchu, oszołomiony potwornością swojego czynu.

Już poza strefę zrzutu Grant przyciągnął do siebie drabek, by przeskoczyć nad zbliżającą się granicę, gdy Collinson klepnął go w ramię.

— Cięgle mamy towarzystwo — powiedział nawigator.

Grant dodał gazu i położył samolot w lewym kierunku, a wtedy Detweiler stracił równowagę i głowami naprzód poleciał w ciemność.

„Ze stu pięćdziesięciu metrów do ziemi leci się dwadzieścia pięć sekund” — przypomniał sobie Luciano słowa Cartera wypowiedziane na pokładzie dakoty w Ringway, a miał już za sobą połowę drogi.

Kilkakrotnie przekoziołkował i puścił worek z zaopatrzeniem, który dotychczas kurczowo trzymał. Gorczkowo szarpał palcami pokrowiec przypasanego do brzucha spadochronu zapasowego. Wreszcie znalazł uchwyt linki i pociągnął.

Poczuł nagły wstrząs, gdy powietrze z trzaskiem wypełniło spadochron nie więcej niż trzydzieści metrów od ziemi, i już kołysał się pod parasolem khaki. Niżej, umocowany linką do nadgarstka, wisiał worek z zaopatrzeniem.

Był dokładnie nad celem. Szybko opadał w stronę ogniska na północnym skraju lasu, gdzie Carter i Maria już wylądowali. Spojrzył w górę, lecz nie zobaczył spadochronu Detweilera. Znalazł się nad Savage'em, gdy kapitan stopami uderzył w trawę. Potem miał wrażenie, że ognisko gwałtownie się zbliża, i spostrzegł jakiegoś chłopaka w przeciwdeszczowym płaszczu i samodzielną czapkę, który mu się przyglądał, zadzierając głowę.

Worek z zaopatrzeniem grzmotnął w ziemię. Po ułamku sekundy to samo zrobił Luciano, padając w mokrą trawę. Odetchnął. Chłopak w płaszczu i samodzielną czapkę pomógł mu opanować falującą jedwabną czaszą spadochronu i wówczas Luciano stwierdził, że to młoda dziewczyna.

Przyglądała mu się w świetle ogniska, kiedy rozpinął uprzęś.

— Pan jest Luciano?

— Zgadza się. A ty?

— Rosa Barbera... bratanica Vita.

Zaczęła zwijać spadochron, kiedy nadbiegł Harry Carter, a tuż za nim Savage.

— Gdzie Detweiler? Vito twierdzi, że ostatni wyskoczył pan, a potem samolot zniknął nad siedmią doliną.

Luciano zdjął z pleców główny spadochron, który się nie otworzył, i pokazał linkę wyraźnie przeciętą nożem.

— Wiedziałem, że ten dra mnie nie lubi, ale nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak.

Opadając nad siedmią doliną, Detweiler wylądował w piniowym lesie, zaczął spadochronem o gałęzie i zawisł trzy metry nad ziemią. Wypił się, spadł na podszycie i przez chwilę tam leżał.

I co, u licha, teraz robi? Przecież tamto było całkowicie niezamierzone. Na chwilę stracił rozum i w rezultacie znalazł się po

niewła ciwej stronie góry, o kilometry od celu, samotny i nara ony na dodatkowe niebezpieczeństwo.

Jedno jest pewne: musi jak najszybciej dotrzeć do Bellony. Rozpiął zamek błyskawiczny skafandra, w którym skakał. Pod spodem miał połatany garnitur z samodziału i koszul bez kołnierzyka. W kieszeni znalazł czapkę, którą wsadził na głowę. Pochylił się i otworzył worek. Wyciągnął z niego pistolet, kolta 45, i karabinek. Kolta wsadził do kieszeni, a karabinek zarzucił na ramię.

Cisnął worek w krzaki i spróbował się spuścić, lecz bez skutku, więc go tam zostawił. Ostro nie ruszył w dół przez las. Tymczasem przestało padać i zza chmur wyjrzały słońce. W jego wietle dostrzegł polną drogę za niskim murkiem. Kiedy znalazł się po jego drugiej stronie, poczuł dym i zobaczył chłopską zagrodę. W oknie domu paliło się światło.

Zatrzymał się i wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni, by sprawdzić, czy jest tam portfel z fałszywymi dokumentami, które dał mu Carter w Maison Blanche. Uspokojony, po piesznie ruszył drogą, wszedł na podwórko. Nie zdjął karabinka z ramienia, ale rękę trzymał w kieszeni na kolbie pistoletu.

Kiedy po błocie zbliżył się do drzwi, wewnątrz chaty zaczął ujadanie pies. Detweiler zapukał. Usłyszał jakieś szmery i otworzyła się górna połowa drzwi.

W przyciemnionym wietle lampy naftowej z wnętrza wydobywał się dym. Zobaczył mężczyznę z dubeltówką. Miał około sześćdziesięciu lat, zapadnięte policzki i nieogoloną twarz. Ubrany był w niewiarygodnie połatane odzienie. Obok niego stał dwunastoletni chłopak w łachmanach. Za nimi sierant dostrzegł otwarte palenisko i staruszkę o twarzy egipskiej mumii. Opatulona kocami, siedziała w drewnianym bujaku.

— Czego chcesz? — chrapliwym głosem spytał mężczyzna.

— Jestem pasterzem — odparł Detweiler. — Zabłądziłem idąc z szczytu doliny. Czy możesz mnie przenocować?

Mężczyzna skinął głową.

— Pewnie. Dlaczego nie? Możesz się przespisać w stodołę. Rano Giorgio pokaże ci drogę.

Poklepał po głowie chłopaka, który rękawem wycierał sobie nos, ale nic nie powiedział. Mężczyzna uważył, że nie przyjrzał się Detweilerowi.

— A teraz gadaj prawdę. Nie jesteś jednym z chłopców z gór?

Sierant nie wiedział, co odpowiedzieć, lecz postanowił zaryzykować.

— Może.

— Wiedziałem. — M czyzna *zacz* /nagle si u miecha , szczerz c poczerniałe z by. — Dobrze trafiłe , synu, mo esz mi wierzy . Tu wszyscy jeste my patriotami.

Otworzył doln połow drzwi i wci gn ł Detweilera do rodka.

We wn trzu junkersa lec cego nad Sycyli w stron morza panowała radosna atmosfera.

— Przyl dek Granitola szybko si zbli a — powiedział Collinson do mikrofonu. — Udało si , pułkowniku! Udało! Idealny zrzut.

— Poza tym palantem na ko cu — odparł Grant. — Tylko Bóg wie, gdzie wyl dował. Byli my całe kilometry od celu, kiedy wyskoczył. Co, u licha, mu odbiło?

I wtedy Collinson spojrział na ekran radaru.

— Mamy towarzystwo — powiedział. — B d kłopoty.

Z prawej strony wypadł z chmury jaki junkers. W sekund pó niej z lewej pojawił si drugi.

— Obejrzyj si . Na ogonie siedzi jeszcze jeden dra . I co teraz?

— Chyba najm drzej byłoby wł czy radio — stwierdził Grant i zrobił, co powiedział.

Usłyszał trzaski, a po chwili jaki głos odezwał si niezł angielszczyzn :

— Wielki czarny ptaku, st sknili my si za tob . Ostatnim razem widziano ci nad Algieri miesi c temu. Nie pieszyłe si do domu. A teraz ładnie i grzecznie wyl dujesz z nami w bazie w Otranto i wszystko sobie wyja nimy.

— Odpieprz si ! — odparł Grant i wypu cił kłapy jak podczas pami tnego lotu dakot z Malty.

Pilot junkersa siedz cego mu na ogonie rozpaczliwie pchn ł dr ek do przodu i przemkn ł pod spodem w gł bokim nurku, a Grant ruszył za nim, wł czaj c urz dzenie zwi kszaj ce moc silnika. Jak najlepsi piloci my liwców nie strzelał, dopóki nie znalazł si blisko celu. Kciukiem nacisn ł spust i seria pocisków smugowych rozdarła samolot przeciwnika, odrywaj c du e kawałki blachy od kadłuba. Pokazały si płomienie i nagle kula ognia rozja niła ciemno ci nocy, gdy junkers przestał istnie .

W tym samym momencie samolot Granta zadr ał od uderze pocisków z działka jednego z dwóch pozostałych junkersów, który zaszedł go od ogona. Grant natychmiast odruchowo zwał si

w korkoci g, czego si nauczył w ci gu kilku lat walk powietrznych, i po chwili znikn ł w chmurze.

— Wszystko w porz dku?! — zawołał.

— Ale bigos — odparł Collinson. — W kadłubie jest taka dziura, e mógłby przez ni przejecha morrisem dziesi tk .

Samolot znów zachwiał si pod uderzeniem pocisków.

— Schodz nad morze. Trzymaj si , Joe. Zobaczymy, czy te dranie potrafi lata .

Wypadł z chmury na wysoko ci trzystu metrów, ci gle nurkuj c. Wyrównał dopiero w ostatnim momencie. Chyba jeszcze nigdy tak nie ryzykował, prowadz c samolot tu nad powierzchni morza niemal po omacku, ksi yc bowiem ukazywał si w ród chmur tylko chwilami, a wiatr był tak silny, e ju wznosił bez mała pi tnastometrowe fale.

Na tym pułapie dla samobójców oba nieprzyjacielskie junkersy nieubłaganie latały dookoła, otwieraj c ogie , gdy tylko udało im si zaj Granta od ogona. Samolot co chwila dr ał od uderze pocisków.

Jedynie przez pół godziny mógł rozwija pr dko ponad sze set kilometrów na godzin . Silniki ju si przegrzewały, a zbiorniki z podtlenkiem azotu, stanowi cym paliwo urz dzenia zwi kszej tego ich moc, były prawie puste. Grant wiedział, e niewiele z nich wyci nie i wtedy samolot znów podskoczył, tym razem trafiony seri z karabinów maszynowych. Pociski strzaskały przedni szyb . Grant poczuł gwałtowne uderzenie w lewe rami i jeszcze jedno w praw nog .

Palce zalała mu krew. Lewy silnik zacz ł dymi . Grant natychmiast postawił migło w chor giewk i wł czył ga nice. Junkers zwolnił, strzałka pr dko ciomierza szybko opadała.

Wówczas przez radio odezwał si ten sam głos:

— Powodzenia, kimkolwiek jeste . Zasłu yłe sobie na nie.

— Odlatuj ! — wykrzykn ł Collinson. — Szefie, zawrócili. Dla- czego?

— Jeste my trzysta kilometrów od brzegu i tu ko czy si zasi g ich po cigu nad morzem. Zobacz, czy w apteczce nie znajdzie si jaki opatrunek. Chyba dostałem w nog .

Collinson odnalazł aptczk i wgramolił si do kabiny pilota.

— Dobrze si czujesz, pułkowniku?

— A jak mam si czu ? — odparł Grant. — Jedna kula w ramieniu, druga w nodze, lewy silnik spalony. Czego jeszcze mo na chcie ? — U miechn ł si mimo bólu. — Teraz trzymaj kciuki i módl si , ebym doleciał.

Rozdział dziesiąty

Vito otworzył piec bojlera w piwnicy willi hrabiny di Bellona. Już wcześniej w nim napalił i teraz drzwiczki były rozgrzane do czerwoności. Odwrócił się w stronę Luciana i Cartera.

— Dobra, wszystko do pieca.

Kiedy wrzucili w ogień skafandry, spadochrony i puste worki, Barbera zamknął drzwiczki.

— Harry, miło ci widzieć .

— Ciebie również , Vito. A kiedy zobaczymy się z Luk ?

— Nie wiem, Harry. Nawet nie mam pojęcia, gdzie on jest. Kontaktuj się z nim wyłącznie za pośrednictwem ojca Giovanniego.

— A kto to jest?

— Przeor franciszkanów w Cierniowej Koronie.

— Łącznik mafii?

— No pewnie — odparł Barbera. — Bóg też jest po naszej stronie.

— Właściwie nawet bardziej, niż ci się wydaje — rzekł Carter. — Wiesz, gdzie znaleźli my wnuczka Luki?

— Nie będę wiedział, dopóki mi nie powiesz.

— W klasztorze sióstr miłosierdzia w Liverpoolu.

Barbera otworzył usta ze zdziwienia.

— Nie bujasz?

— Starsuszek powinien być zadowolony — wtrącił Luciano.

— Przecież każdy chce mieć księżkę w rodzinie, a Maria jest po prostu jego najlepszym odpowiednikiem.

Weszli na górę i Barbera zaprowadził ich korytarzem do ogromnej

kuchni w tylnej części domu. Do ognia płonącego w dużym otwartym palenisku Savage dokładał polana.

Maria stała przy stole, krając chleb i salami. Ubrana była w wełniane sukienki, czarne bawełniane sukienki i chustki na głowie. Wyglądała bardzo po domowemu. Rosa, już bez czapki i płaszcza, pochylona nad ogniem mieszała zupę.

Kiedy weszli, Savage się wyprostował. Podobnie jak oni miał na sobie czapkę, zniszczone, połatanie ubranie i buty z cholewami — typowy strój pastucha czy myśliwego.

Luciano pokręcił głową.

— Niedobrze, mały. Nawet w tym przebraniu wciąż wyglądasz jak reklama whisky.

Savage'owi trudno było się uśmiechnąć, bardzo mu bowiem ciążyło to, co zrobił Detweiler.

— Proszę posłuchać, panie pułkowniku — odezwał się do Cartera. — W sprawie sierżanta...

— Nie ma o czym mówić, dopóki nie poznamy wszystkich okoliczności — przerwał Carter.

— Jak wrócimy do Bellony, skontaktuj się przez radio z Maison Blanche — powiedział Barbera. — Oni będą wiedzieli, czy wrócił na pokładzie samolotu. A teraz, don Salvatore, wypijemy za wasze szczęśliwe spotkanie.

Dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące na taras w ogrodzie za willą, były otwarte. Skorzystał z nich Savage, a Carter wyszedł za nim.

— Przecież to nie pana wina.

Savage zaprzeczył ruchem głowy.

— To niezupełnie tak, panie pułkowniku. To go oceniłem. Myślałem, że go znam.

Carter poczuł stawał kapitana papierosem. Savage odwrócił się i spojrzał na stojącą w kuchni Rosę, która pochylała się nad ogniem.

— Ta dziewczyna... ile ona ma lat?

— Szesnaście czy siedemnaście. To bratanica Barbera.

— Jest za młoda, żeby wciąż być w takie sprawy.

— Przeciwnie, świetnie sobie radzi, a nie ma się czemu dziwić. Musiała sama troszczyć się o siebie od trzynastego roku życia. Kiedy Vito ją odnalazł, już od trzech lat pracowała na ulicach Palermo.

Zbulwersowało to Savage'a, który odebrał tradycyjne wychowanie.

— Chce pan powiedzieć, że była prostytutką?

— Na to wygląda.

Savage wszedł do kuchni i usiadł przy palenisku, obserwując Rosę. Zdawała sobie sprawę z jego obecności, choć wcale jej to nie przeszkadzało podrapała się w pośladki. Kiedy sięgnęła po chochlę, w rozprutym szwie pod pachą Savage dostrzegł kępki czarnych włosów.

— Jest pan głodny? — spytała nie patrząc na niego.

— Zjadłbym konia z kopytami.

— O, jak pan ładnie mówi. — Odwróciła się. — Zupełnie jak rzymianin, jak prawdziwy d'entelmen.

— Przed wojną kilka lat mieszkałem w Rzymie.

— Ale jest pan Amerykaninem? Prawdziwym Amerykaninem?

Podawała mu miskę zupy.

— Moje na tak powiedzie — odparł.

— Z Nowego Jorku?

— Z Bostonu.

Rozczarowana zmarszczyła nos.

— Szkoda. Nowy Jork to dopiero jest miasto. Statua Wolności, Empire State Building. Wujek Vito wszystko mi opowiedział. Kiedy był tam mieszkała.

— Naprawdę?

— Moje po wojnie.

Zupa była doskonała, lecz bardzo gorąca, i Savage lekko poparzył sobie usta.

— Smakuje? — spytała Rosa.

— Wietna.

— Dolej panu.

Nalała mu pełną chochlę i podeszła do stołu, żeby obsłużyć pozostałych. Chodząc poruszała całym ciałem w sposób, który Savage'owi zmienił spokój. Czarna bawełniana sukienka była o jeden numer za mała, uwydatniając pośladki, kiedy Rosa pochylała się nad stołem. Savage zauważył, że Luciano patrzy na niego z sardonicznym uśmiechem, więc po piesznie zajął się na powrót jedzeniem zupy. Kiedy trzej pozostali mężczyźni nie usiedli, Rosa zdjęła z ognia kawę i postawiła ją na stole.

— Przejdźmy do sprawy — odezwał się Barbera. — Dzieci, dwa białe dzieci tu bezpieczni, dopóki nie dostanę wiadomości od ojca Giovanniego z Cierniowej Korony. Jak już powiedziałem, wszystkie wiadomości od don Antonia przechodzą przez niego.

— Najważniejszy jest czas, Vito — rzekł Carter. — Jak długo będziemy musieli czekać?

— Nie wiem, Harry. Wszystko zależy od Luki. Obiecuj, że będzie z wami w ścisłym kontakcie. Rosa tu zostanie, żeby się wami opiekowała.

— Mamy wszystkiego dwa dni — powiedział Carter.

Maria pochylała głowę i szeptała modlitwy przed jedzeniem.

— Sostro — z zakłopotaniem odezwał się Barbera, kiedy skończyła i podniosła wzrok. — Harry powiedział mi o siostrze... Przepraszam, ale wcześniej nie wiedziałem.

— Drobiazg, panie Barbera.

— Czy to prawda, co on powiedział? — spytała Rosa. — Pani jest zakonnica?

— Tak, Roso. Pracuję w szpitalu.

— Aha. To zupełnie jak w Palermo. Kiedy leżałam tam w szpitalu i wszystkie pielęgniarki były zakonnice.

— Leżałam w szpitalu?

— No pewnie. Kiedy straciłam dziecko — odparła Rosa nalewając zupę.

W Maison Blanche mgła się podniosła i przestało padać. Marszałek Sloane siedział za biurkiem w sali odpraw, pochylony nad jakimiś dokumentami, które przywiózł ze sobą w teczce. Najbardziej ogłupiające papierkowe zajęcia, które odkłada się na później w nadziei, że wszystko zrobi się samo.

Skrzyżnięty otwierane drzwi i zajrzał oficer dyżurny.

— Udało mu się, panie marszałku! Nadlatuje!

Marszałek wybiegł z sali, popadł do windy kontroli i wdrapał się po schodach. Strzelił palcami i jakiś sierżant podał mu zeissowskie lornetki do obserwacji nocnych. W bladym świetle księżycy Sloane zobaczył junkersa w odległości trzech kilometrów.

— Nie mam czasu! Dowolę regulaminowo — bardzo słabym głosem odezwał się przez radio Harvey Grant. — Prowadź ogromnie zmęczone małżeństwo prosto do domu i do łóżeczka.

Sloane opuścił lornetki.

— Niedobrze. Zarządzam pełne pogotowie.

Junkers leciał sto pięćdziesiąt metrów ponad morzem. Wiatr ze wiatrem wpadał do kabiny przez strząskaną owiewkę. Collinson, któremu twarz posiniała z zimna, pochylał się nad Grantem, przytrzymując go za ramiona, jakby chciał mu pomóc.

Z u miechem przylepionym do warg Grant ciskał dr ek zdr t-
wiałymi r kami. Według wskaza zegara od kwadransa nie mieli
paliwa.

Kiedy zobaczyli lotnisko z pasem startowym oznaczonym dwoma
rz dami wiatel, prawy silnik zakaszłał i stracił obroty. migło kr ciło
si coraz wolniej.

— To byłoby ju wszystko — rzekł Grant. — Trzymaj si , Joe,
i módl.

Przemkn ł nad palmami przy północnym ko cu pasa. Z prawej
strony zauwa ył w samochodów ruszaj cych spod wie y kontroli.
Spróbował doda gazu, by wyrówna lot, i jakim cudem silnik na
moment o ył.

Potem nast piło najgorsze ł dowanie w karierze Granta: samolot
dwukrotnie podskoczył na pasie i ogonem wykonał pełen obrót,
wznosz c bryzgi wody, nim ostatecznie si zatrzymał.

Byli jednak na ziemi.

Silnik ju na dobre zgał. Grant usłyszał pisk hamulców, kiedy
podjechały samochody, i czuł, e Collinson potrz sa go za rami .
Docierały do niego liczne głosy, jakie niepewne wołanie, a gdy znów
otworzył oczy, zobaczył nad sob pochylonego Sloane'a.

U miechn ł si .

— Prosz na mnie nie krzycze , panie marszałku. Chyba po raz
pierwszy w yciu jestem z siebie dumny.

Luciano wyszedł z Barber na taras. Słyszał bulgoc c w rurach
wod , która pó niej tryskała z licznych fontann. Dawniej mawiano, e
kto panuje nad skromnymi zasobami wody na Sycylii, ten rz dzi wysp ,
a mafia wła nie to robiła.

wiatło z okien padało na bujn podzwrotnikow ro linno
otaczaj c dom. Luciano nie widział gaju pomara czowego ani drzew
migdałowych, ale czuł ich zapach. Łagodna bryza kołysała palmami, z
dachu ciekąły krople deszczu.

Luciano wci gn ł powietrze gł boko do płuc.

— Zapomniałem ju , jak to wszystko wygl da.

— Prawdziwa Sycylia? — spytał Barbera.

— Zale y od punktu widzenia.

Pi metrów za cie k drgn ły li cie i wysun ła si z nich **lufa**.

Luciano przewrócił Barbera wyprostowan lewą ręką, równocześnie nie spod marynarki wyciągnął rewolwer, który nosił z tyłu za paskiem, i natychmiast dwukrotnie wystrzelił. Z krzaków wypadł pistolet maszynowy, który zakaszłał, jakby się krztusił, a potem wytoczył się i przewrócił.

Luciano przykucnął.

— Jest jeszcze jeden — szepnął Barbera.

Przez otwarte drzwi wbiegł na taras Savage ze swoim M-1. Z krzaków po prawej stronie padł strzał z dubeltówki, lecz nikomu nie wyrzadził krzywdy z powodu zbyt dużej odległości.

Luciano z rozbiegu wskoczył w głąb, ale nie wylądował i potoczył się po ziemi. Wstał około dwóch metrów od drugiego napastnika, który obiema rękami ciskał dubeltówkami z obciętymi lufami.

Luciano wystrzelił, trafiając go w lewe ramię. Mężczyzna krzyknął i wypuścił lufę. W tej samej chwili odrzuciła go w krzaki seria z M-1 Savage'a, który opróżnił magazynek.

— Nie chciałem go zabić, żeby nam powiedział, co to wszystko ma znaczyć — odezwał się Luciano.

Savage patrzył na niego tępy wzrokiem. Carter i Barbera podbiegli do Luciana, który spogłądał na ciało chłopca w wieku około siedemnastu lat.

Barbera podniósł dubeltówkę. Była to lufarka, tradycyjna broń używana przez mafijców do wykonywania wyroków śmierci.

— Oni chcieli załatwić cię — powiedział do Luciana.

— Mnie? — spytał ze zdumieniem. — Mafia? To bez sensu.

— Nie mafia. Spójrz tutaj.

Barbera podszedł do ciała drugiego napastnika, który leżał na brzuchu. Nogami odwrócił go na plecy.

— Znam go. To Ettore Russo — powiedział Carter.

— Co to za facet? — spytał Luciano.

— Komunista — odparł Barbera. — Wróg mafii. Członek komitetu okręgowego, który koordynuje działalność różnych ugrupowań w ruchu oporu. Dziś wieczorem miałem z nimi zebranie, żeby omówić twój przyjazd i to, co chcemy osiągnąć. On bardzo się ucieszył.

— I postanowił mnie załatwić?

— To nie tak. My l , e wykorzystał go jaki wi ksy cwaniak. Zastanów si , gdyby udało im si ciebie zabi , wygl dałoby to na robot mafii. Ty zostałby usuni ty, a wszyscy byliby zdezorientowani.

— A skoro wynik jest taki? — spytał Carter.

— Mo na to wzi za morderstwo popełnione przez „Szcz ciarza” Luciana i jego przyjaciół na jednym z najwa niejszych komunistów w okr gu, co nie spodoba si jego kolegom. Lepiej wi c jak najszybciej zakopmy tych dwóch.

Nadeszła Maria, ukl kła przy Russie i zaczę ła si modli . Barbera patrzył na ni z zakłopotaniem. Luciano spu cił głow i wszyscy wrócili na taras.

— Wiesz, kto za tym stoi? — spytał Luciano.

— Pewnie, e wiem — odparł Barbera. — Ju my si nim zajmiemy.

— Co dalej?

— Uwa am, e powinienem uda si z Carterem do Bellony. Zobaczymy, jak wygl da sytuacja.

— Reszta zostanie tutaj?

Barbera pokr cił głow .

— Nie. Dopóki nie załatwi tego łajdaka Moriego, nie ma pewno ci, czy kto inny nie b dzie znów próbował zrobi to samo. Chyba najlepiej b dzie, je eli Rosa zaprowadzi was do franciszkanów, gdzie zajmie si wami ojciec Giovanni. Tam nikt nie o mieli si was tkn . Zgadzasz si , Harry?

Carter popatrzył na swoich ludzi i skin ł głow .

— Zdaje si , e nie ma wielkiego wyboru.

— Dobrze — powiedział Barbera. — A zatem pozb d my si tych ciał i ruszajmy.

Luciano siedział przy stole, ładuj c rewolwer. Był to ten sam krótkolufy smith and wesson, którego u ywał na strzelnicy w opactwie.

— Sk d to masz? — spytał Carter.

— Załatwiłem ze zbrojmistrem — odpowiedział Luciano, wyjmuj c z kieszeni tłumik. — To bardzo uczynny facet.

Wsun ł rewolwer z tyłu za pasek.

Savage zarzucił plecak na grzbiet i wzi ł karabinek. Z sypialni wyszła Rosa w swoim starym płaszczu przeciwdeszczowym i samo-

działowej czapce. Maria była ubrana w nieprzemakalne poncho, na głowie miała chustkę.

— No to idziemy — powiedział Barbera. — Za trzy godziny będzie dziecko w klasztorze. Nie powinno być żadnych kłopotów. Zobaczmy się jutro.

Zgasił światło i wszyscy wyszli na taras. Tam czekał z Carterem, a pozostali, prowadzeni przez Rosę, zniknęli w ciemnościach.

— Dobra, Harry, a teraz do Moriego — rzekł i zbiegł po schodkach.

Rozdział jedenasty

Pietro Mori kazał swojej siostrze wczekać przed domem, a sam czekał na powrót Russa, siedząc w starym fotelu przy kominku i butelce koniaku. Nie przejmował się zbyt, bo przecież to Russo ryzykował i wszystko musi się udać bez względu na wynik. Na tym właśnie polegał cały plan.

Z drzemki wyrwało go delikatne pukanie w okno. Wstał i uchylił je.

— Kto tam?

— To ja, Vito — odparł Barbera. — Muszę z tobą porozmawiać.

— Chwileczkę, tylko otwórz drzwi.

Odsunął zasuwę i Barbera wślizgnął się do środka.

— O co chodzi? — spytał Mori.

— Idź od Russa, ty jesteś taki. Powiedział, że czeka na ciebie w piekle.

Lewy ręk przyciągnął go do siebie i złożył na jego ustach mafijny pocałunek śmierci. Równocześnie nieprzewidzianie wbił mu sztylet w serce.

Pietro Mori już nie żył i umarł. Barbera posadził go z powrotem w fotelu przy kominku, gdzie został z odrzuconymi głowami i oczami zapatrzonymi w wieczność.

W tym samym czasie Maria, Luciano i Savage, prowadzeni przez Rosę, schodzili po ścieżce w dolinę w kierunku widniejących drzew. Luciano, podobnie jak Savage, niósł plecak i przewieszony przez ramię karabinek.

Znowu padało. Kiedy dotarli do drzew, spojrzał na Marię.

— Jak si czujesz? — spytał.

— Doskonale.

Rosa dała znak, eby si zatrzyma , i wszyscy przykucn li. Luciano dostrzegł w mroku niski murek, za nim drog , a dalej znowu drzewa.

— Tutaj przetniemy drog — powiedziała dziewczyna. — Potem wejdziemy na tamt gór po drugiej stronie. Klasztor jest na grani w ko cu doliny, za Bellon .

— No to chod my — rzekł Luciano.

Rosa wdrapała si na murek, a za ni Savage, który odwrócił si , by pomóc Marii. Kiedy przechodzili drog , nagle oblało ich wiatło szperacza i reflektorów samochodowych.

— Sta i nie rusza si ! — zawołał jaki głos nie najlepiej po włosku.

Rosa pu ciła si biegiem i po chwili znikn ła za murkiem po drugiej stronie drogi. Savage zrobił to samo. Luciano wyci gn ł rewolwer, dwukrotnie strzelił w kierunku wiatel, gasz c jedno z nich, a potem ruszył za Mari , która wła nie podbiegała do murka.

Kiedy go przeskoczyli, seria z karabinu maszynowego gruchn ła po kamieniach. Luciano chwycił Mari za r k i razem pobiegli w ciemno ci.

W momencie gdy znale li si w ród drzew, ponownie zaterkotał karabin maszynowy, cinaj c gał zie nad ich głowami. Słyszeli głosy swoich prze ladowców, którzy ju pokonali murek i biegli za nimi, strzelaj c na o lep.

Luciano przypadł do ziemi, poci gaj c za sob Mari , kiedy jaki pocisk rozdarł mu czapk . Gdzie przed nimi biegła Rosa z Savage'em. Luciano słyszał zbli aj ce si głosy ołnierzy.

Poderwał Mari na nogi.

— T dy! — powiedział i ruszył biegiem w bok przez szkółk pinii, osłaniaj c sobie twarz r k .

Po chwili głosy cigaj cych ich ołnierzy ucichły. Luciano si zatrzymał.

— Co z Ros i kapitanem Savage'em? — spytała Maria.

— Musz radzi sobie sami najlepiej, jak potrafi .

— A my?

— B dziemy si wspina . Ona powiedziała, e klasztor jest na grani w drugim ko cu doliny, prawda?

Chwycił Mari za r k . Kiedy przeszli jaki strumyk i ruszyli w gór , zacz ł pada rz sisty deszcz.

Detweiler zjadł porz dn kolacj , zło on z gotowanej baraniny, koziego sera i butelki czerwonego wina. Zobaczył wiat w ja niejszych barwach, do czego szczególnie przyczyniło si wino. Teraz czuł potworne zm czenie. Gospodarz dał mu dwa koce i zaprowadził do stodoły. Detweiler poło ył si z broni pod r k i prawie natychmiast zasn ł.

Pi minut pó niej, kiedy cicho pochrupuj c, ju gł boko spał, skrzypn ły drzwi i do stodoły zajrzał staruszek z chłopcem. Uniósł lamp , popatrzył na Detweilera, a potem si wycofał, zamykaj c stodoł .

Szturchn ł chłopca.

— No, id ju . Wiesz, co masz robi .

Chłopiec odwrócił si , ruszył przez podwórko i wyszedł za bram . Znalazłszy si na drodze, zaczą ł biec. Starzec przez chwil za nim patrzył, a potem wrócił do domu.

W tajnym pomieszczeniu za magazynem trumien nad zakładem pogrzebowym Vito Barbera siedział przy radiostacji. Carter niecierpliwie chodził tam i z powrotem, pal c papierosa.

Wreszcie Barbera zdj ł słuchawki.

— Wrócili cało — powiedział odwracaj c si .

— A Detweiler?

— Nie b dziesz tym zachwycony. Wyskoczył, ale o wiele za pó no. Prawdopodobnie wyl dował w s siedniej dolinie.

— Tylko tego nam brakowało! — wybuchn ł Carter. — Detweilera, który bł ka si w terenie całkiem zdezorientowany. Ten facet chyba stracił rozum. Co b dzie, jak go złapi ?

— Nic si nie stanie, Harry, zobaczysz — odparł Barbera. — Ka go odnale i ci gn , zanim do tego dojdzie. — U miechn ł si , kład c dło na ramieniu Cartera. — Ju ci mówiłem, e wystarczy, by trzymał z wł a ciwymi lud mi.

Przed rokiem, kiedy działał w okupowanej Francji jako kurier Zarz du Słu b Strategicznych, Jack Savage wszedł do kawiarni w Tours, gdzie znajdował si punkt etapowy na szlaku przerzutów do Hiszpanii. Natychmiast go aresztowano i przewieziono do komendy SD, w której przez trzy dni był brutalnie przesłuchiwany. Nast pnie pod stra

wysłano go pociągami do głównej komendy gestapo w Paryżu przy ulicy des Saussaies. W drodze zabił konwojenta, który był na tyle głupi, żeby odwrócić się do niego tyłem, i wyskoczył z pociągu pod Orleanem.

Teraz, gdy go znów ścigano, miał dziwne uczucie, całkiem niepodobne do innych. Opanowało go znajome napięcie nerwów, wyostre wszystkie zmysły, kiedy stanął na skraju niewielkiego płaskowyzwiska i obejrzał się za siebie. W ciemności niczego nie widział, ale słyszał głosy w oddali nawoływania żołnierzy.

— Tutaj nas nie złapią — odezwała się Rosa.

— A co z Marią i Lucianem?

— Nic nie możemy zrobić — odparła z przekonaniem. — Muszą się zdać na siebie. Powinni my już iść.

Deszcz przestał padać, ale zerwał się silny wiatr i podziął po niebie chmury, przez które od czasu do czasu przebiegały księżycy.

Zamiast ścieżkami, Rosa wspinała się prosto ku szczytowi. Gołymi skałami coraz bardziej stromego stoku gdzieś porastały kępki ostrej trawy. Dotarli do warstwy rumoszu i w pewnej chwili Savage potrząsnął głową, który z łoskotem stoczył się po zboczu, a echo poniosło w ciemną noc.

— Wszystko w porządku? — spytała Rosa, spoglądając na niego z góry.

— No pewnie. Idź, idź!

Wkrótce Savage znalazł się na skraju szerokiej półki. Odwrócił się i spojrzał w ciemną dolinę, lecz niczego nie był w stanie zobaczyć, wiedział tylko, że stoi nad przepaścią. Na twarzy czuł silne podmuchy zimnego wiatru.

— Co teraz? — spytał, kiedy Rosa do niego podeszła. Wskazała wysoko skalną ścianę, którą ledwo dostrzegł w mroku.

— Jesteś pewna, że da się na nią wejść? — spytał cicho.

— Ale oczywiście. Zobaczą pan.

Poszła przodem, omijając głazy. Kiedy znalazła się pod ścianą, Savage zobaczył, że wcale nie była pionowa, lecz przypominała piramidę z ogromnych płyt, w których pełnych szczelin i pęknięć.

— Chłopcy pasują kozy — powiedziała Rosa.

Savage potarł dłonią usta; czuł suchość w gardle i gniecenie w obojętności. Cierpiał na łęk wysokości, lecz starał się to ukryć. Był jednak odważny i nieraz narażał się na ogromne niebezpieczeństwo, zabijając nieprzyjaciół w walce wręcz, ale mimo to jeszcze nigdy nie wyskoczył z samolotu z otwartymi oczami i przeszedł piekło, kiedy

musiał zje d a po linie ze skalnych cian podczas wicze w szkockim o rodku szkolenia komandosów w Ashnacarry.

Rosa zaczęła się wspinać. Savage gwałtownie przełknął linę i zmusił się, żeby ruszyć za nią. Wiatr na wylot przewiewał jego staromodny marynarski. Nad szczytami gór zajaśniała błyskawica i znowu zaczęła padać.

Jedno przynajmniej było dobre, że kapitan niczego nie widział, kiedy spojrzał w dół. Zatrzymał się i głębiej oddychał z zamkniętymi oczami, żeby się uspokoił. Kiedy je otworzył, zauważył przycupniętą obok Rosę.

— Dobrze się pan czuje?

Skinął głową.

— Bardzo dobrze.

Wyczuwał jednak, że ona wie, co się z nim dzieje, wyciągnęła bowiem ręce i palcami pomacała go po twarzy. Potem znów zaczęła się wspinać. Savage wziął jeszcze jeden głęboki oddech, wzdygnął się i ruszył za nią.

Porucznik Susłow z oddziałów ukraińskich ostro nie szedł przez podwórko zagrody, a za nim jakiś kapral i dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi. Pod drzwiami stodoły czekał na nich starzec z chłopcem, który przekazał im wiadomość.

Kiedy się zbliżyli, starzec otworzył drzwi. Usłyszeli ciężki oddech Detweilera. Susłow skinął na kaprala, który z dwoma esesmanami wszedł do stodoły.

Nagle z wnętrza dobiegł stłumiony krzyk, potem odgłosy uderzenia. Wkrótce żołnierze wyszli, ciężko Detweilera. Rzucili go w błoto, gdzie leżał pojkując.

Susłow schylił się i przeszukał jego ubranie. Znalazł kolta i fałszywe dokumenty, dostarczone przez Cartera w Maison Blanche. Szybko je przejrzał, a później z kieszeni wyjął srebrny gwizdek, którym dał jeden przeciwny sygnał. W oddali zawarczały silniki samochodowe i po dłuższej chwili na podwórko wjechało pięć łazików. W dwóch pierwszych byli jedynie kierowcy, a w każdym z pozostałych oprócz kierowcy siedziało jeszcze trzech żołnierzy z karabinem maszynowym.

Ze stodoły wyszedł kapral, niosąc plecak i karabinek Detweilera. Susłow z zainteresowaniem obejrzał broń i czubkiem buta kopnął lewego sieranta.

— Nowiutki amerykański M-1 — powiedział unosząc kolta. —

Ameryka ski pistolet. Major Meyer ch tnie si z tob zobaczy. — Skin ł na kaprala. — Do samochodu z nim.

— *Zu Befehl, Untersturmbannführer* — odparł kapral zgodnie z surowym zarz dzeniem Meyera, który wymagał, by wszyscy Ukrai cy mówili po niemiecku, cho by nawet le.

Skuli Detweilerowi kajdankami r ce na plecach i wepchn li go na tylne siedzenie drugiego łazika. Razem z nim wsiedli dwaj esesmani i kapral. Susłow podszedł do trzech ostatnich samochodów.

— Wygl da na to, e złapali my ładnego ptaszka — powiedział siedz cym w nim ołnierzom. — Jakiego partyzanta z nowiusie k broni ameryka sk , co oznacza, e niedawno otrzymali j ze zrzutów. Macie teraz patrolowa miasteczka w górach, zatrzymuj c wszystkie osoby, które b d wzbudzały najmniejsze podejrzenia.

Cofn ł si i ołnierze odjechali. Kiedy Susłow podszedł do swojego łazika, starzec zdj ł czapk i poklepał chłopca po głowie.

— Nie le si spisali my z Giorgiem, prawda, panie poruczniku?

Susłow rzucił mu pogardliwe spojrzenie, zapalaj c papierosa.

— Jeste cie stare sukinsyny, ale uwa am, e ka dy pies musi dosta swój ochłap.

Wyj ł z kieszeni zwitek banknotów i cisn ł go w błoto pod nogi starca, a potem dał znak kierowcy, który natychmiast odjechał.

Starzec podniósł pienie dze i stał tam, obejmuj c ramieniem Giorgia, póki warkot silnika nie zamarł w oddali. Wtedy poklepał chłopca, odwrócił si i wszedł do chaty.

Savage był przemoczony do suchej nitki i zzi bni ty, kiedy wdrapywał si na ostatni płyt . Rosa podała mu r k .

— T dy — powiedziała. — Ju niedaleko.

Ruszył za ni , id c z pochylon głow pod wiatr, który na tej wysoko ci omal nie cinał ich z nóg. Z trudem szli przez ostr traw . Kapitanowi zamajaczyła w mroku nast pna skalna ciana. Zdawało mu si , e wiatr jakby osłabł.

— Uwaga na głow — powiedziała dziewczyna.

Było zupełnie ciemno. Savage wyci gn ł r k , która trafiła na chropowat skał .

Błysn ła zapałka i o par kroków od siebie zobaczył Ros . Uniosła zapałek nad głow i rozgl dała si , jakby czego szukaj c. Znajdowali si w niskiej jaskini, gdzie wszystko wskazywało, e była zamieszкана:

kamienne palenisko, drewniany stół, owcze skóry, koce i kilka garnków do gotowania. Zapałka zgasła, Rosa wyjęła więc następną i zapaliła nią lampę naftową, która stała na stole.

— Co to za jaskinia? — spytał Savage.

— Korzystaj z niej pasterze, kiedy koc się owce. Mieszkaj tu całymi tygodniami.

Kapitan położył M-1 i zdjął plecak. Dygotał z zimna, obejmując się rękami, jakby w obawie, że się rozpadnie. Rosa przyłożyła mu dłoń do policzka niczym troskliwa matka.

— Za zimno tu dla pana. Obcy kraj, inne warunki — stwierdziła podnosząc i rozkładając koc. — Prosz się rozebrać i w to owinić. Zaraz rozpal ogień.

Kucnęła przy palenisku, potarła zapałkę i suche patyki natychmiast zapłonęły. Zdjęła z siebie płaszcz, a potem uklękła i zaczęła dokładać polana do ognia. Mimo płaszcza deszcz przemoczył jej bawełnianą sukienkę, która przylegała do ciała jak druga skóra.

Savage z trudem zdjął mokry marynark.

— A ty?

— Jestem przyzwyczajona — odparła stawiając na ogniu garnek napełniony wodą ze strumyczka spływającego po ścianie.

— Myślałam, że przyjechała z Palermo.

Odwróciła się od ognia.

— Kto panu to powiedział?

— Pułkownik Carter. Mówił... — Savage zawahał się. — Powiedział, że w zeszłym roku twój wuj Vito sprowadził cię z Palermo, żeby z nim zamieszkała.

Patrzyła na niego taksującym wzrokiem, jakby próbowała odgadnąć, co o niej wie. Nagle zdała sobie sprawę ze swojej reakcji, uśmiechnęła się lekko i z powrotem zajęła się ogniem.

— Mieszkam z wujem w Bellonie już od dziesięciu miesięcy.

Savage nie bez trudu ciścił z siebie kłopot.

— Wolisz mieszkać tutaj?

— Nie w Palermo? No pewnie. Pomagam wujowi w zakładzie pogrzebowym, a w razie potrzeby jestem również czniczką.

Wzięła koc i zaczęła energicznie nim rozcierać ramiona kapitana.

— Łęcznicy przekazują wiadomości różnymi grupami oporu. Zwykle robi to chłopcy, ale wuj woli mnie.

— Dlaczego?

— Po pierwsze jestem sprytniejsza, a poza tym sama tego chciałam.

Lubi góry, lubi oddycha tym powietrzem i lubi samotno . —
Zacz ła rozpina mu pasek. — Lepiej niech pan zdejmie spodnie.

Miała du e, j drne piersi, które wyra nie rysowały si pod mokr
sukienk . Savage widział stercz ce sutki. Speszył si jak chłopiec.
Si gn ł do paska, odpychaj c jej r ce.

— Dobra. Sam to zrobi .

Rosa u miechn ła si , podeszła do skalnej półki i zacz ła czego
szuka w ród stoj cych tam naczy i ró nych przedmiotów. Wyci gn ła
jak puszki .

— Kawa. Stara, ale musi nam wystarczy .

Znowu kucn ła przy ogniu i ły k wsypała kaw do garnka z
gotuj c si wod . Savage, który ju zdj ł buty, z trudem ci gn ł
mokre spodnie i szybko owin ł si kocem.

Rosa rozło yła owcz skór przy ogniu.

— Prosz tu przyj i si ogrza — rozkazała.

Zawahał si , a potem zrobił, co mu powiedziała. Przykryła go kocem
i jeszcze dwiema skórami. Były stare, z pewno ci brudne i
prawdopodobnie zapchłone, ale Savage nagle u wiadomił sobie, e
absolutnie mu to nie przeszkadza. Mi kkie i ciepłe, pachniały dymem.

Ze starej puszki po tytoniu Rosa wyj ła papierosa, zapaliła go
drzazg wyci gni t z ognia i bez słowa podała kapitanowi. Chwycił go
dr cymi palcami i z przyjemno ci zaci gn ł si dymem taniego,
mocnego tytoniu.

Co mu przypomniało proszon kolacj , wydan przez matk na
jego cze podczas ostatniego urlopu w Bostonie. Smokingi, przystojni
m czy ni w mundurach, pi kne kobiety, srebra Savage'ów połyskuj ce
w blasku wiec, dyskretna obsługa. No i Joanna, oczywi cie Joanna van
der Boegart, któr znał, jak tylko si gnie pami ci . Pewnego dnia o eni
si z ni ku powszechnemu zadowoleniu.

Przypomniał sobie, jak trzymał j w ramionach, kiedy na weekend
przyjechała z Vassar, specjalnie na to przyj cie. Spokojna, elegancka, o
pełnych, j drnych ustach, których nigdy nie pozwoliła mu całowa ,
nawet w takiej chwili, gdy by mo e widzieli si po raz ostatni w yciu.

Tutaj wszystko wygl dało zupełnie inaczej. Obserwował Ros
pochylon nad ogniem i ostro nie nalewaj c kaw do starych
blaszanych kubków. Mokra bawełniana sukienka tak mocno j opinała,
e widział zarys majtek.

Natychmiast ogarn ło go podniecenie, jakiego nie odczuwał od
dłu szego czasu. Poruszył si niespokojnie. Je eli jakikolwiek ołnierz
zasługiwał na miano mnicha, to na pewno Savage, od ponad roku ył

bowiem w celibacie. ólnierskie ycie, wypełnione szkoleniem i kilkoma wypadami do Europy, nie pozostawiało wiele czasu na kontakty z kobietami. Ju dawno postanowił całkowicie z nich zrezygnować, przynajmniej na czas trwania wojny.

W każdym razie nigdy nie uważał, że z kobietami idzie mu wspaniale. Te panienki z dobrego domu, z jakimi się wychowywał, dziewczęta typu Joanny, traktowały swoje dziewictwo niczym wartość przetargową. Epizody z innymi dziewczynami na uczelni wypadły, skromnie mówiąc, niezadowolająco.

Pod tym względem zawiódł nawet magiczny wpływ Montmartre'u w czasie, gdy Savage zajmował się malarstwem. Owszem, mnóstwo dziewczyn interesowało się przystojnym malarzem amerykańskim z pieniędzmi, lecz on nie dawał im tego, co uszczęśliwia kobiety. Ju dawno doszedł do tak smutnego wniosku.

Rosa podała mu kawę w starym blaszanym kubku. Savage dźwignął kubek i pił łapczywie, parząc sobie wargi. Dziewczyna stała z dłońmi na ustach, patrząc na niego z góry. Z jej wilgotnej sukienki unosiła się para. Savage'owi rzeczywiście musiało być zimno, bo trząsnął się tak bardzo, że aż rozlewał kawę, która spływała mu po brodzie.

— Chyba ma pan gorączkę — powiedziała odbierając od niego kubek. — Trzeba się wypocić.

Przykryła go jeszcze kilkoma owczymi skórkami, a potem zaczęła rozpinąć sukienkę. Zsunęła ją z siebie i w świetle ognia zajął się jej piersi. Savage zamknął oczy ze świadomości, że Rosa zdejmuje majtki, ukazując ciemne włosy w miejscu, gdzie kończy się uda. Po chwili wliznęła się pod owcze skóry i położyła obok niego.

Było w tym wszystkim coś nierealnego jak w marzeniach tuż przed zaśnięciem. Poczuli, że Rosa wargami chwyta go za płatek ucha, a potem wsuwa mu język do ust. Przeciwnie do dłoni po jego płaskim, mięśniastym brzuchu i dotknęła członka. Zażenowała się.

— Zabierz mnie do Nowego Jorku, co? — szepnęła mu do ucha. — Zabierz mnie do Nowego Jorku, Savage, to sobie trochę poszalejemy.

W tej samej chwili przetoczyła się na niego, rozchylając uda i wprowadziła go w siebie.

Potem, leżąc w północy i wciąż gorączkując, trzymał ją w objęciach.

— Savage, nie pisz? — szepnęła.

Nie odpowiedział, rozmawiając o tym, co się stało. Jeszcze nigdy

z adn kobiet nie prze ywał czego takiego — ciepła, prostoty, całkowitego braku wstydu.

Zsun ła si ni ej i poczuł, e jej j zyk znaczy mu wilgotn cie k na brzuchu. Potem wzi ła członek do ust. Savage poruszył si , mruzc z zadowolenia.

Poderwała głow i spojrzała na niego.

— Jednak nie pisz?

— Nie — odparł przewracaj c j na plecy. — Nie pi , do cholery.

Roze miała si i pocałowała go, kiedy rozgor czkowany w ni wchodził. Orgazm zdawał si trwa bez ko ca. Savage u wiadamił sobie tylko tyle, e jej ciało si porusza, e nagle dziewczyna gł boko wzdycha, mocno go ciska i wydaje zduszone okrzyki.

Potem le ał na niej, wolno zapadaj c w sen, a ona delikatnie głaskała go po twarzy.

Rozdział dwunasty

Luciano i Maria szli górskim szlakiem prawie od dwóch godzin. Ciężko biegła głównie przez las, który dawał im pewną osłonę przed niepokojem, lecz kiedy wspinali się na strome kamieniste wzgórza, pozbawione drzew, wiatr tak zaczął deszczem, że musieli pochylać głowy, a wtedy Maria wspierała się na swoim towarzyszu.

— To na nic — odezwał się Luciano, gdy szukając schronienia przystanęli za jakimś występem skalnym.

— Chwileczkę — powiedziała Maria, zamykając mu dłonią usta. — Chyba czuj dym.

Miała rację. Luciano wyszedł zza skały i natychmiast poczuł ostrą, gryzącą woń, niesioną silnym wiatrem. Ruszyli dalej.

Dotarli do szczytu wzniesienia i w zagłębieniu wśród drzew zobaczyli jakieś światło. Zaszczekały psy, kiedy podeszli do płotu, za którym było błotniste podwórko, a dalej chata. Luciano zdjęł z ramienia karabinek, odbezpieczył go i ruszył przez podwórko. Otworzyła się górna połowa drzwi. W wietle padającym z wnętrza ukazał się mężczyzna z dubeltówką.

— Kto idzie?! — zawołał.

— Podróżni zaskoczeni przez noc — odparł Luciano. — Szukamy schronienia.

— Tu go nie znajdziecie. Mamy do kłopotów.

Mężczyzna wyglądał na jakieś trzydzieści lat. Był typowym górąlem z czarnymi sumiastymi włosami; spod czapki wystawały mu długie zmierzwiowane włosy.

— Jestem z kobiet — powiedział Luciano, gdy drzwi zaczęły się zamykać. — Bądź człowiekiem.

Zrobił krok w kierunku drzwi, a wówczas mężczyzna podniósł dubeltówkę do ramienia.

— Powiedziałem nie. Jeszcze jeden krok, a rozwalę ci łeb.

— I ty będziesz odpowiadał przed mafią — rzekł Luciano. — Przed samym Luką.

Mężczyzna zeszytywniał, powoli opuszczał dubeltówkę.

— A co wspólnego ma z tym wszystkim don Antonio?

Luciano wypchnął przed siebie Marię.

— To jego wnuczka. Idziemy do klasztoru franciszkanów.

Dubeltówka całkiem opadła. Mężczyzna się zawahał, a potem gwałtownie odwrócił, kiedy w chacie krzyknęła z bólu jakaś kobieta.

Luciano i Maria podeszli do drzwi. Wnętrze chaty było niewiarygodnie prymitywne: gołe kamienne ściany, gliniana podłoga, w otwartym palenisku pod szczytowym kominem płonął ogień, wypełniając izbę dymem. Obok dwóch uwiązanych kóz siedziało dwoje zawiniętych w koc dzieci, które ogromnymi oczami patrzyły na to, co się działo w izbie i przy drzwiach.

Na łóżku zбитым z nieheblowanych desek leżała młoda kobieta o spoconej twarzy, wykrzywionej bólem. Jakaś pomarszczona starucha siedziała na stołku przy ogniu, mieszając coś w elaznym garnku. Ubrana była w czarną chustkę na głowie, czarny sukienkę i podarte buty.

Młoda kobieta znowu jęknęła. Pod kocem rysowały się jej rozwarte kolana i ogromny brzuch. Maria otworzyła dolną połowę drzwi i weszła do rodka, a za nią Luciano. Pochyliła się nad kobietą i przyłożyła jej dłoń do czoła.

— Rodzi ją od wczoraj — powiedział mężczyzna. — Dlatego posłałem po stręg.

Stręgi to coś w rodzaju czarownic. Zwykle są prawie w każdym miasteczku. Zajmują się sprzedażą tajemnych napojów i rzucaniem uroków, choć w rzeczywistości jest to tylko leczenie ziołami. Na głębokiej wsi zastępują chłopom lekarzy.

Maria odkryła kobietę, by ją zbadać. Starucha odwróciła się na stołku.

— Bezwstydna! — zawołała gniewnie.

Mężczyzna chwycił Marię za nadgarstek i wykrzywił jej rękę.

— Co ty wyprawiasz?! Chcesz narazić moją żonę na wstyd przed obcymi.

Luciano złapał go za włosy, odchylił mu głowę do tyłu i wcisnął mu palec pod brodę.

— Jak się nazywasz?

— Solazzo — wyst kał bole nie.

— Wi c posłuchaj no, Solazzo. Bóg si dzi do ciebie u miechn ł, bo ta zakonnica jest piel gniark . Prawdziw piel gniark z prawdziwego szpitala. Odsu si i zostaw j , inaczej b dzie miała dwoje pacjentów.

Starucha zacz ła protestowa . Solazzo uciszył j ruchem r ki, badawczo popatrzył na Luciana, a potem odwrócił si do Marii.

— Czy to prawda, co on mówi? — spytał j .

— Tak — odparła.

Wówczas zdj ł czapk i wytarł sobie twarz wierzchem dłoni. Maria na powrót zaj ła si kobiet , która teraz krzyczała, rzucaj c głow na boki. ci gn ła z niej koc i odsłoniła wyd ty brzuch.

— Mówił pan, e od kiedy rodzi?

— Od wczorajszego popołudnia.

Maria pochyliła si nad kobiet , szybko j zbadała i odwróciła si z zatroskan min .

— Panie Solazzo, mamy tu powa ny problem. Przyczyna tak długiego porodu pa skiej ony jest oczywista. Normalnie dziecko si rodzi głow naprzód, ale w tym wypadku jest odwrócone.

— Chryste Panie! — zawołał Solazzo i prze egnał si .

— Czy to nie poród po laskowy? — spytał Luciano.

— Tak jest.

Kobieta krzykn ła przera liwie, wyginaj c ciało w łuk.

— Na miło bosk , niech siostra jej pomo e — błagał Solazzo.

Maria uniosła dło w uspokajaj cym ge cie.

— Wła nie. Trzeba pomóc jej i dziecku. Prosz o gor c wod i jakie szmaty. Niech pan podrze prze cieradło, koszul , cokolwiek. Byle było mo liwie czyste.

Solazzo podbiegł do paleniska.

— Chyba artujesz — odezwał si Luciano. — Czyste w takiej norze?

— Musimy zrobi , co si da. Wszyscy — odparła Maria. — Ł cznie z panem, panie Luciano. A teraz prosz uwa nie słucha , bo chc powiedzie , co pan b dzie robił.

Maria pochyliła si nad młod kobiet .

— Eleno, bo tak pani ma na imi , prawda? Prosz mi zaufa .

Ufa mi pani?

Elena Solazzo skin ła głow . Maria otarła jej pot z twarzy.

— Kiedy powiem, eby pani parła, prosz to robi z całej siły. Rozumie pani?

Przy drugim końcu łóżka Luciano trzymał w pogotowiu miskę gorącej wody i płótno podarte na paski. Starucha i Solazzo stali przy palenisku. Rozpłakało się jedno z dzieci i Solazzo szepnął coś do staruchy, która zaczęła je uspokajać.

Maria zabrała się do pracy. Wsunęła dłoń w kroczce Eleny i delikatnie sprawdzała położenie płodu. Początkowo chciała odwrócić dziecko, ale było już za późno, wobec tego najpierw należało wydobyć nóżki. Wymacała jedną, potem drugą i wyprostowała je.

— A teraz, Eleno, przyjdź. Przyjdź mocno!

Wyciągnęła ręce w stronę Luciana, który obmył jej i wytarł. Zdecydowanie chwyciła nóżki dziecka i tak długo cięgnęła, aż ukazały się ramionka, lecz ręczki wciąż pozostawały w rodku.

Luciano obserwował, jak Maria delikatnie odnajduje lewą rączkę i wyciąga ją na zewnątrz. W chwili później równie drugą rączką została uwolniona.

Elena gwałtownie dyszała ze wzrokiem wbitym w sufit i twarzą wykrzywioną bólem.

— Jak idzie? — półgłosem zapytał Luciano.

— Na razie wietnie, ale teraz będzie najbardziej niebezpieczny moment: urodzenie główki. Jeśli ona nie zrobi tego natychmiast...

Urwała.

— ...to może urodzi imbecyla — dokończyła za nią Luciano.

Maria głęboko wciągnęła powietrze, starając się przypomnieć sobie wszystko, co mówiono jej podczas szkolenia. Najważniejsze, żeby wyciągnąć główkę powoli i bez przerw. Prawą ręką wsunęła pod dziecko i włożyła mu palec w usta, w ten sposób przytrzymała główkę.

Palcami drugiej ręki chwyciła je za szyję i zaczęła ciągnąć, co wymagało zdumiewającej siły. Po chwili trzymała dziecko w rękach.

Było całkiem śnie i nie oddychało. Zwiniętymi kawałkami płótna Maria oczyściła noworodkowi nos i usta, a potem przyłożyła mu dłoń do piersi.

— W porządku? — spytał Luciano.

— O, tak. Czuję mocne bicie serca.

Bardzo delikatnie wdmuchnęła powietrze w małe kieszonki usteczka. Nagle pierś dziecka się uniosła i noworodek zaczął krzyczeć. Jakby w odpowiedzi na jego płacz Solazzo zaszlochał.

Maria przewięzała pępowinę, a potem ją przecięła, ostatecznie oddzielając dziecko od matki.

— Córeczka, panie Solazzo, na wypadek gdyby pan tego nie zauważył.

Elena teraz płakała, a jej łzy mieszały się z potem. Solazzo pochylił się nad dzieckiem, kiedy Maria owijała je w płótno.

— Jaka liczna. Damy jej twoje imię, siostrze — powiedział i za nią się głębiał, całe napięcie bowiem już z niego spłynęło.

Nawet starucha się uśmiechała, podchodząc z dwójką dzieci, które szurały nogami po klepisku, wciśniętymi w koc. W ciemnym kącie izby beczały kozy.

Maria myła zakrwawione ręce w misce.

— wietnie się spisała — pochwalił ją Luciano.

— Tylko dziękuję ci, panie Luciano — odparła z uśmiechem. — Mogę prosić jeszcze trochę gorzej wody?

Odwróciła się i zaczęła wycierać krew z brzucha i ud Eleny. Luciano podszedł do drzwi i wylał wodę z miski na podwórko. Zapalił papierosa, oparł się o framugę i zapatrzył w deszcz. Od wielu lat nie miał tak dobrego samopoczucia.

Obok niego pojawił się Solazzo z butelką.

— Wypijemy, *signor?*

Luciano pociągnął jeden łyk podłego sycylijskiego koniaku, który palił w gardle. Zakrztusił się i oddał butelkę. Solazzo wypił potny haust.

— Czy to prawda, co pan mówił o tej zakonnicy, *signor!* To rzeczywiście twoja wnuczka Antonia?

— Należysz do stowarzyszenia? — spytał Luciano.

— Od czasu, gdy skończyłem siedemnaście lat. Pan też, *signor!* — Wzruszył ramionami. — Nawet nie musisz pytać. Proszę mi zrobić przyjemność i powiedz, jak się pan nazywa?

— Luciano.

Solazzo ze zdumienia rozdziawił usta.

— Pan... pan jest Luciano, *signor?*

— Zgadza się.

Solazzo chwycił go za prawe ramię i pocałował go.

— Don Salvatore... zbawco. Bóg nam pana zesłał w tę burzliwą noc.

— Bardzo mi miło — odparł Luciano i spojrzał na Marię, która smutno uśmiechała się do niego z głębi izby.

Osiem kilometrów dalej na północ, w niewielkiej dolinie zagubionej wysoko w górach Cammaraty, don Antonio Luca, najpotrzebniejszy człowiek na Sycylii, jadł kolację w starym chłopskim domu o nieregular-

nych kształtach, przy otwartych oknach wychodzących na taras. Długa, w szał, izbą dzienną z pobielonymi ścianami i kamienną podłogą była raczej prymitywna, ale dostatecznie ciepła dzięki polanom płonącym na kominku w kącie.

Luca siedział przy końcu długiego stołu z czarnego drewna, skubiąc rozłożone na nim potrawy: *narbe di San Paolo*, smażone pierogi z serem, posypane cukrem, i *cannoli*, najstynniejszy deser sycylijski. Sięgnął po butelkę, ale jej nie było w niej wina, więc podniósł dzwonek i zadzwonił.

Kobieta, która weszła, liczyła sobie nie więcej niż trzydzieści lat. Była pełna, mocno zbudowana dziewczyna o szerokich biodrach, rozciągniętych tradycyjnym czarnym sukienką do granic wytrzymałości. Miała kruczoczarne włosy, upięte w ciasny kok nad karkiem, i oczy o łagodnym spojrzeniu. Na oliwkowej skórze jej twarzy dopiero zaczynały pokazywać się zmarszczki.

— Jeszcze jedną butelkę, Katerino.

Wyszła bez słowa. Luca zapalił papierosa, a potem wstał i pogrzebał w ogniu. Miał sześćdziesiąt pięć lat; jego włosy i starannie przystrzyżona broda były szpakowate. Wiek lekko przygarbił tego wysokiego mężczyzny.

Najbardziej rzucała się w oczy jego twarz: bezwzględna, dumna i butna, ale równie pełna inteligencji. Ubrany był jak góral w sztrukturalne spodnie, kamizelkę i czerwony flanelowy koszul, choć mimo to wyglądał zdumiewająco elegancko — niczym arystokrata przebrany za gajowego, co dziwiło u człowieka, który urodził się jako syn dzierżawcy.

Wróciła Katerina z winem.

— Przyszedł Mario.

— Dobrze. Przyłóż tu i podaj kawę.

Poruszył nogą polana i odwrócił się, gdy znów otworzyły się drzwi.

Do izby wszedł mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, o twarzy pewnego siebie gladiatora, który przed chwilą zwyciężył, walcząc o życie na arenie. Ten niski, siwiejący człowiek zwracał uwagę swoją aparycją — wyglądał na takiego, co mógłby zabijać z uśmiechem na twarzy. W istocie robił to już wielokrotnie na rozkaz swojego *capo*. Mario Sciarra był silnym rywalem Antonia Luki.

— Słucham — odezwał się Luca.

Ponownie otworzyły się drzwi i weszła Katerina z kawą.

— Już, don Antonio — odparł Sciarra.

— Z Lucianem?
— Tak.
— I moj wnuczk ? Gdzie teraz si znajduj ?
— Dokładnie nie wiem. Byli w willi hrabiny di Bellona, ale mieli kłopoty.
— Co za kłopoty?
Katerina wyra nie zwlekała, nalewaj c kaw .
— Wie pan, jak bardzo martwiło komunistów rosn ce zaan-
ga owanie mafii w ruchu oporu — rzekł Sciara. — Kiedy usłyszeli, e
przybywa Luciano, nie byli z tego zadowoleni. Próbowali go zastrzeli .
— Kto?
— Owczarz Russo z Bellony i jaki chłopak. Z tego, co wiem,
załatwił ich Luciano. Obaj zgin li.
— Widz , e w dalszym ci gu ma pewn r k . A moja wnuczka?
Te tam była?
— Tak, *capo*.
Z błyskiem gniewu w oczach Luca podniósł ze stołu butelk marsali.
R ka mu dr ała.
— Ha ba! Co podobnego! Luciano mo e sobie ryzykowa , ale
eby nara a na niebezpiecze stwo ycie mojej wnuczki... — opró nił
szklank jednym haustem. — Kto jeszcze maczał w tym palce?
— Mori, ten nauczyciel.
— A to dra . Jeszcze jeden czerwony. Zapłaci mi za to, Mario.
— Ju zapłacił; *capo*. W pa skim imieniu zaj ł si nim Vito
Barbera.
— Dobrze. — Luca pokiwał głow . — Na nim zawsze mo na
polega . A teraz nast pna sprawa. Czy jest z nimi ten Anglik Carter?
— Tak, *capo*.
— Znakomicie... lubi Cartera. — Odwrócił si do Kateriny. —
Kiedy przyjdzie, znów b dziemy mogli pogra sobie w bryd a z
dziadkiem, ale to lepsze ni nic.
— Zobaczysz si pan z nimi?
— Oczywiście. Mog tutaj przyj . Porozum si w tej sprawie z
ojcem Giovannim. A teraz napij si kawy i opowiedz mi, jak toczy si
wojna.

Jaki czas pó niej, stoj c w ciemno ciach w swoim pokoju przy
otwartym oknie, które wychodziło na taras, Luca obserwował błys-
kawice nad szczytami gór. Z s siedniego pokoju wyszła Katerina,

ubrana w szlafrok z grubego jedwabiu, i stan ła obok niego. Obj ła j ,
chwycił za lew pier i palcami pogłaskał sutek, który nabrzmiął.

— Martwisz si , Antonio?

— Jeste pewna?

— Oczywi cie. My l , e to przez Mari . Nie chcesz, eby tu
przyszła? Dlaczego? Przecie to twoja krew. Jedyna yj ca osoba z
twojej najbli szej rodziny. To nienormalne.

Luca pokr cił głow .

— Jak mam ci to wytłumaczy ? Kiedy była dzieckiem, uwielbiałem
j i ona bardzo mnie kochała. Nigdy nie poznała swojego ojca, niech
mu Bóg da wieczne odpoczywanie. Byłem jedynym m czyzn w jej
yciu. A potem nadszedł ten dzie , ten straszny dzie , gdy wsiadła ze
swoj matk do samochodu...

Urwał, Katerina poło yła mu dło na ramieniu.

— Odwróciła si ode mnie ze słowami nienawi ci na ustach. —
Pokiwał głow . — Nie, moja kochana, kiedy teraz przyjdzie, to tak,
jakby my odsun li stary kamie i odsłonili le c pod nim zgnilizn .

— Nie, Antonio. Jestem pewna, e ona przyjdzie z miło ci .

Za miał si chrapliwie.

— Czy Antonio Luca jest głupcem i nie zauwa ył jej miło ci przez
wszystkie te lata? Przyjechała, bo odmówiłem Amerykanom pomocy
w zbli aj cej si inwazji, bo maj nadziej , e Maria mo e wpłyn na
zmian mojej decyzji. Gdyby nie to, w ogóle by nie przyjechała.

W jego głosie wyczuwało si straszliwe roz alenie. Katerina
odwróciła si i mocno go obj ła.

— Chod do łó ka, Antonio.

— Zaraz przyjd , moja droga, jeszcze chwileczk .

Pocałował j we włosy i delikatnie odsun ł.

Kiedy wyszedł na taras, w lepkiem, wilgotnym powietrzu unosił si
intensywny zapach mimozy. Naelektryzowany wiat tylko czekał na
znak. Wreszcie gruchn ł grzmot, rozwarły si niebiosa i lun ł deszcz.

Rozdział trzynasty

Koenig stał przy oknie swojego gabinetu w koszarach policji w Agrigento, kiedy Susłow i jego Ukraińcy wjeżdżali o wście na dziedziniec. Za plecami pułkownika otworzyły się drzwi i wszedł Rudi Brandt z filiżanką kawy.

Koenig ruchem głowy wskazał Detweilera, którego wyciągnął z łazika stojącego na dziedzińcu. Sierant upadł na kolana i wtedy jeden z Ukraińców go kopnął. Dwóch innych podbiegło w stronę wejścia do starego domu kapitana policji, gdzie Meyer miał swój kwaterek.

— Szykuje się robota dla grabarza — powiedział Koenig.

— Na to wygląda, panie pułkowniku.

— Dowiedz się, kto to jest, i zamelduj mi.

Brandt natychmiast wyszedł. Koenig otworzył okno. Nocna burza już się skończyła, ale wiatr niósł jeszcze drobny deszcz, który pokrywał mgiełką szybę. Koenig poczuł się nad wiek stary i ogarnął go przygnębienie, kiedy pił kawę, obserwując Rudiego Brandta idącego przez dziedziniec.

Detweiler, któremu strach wyostrzył zmysły, stał przed biurkiem Meyera i czekał. Major nie zwracał na niego uwagi patrząc, jak Susłow wyjmując z plecaka różne przedmioty: magazynki z amunicją, kilka granatów, czekoladki i elastyczne racje żywnościowe. Położył je na biurku obok M-1 i kółka.

— No i co? — spytał Meyer.

— Bro wygląda na zupełnie nowego, panie majorze. Meyer wziął do ręki fałszywe dokumenty Detweilera.

— I kogoś my tu mamy? — odezwał się nie podnosząc wzroku. — Mario Brazzi, urodzony w Palermo w tysiąc dziewięćset siedemnaście. Tu jest napisane, że z zawodu jest pastuchem.

— Tak jest — odparł Detweiler z opuszczoną głową.

— U kogo pracujesz?

Detweiler trzymał się tego, co w Maison Blanche wymyślił dla niego Carter.

— Czasy się cięknie. Przenosisz się z miejsca na miejsce. Par dni tu, par dni ówdzie.

— W lutym zwolniony z 15 Brygady Piechoty z powodu rany w klatkę piersiową otrzymanej w Afryce Północnej.

— Zgadza się, panie majorze.

Meyer skinął na Susłowa, który odłożył M-1 i rozchylił Detweilerowi koszulę. Z lewej strony na klatce piersiowej wyraźnie było widać grubą bliznę po ranie postrzałowej — pamiątka z nieszczęśliwego dowodzenia pod Dieppe.

Meyer odchylił się do tyłu.

— Wygląda to na paradoks. Mario Brazzi, były ranny żołnierz i uczciwy pastuch, łączył sobie po górach z nowiutką amerykańską bronią, amerykańską czekoladą i elastycznymi racjami żywnościowymi. — Zwrócił się do Susłowa: — Co waszym zdaniem może to oznaczać, *Untersturmbannführer*?

— Zrzut dla partyzantów w tym rejonie, prawdopodobnie dokonany bardzo niedawno, panie majorze, sześć dni po M-1 i reszcie.

Detweiler robił wszystko, żeby nie wypaść z roli.

— Jestem uczciwym człowiekiem, przysięgam. Nocowałem w pasterskim szałasie wysoko w górach, po drugiej stronie Viterby. Znalazłem to ukryte pod słomą.

Meyer skrzywił się i wówczas Susłow wziął M-1 i z całej siły uderzył Detweilera kolbą w ołdek. Detweiler upadł na twarz, zrobiło mu się niedobrze.

— Spróbujmy jeszcze raz — rzekł Meyer.

Postawili się na nogi. W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł Koenig, ubrany w mundur i panterkę. Na głowie miał swój staropolski czapkę oficerską, włożył ją na bakier.

— A, jest pan, Meyer — powiedział. — Właśnie nie wyjeżdżam... — Urwał udając zdziwienie. — Co tu się dzieje?

Meyer już dawno nauczył się panować nad sobą w obecności Koeniga.

— Przymuszcza, że to partyzant, panie pułkowniku. Susłow

złapał go w górach z amerykańskim sprzątem. Wygląda na to, że ostatnio w tym rejonie dokonano zrzutu.

Koenig wziął kolbę, zwał go w rękę i odłożył na biurko.

— A on co mówi?

— On znalazł to wszystko ukryte pod słomą w pasterskim szałasie.

Koenig przyjrzał się Detweilerowi, który stał z opuszczoną głową, podtrzymywany przez dwóch Ukraińców, i z trudem łapał powietrze.

— Słuchaj, to może być ważne — rzekł Koenig.

— Ale, panie pułkowniku — powiedział zdziwiony Meyer.

— Wsadźcie go do celi, dajcie mu coś do jedzenia i dwadzieścia cztery godziny na przemyślenie sobie sytuacji. Jadę do sztabu w Palermo, ale jutro wracam i wówczas go przesłucham.

Meyer lekko się uśmiechnął.

— Jak pan sobie życzy, panie pułkowniku.

Koenig podszedł do drzwi i otworzył je.

— Chciałbym go zastać w całości — dodał odwracając się. — Niech pan to wbije do głów swoim ludziom, bo w takich wypadkach są skłonni do pewnej nadgorliwości, a mnie absolutnie to się nie podoba.

— Oczywiście, panie pułkowniku, ma się rozumieć.

— To idiotyzm, panie majorze — odezwał się Susłow, kiedy za Koenigiem zamknęły się drzwi. — Pozwoli pan, że zajmę się tym sukinsynem po swoim.

Major przecząco pokręcił głową.

— W odpowiednim momencie dobiegnę do Koeniga, może się mi wierzysz, ale nie mam zamiaru pogarszać sytuacji z powodu takiego głupstwa. To zbyt mało ważne.

— Wiem co z nim zrobimy?

Detweiler nie znał niemieckiego i nie wiedział, o czym rozmawiali. Z obaw czekał na rozwój wypadków, starając się jak najlepiej udawać pokornego wieśniaka i próbując wywnioskować coś z miny Meyera.

— Pułkownik kazał mi dać dwadzieścia cztery godziny, żeby sobie wszystko rozważyć — rzekł zamyślony Meyer. — Bardzo dobrze. Tak właśnie zrobimy. Zaprowadź go na dół do dwójki.

— *Zu Befehl, Sturmbannführer* — powiedział Susłow i skinął na dwóch żołnierzy, którzy wyprowadzili Detweilera.

Schodzili po kamiennych stopniach, przodem Susłow, a za nim dwaj Ukraińcy z Detweilerem w środku.

Detweiler gorczkowo myślał, rozpatrując różne możliwości. Podczas szkolenia przygotowywano go na takie sytuacje. Zwykle zaczynali od całkowitego odosobnienia w absolutnej ciemności. Przypominał sobie wykłady psychologa. Pozbawienie bodźców prowadzi do obłędu. Dobrze, lecz wystarczy jedynie to przetrwać, ponieważ wiedział co, czego ci dranie nie wiedzieli: lada dzień rozpocznie się inwazja.

Zatrzymali się przed drzwiami do jakiejś celi i Susłow je otworzył. Zwnetrze buchnął nieznośny fetor. Kiedy Detweilera popchnięto do przodu, w świetle wpadającym do celi z korytarza zobaczył kilkunastu brudnych obszarpców, stłoczonych na niewielkiej przestrzeni.

Susłow kiwnął głową i dwaj Ukraińcy zaczęli zdzierać z Detweilera ubranie, a potem nagiego zakuli w kajdanki, z łańcuchami na plecach. Nigdy nie czuł się tak bezbronny. Meyer zszedł ze schodów i zbliżył się korytarzem. Obrzucił Detweilera zimnym spojrzeniem, a później stanął w wejściu do celi.

— Teraz wy mnie słuchajcie — powiedział, kalecząc język włoski. — Ten człowiek w ogóle nie leży, nie odpoczywa i nie spa, kiedy sta. Wy po kolei pilnowajcie, aby spełnił moje rozkazy. Jeżeli tego nie zrobi, wy nie dostacie wody, a jedzenie przez tydzień. Pilnowajcie jeden drugiego.

Skinął na Susłowa, który wpełchnął Detweilera do celi i zatrzęsł drzwiami. Sierant upadł, potykając się o jakieś leżące ciało. Poczł straszliwy smród. Zaczł w ciekłe wierzganie nogami, kiedy schwytały go liczne rany i z powrotem postawiły.

— Nie wiem, kto ty, przyjacielu, i nic nas to nie obchodzi — odezwał się jakiś chrapliwy głos. — Kiedy ty myślisz o sobie, co oznacza, że b dzie tak, jak chce ten sukinsyn gestapowiec, a ty zrobisz to, co my chcemy.

Detweiler stał w ciemnościach, zdjął nagłym przerażeniem.

— Słuchajcie, na Boga...

— Bóg nic do tego nie ma — przerwał mu ten sam chrapliwy głos — a więc bądź grzeczny i rób dokładnie to, co ci kazano.

Na przełomie wiosny i lata, kiedy zaczynają się prawdziwe upały, gwałtowne burze z piorunami są rzeczą zwyczajną w sycylijskich górach. Znow zaczęła padać, gdy Savage i Rosa szli cięk wzdłuż grani między dwoma szczytami.

— Czy na Sycylii zawsze tak leje? — spytał Savage.

Rosa się roześmiała.

— Nie, nie zawsze — odparła.

Savage właściwie nie miał nic przeciwko temu. Słubi ludzie, którzy lubi spacerować w czasie deszczu, co podnosi ich na duchu. Tę ranka ulewa nad Cammarat miała na niego jak zwykle dobroczynny wpływ. Dawała ziemi życie i wszystko od nowa.

Rosa wzięła Savage'a pod rękę.

— Jednego nie rozumiem. Kiedy kochałeś się ze mną ...

— Za którym razem? — przerwał jej, starając się zachować powagę. — Trzecim czy czwartym?

— Nie, to było rano, kiedy się obudziłem. Przepraszam mnie, ale nie jesteś dobry w łóżku. Powiedziałaś, że jesteś znacznie lepszy w strzelaniu do ludzi.

— Nie przypominam sobie — skłamał.

— Ale ty naprawdę jesteś cudownym kochankiem. Dałeś mi tyle szczęścia, wiele razy.

Savage był całkowicie zmieszany.

— Nie powinnaś tak mówić.

— Jak? Powiedziałaś coś złego?

— Dajmy sobie z tym spokój — odparł. — Po prostu dajmy sobie z tym spokój.

Odwróciła go do siebie i spojrzała mu w oczy powągnym wzrokiem spod starej samodziśowej czapki.

— Nie wiem, co one ci mówiły przez te wszystkie lata, ale ty nie jesteś taki, za jakiego ci uważały. — Wycięgnęła rękę delikatnie dotknęła jego twarzy. — Ani tak słaby w łóżku, jak ci wmawiały.

Objął ją ramieniem i mocno do siebie przytulił.

— Skąd tyle mędrości u tak młodej dziewczyny?

— Bo byłam dziwką — odparła chrapliwie. — W Palermo, ale chyba już to o mnie wiesz?

W przypływie czuła się schylił się i lekko ją pocałował.

— Daj spokój — rzekł. — Najlepiej będzie, jak pójdziemy do klasztoru i dowiemy się, co z resztą.

Luciano i Maria spokojnie maszerowali w porannym deszczu.

— Wołałabym nie zostawiać tego dziecka.

— I tak dokonałaś cudu — powiedział Luciano. — Będzie żyło. Musi. Po takim porodzie. W każdym razie myślałem, że wiara to twoja dziedzina.

— Pana nie?
— Ja zajmuj się przyziemnymi sprawami.
— Nienawidzi pan Niemców?
— A ty?
— Nienawidz tego, co oni zrobili.
— Dla mnie życie jest o wiele prostsze.
— Bo pan odrzuca wszelkie zaangażowanie.
Luciano wzruszył ramionami.
— Wiem, kim jestem i czym. Lubi ci, więc stoję po twojej stronie.
— A co z Niemcami?
— Nawet jeszcze żadnego nie widziałem.
— To wszystko jest dla pana gra, prawda, panie Luciano? Zupełnie jak w mafii. — Pokręciła głowę. — Macie zasady jak uczniaki. Ta wasza *omerta*. Mstwo, honor, sam rozwiąż swoje problemy i zabijaj Wroga, stajcie z nim twarzą w twarz.
— Kiedy prowadzi jak gra. To pomaga radzić sobie w życiu. Jeszcze tego nie zauważyła? Niektórym dla duchowego oczyszczenia są potrzebne śmigoczące wiece, średniowieczne habity, pieńki kościelne i facet w sutannie, ale to, u licha, nie dla mnie.
Nim zdała odpowiedź, wyszli na otwartą przestrzeń i w dolinie zobaczyli niewielkie miasteczko.
— To ta miejscowość, o której mówił Solazzo — powiedziała Maria. — Viterba.
Luciano skinął głową.
— Dobra. Zejdmy i rozejrzyjmy się. Zobacz, czy uda mi się znaleźć tego Verge, o którym wspominał Solazzo.
i Miasteczko było biedne. Parę stromych uliczek zbiegających się na tynku, przeważnie odkryte ciekły, z których unosił się taki fetor, ale należało je omijać z daleka. Chude dzieci apatycznie bawiły się w błocie, rzucając na Luciana i Marię obojętne spojrzenia, kiedy przechodzili obok nich. Dotarli do winiarni. Z markizy osłaniającej parę stolików spływała woda deszczowa.
— Zaczekaj tu — odezwał się Luciano — a ja sprawdzę, czy on jest.
Maria usiadła na krzeselku. Luciano wszedł do mrocznej sali, w której było zaledwie kilka stolików, bar z popkany marmurowym blatem, a za nim półki z butelkami. Goście jeszcze się nie zjawili, tylko nad barem pochylał się niski, krępy mężczyzna ubrany w koszulę z rozpiętym kołnierzykiem i brudny, niegdyś biały fartuch. Czytał gazetę.

— Słucham? — rzekł patrz c podejrzliwie.
— Przysłał mnie tutaj Mario Solazzo.
— I co z tego?
— Chciałem si dosta do franciszkanów w Cierniowej Koronie.
On powiedział, e pan wska e nam drog .
— Nam?
— Jestem z kobiet — odparł Luciano. Po dłu szej chwili zaczął
cierpliwie tłumaczy : — Pan nazywa si Verga, prawda? Mówiono mi,
e pan nale y do stowarzyszenia.
Verga patrzył na niego t pym wzrokiem, wsadziwszy r k pod bar.
— No to co?
— Chc co wyj z prawej kieszeni, wi c prosz do mnie nie
strzela . To nie rewolwer.
Luciano pokazał ółt jedwabn chusteczk do nosa. Kiedy j
rozło ył, Verga spojrział na czarn liter „L” i wytrzeszczył oczy. Spod
baru wyci gn ł r k trzymaj c berett , pistolet u ywany przez
włoskich oficerów, i ostro nie poło ył go na blacie.
— „L” jak Luciano — rzekł, wolno podnosz c wzrok.
Luciano stał z głow odchyłon do tyłu, praw dło opieraj c na
biodrze.
— Przyjechał pan, tak jak mówili — szepn ł Verga.
Wyszedł zza baru, podniósł r k Luciana do ust. W tym samym
momencie rozległ si bolesny krzyk Marii. Luciano odwrócił si i
wybiegł z winiarni.

Mari , przyci ni t plecami do stolika, obłapywało dwóch m czyzn.
Wygl dali typowo jak wszyscy młodzi ludzie w tym rejonie: brudne
ubrania, podarte buty, grube rysy twarzy ogłupiałych od harówki.

Jeden z nich obejmował Mari , trzymaj c j za po ladki, i z okru-
tnym u miechem szeptał jej do ucha jakie spro no ci. Uderzyła go w
twarz. Dla Sycylijczyka kobieta jest po to, eby jej u ywał i eby go
słuchała. Publiczne upokorzenie przez kobiet to rzecz nie do pomy -
lenia, młody człowiek zamierzył si wi c, by j ukara .

Luciano chwycił go za nadgarstek i oderwał od Marii. Teraz stali
naprzeciwko siebie twarz w twarz. Mina m czyzny wyra ała najpierw
konsternacj , a potem strach, lecz nie dlatego, e poznał Luciana.
Przyczyna była prosta: w jego nieubłaganym spojrzeniu wyra nie
widział pewno siebie, but i sił mafiosa.

Luciano uderzył go otwartą dłoń. Moczyzna nie odezwał się ani jednym słowem, po prostu stał. Ten drugi dotknął jego ramienia i obaj z pobladłymi twarzami zaczęli się cofać. Potem się odwrócili i w popiechu umknęli.

— Cóż mogł panu powiedzieć, don Salvatore, czy pani, *sig-norina* — rzekł Verga.

— Ta pani to siostra miłosierdzia — poinformował go Luciano. — Są pewne powody, dla których się tak przebrała. Poza tym jest wnuczką don Antonia Luki.

Zdziwiony Verga odwrócił się, spojrzał na nią i pocałował ją w rękę, nim zdążyła mu w tym przeszkodzić.

— Zapraszam na poczęstunek, a później zaprowadzę państwa na drogę do klasztoru.

Savage z Rosą weszli na szczyt wzniesienia i przystanęli. W dolinie po prawej stronie, w odległości niespełna kilometra, leżało jakieś miasteczko.

— Co to za miejscowość? — spytał kapitan.

— Viterba, ale my pójdziemy tutaj, drogą biegnącą obok kościoła w stronę granicy. Klasztor jest po drugiej stronie, jakieś osiem kilometrów stąd.

— Dziwne miejsce dla kościoła w takim odosobnieniu — powiedział Savage, kiedy ruszyli.

— Niezupełnie. Miasteczka w górach są zbyt małe, żeby kałde z nich mogło mieć własny kościół i księżdz. Do tego przychodzi wielu okolicznych miejscowców, a msze odprawiają franciszkanie.

Kiedy podeszli bliżej, Savage usłyszał warkot silnika samochodu, dobiegający z niewielkiej odległości. Odwrócił się i zobaczył, że w dolinie drogą wśród drzew jedzie łazik z trzema żołnierzami. Jeden z nich siedział za kierownicą z karabinem maszynowym.

Kapitan podniósł lornetkę i przez chwilę im się przyglądał.

— Niemcy.

— Nie — powiedziała Rosa. — To Ukraińcy... ze specjalnego oddziału SS, którym dowodzi niejaki Meyer. Jest majorem gestapo i kieruje wszystkim z Agrigento.

Chwyła rękę Savage'a i pociągnęła go za sobą.

— Ej, dokąd to? — spytał.

— Do kościoła... schowamy się w kościele.

Oczywi cie miała racj . Nie było innego wyj cia, ogie z łazika bowiem z pewno ci by ich dosi gn ! na gołym zbocz góry, zanim zd yliby gdziekolwiek si ukry .

Przed ko ciołem stał przywi zany osioł. Min li go, Rosa otworzyła drzwi i weszli do rodka. Wewn trz było bardzo cicho. W wilgotnym porannym powietrzu czuło si wo wiec. Figura Matki Boskiej z lekko u miechni t twarz zdawała si unosi w mroku nad ołtarzem.

W kolejce do konfesjonału stały trzy osoby: chłopiec, jaki starzec i staruszka w tradycyjnej czarnej chu cie na głowie i zniszczonym ko uchu, chroni cym j przed zimnem. Z zaciekawieniem spojrziała na Ros i Savage'a.

Zerkaj c przez szpar w nie domkni tych drzwiach, kapitan zobaczył, e łazik si zatrzymuje. Ukrai cy wysiedli i rozmawiali, zapalaj c papierosy, a potem wszyscy trzej ruszyli cie k w stron ko cioła.

Zachowywali si bardzo swobodnie, najwyra niej nie spodziewali si adnych kłopotów. Id cy przodem kapral miał pistolet w kaburze na pasie, a dwaj pozostali szmajsery. Savage zdj ł z ramienia M-1, oceniaj c swoje szanse unieszkodliwienia całej trójki, nim zd yliby si zorientowa .

— Kaprala załatwisz, ale tamtych dwóch nie — cicho powiedziała Rosa.

— Wi c co zrobimy?

— Daj mi to. — Wyj ła mu z r ki M-1. — A teraz plecak.

Kiedy jej go podał, Rosa szybko schowała wszystko za konfesjonałem. Dwoje starców i chłopiec patrzyli oboj tnym wzrokiem.

— Przyszli my tu, eby omówi z ksi dzem spraw naszego lubu — powiedziała ci gn c Savage'a w stron ławek, które stały w cieniu za czekaj cymi lud mi. — aden problem, dam sobie rad .

— Jak dawniej?

— Pewnie — odparła. — To przecie m czy ni, prawda? Niemcy, Rosjanie... co za ró nica?

— A ja, do cholery, si nie licz ?!

Savage zdj ł czapk i poło ył j sobie na kolanach. Z prawej kieszeni wyj ł browninga, wsun ł go pod czapk w taki sposób, e Rosa tego nie zauwa yła, i czekał na rozwój wypadków.

W ko ciele panowała cisza, tylko z konfesjonału dobiegały szepty ksi dza i spowiadaj cej si osoby. Otworzyły si drzwi. Słycha było coraz bli szy stukot butów o posadzk .

— No i co my tu mie ? — odezwał si kapral, kalecz c j zyk włoski.

Zatrzymał się przy staruszkach, a pó niej podszedł do Rosy i Savage'a. Patrzył na nich z góry, a tymczasem zbliżyli się pozostali dwaj i stanęli obok niego. Butni, chamscy, wyglądali na zblazowanych.

— Co wy tu robicie? — spytał kapral.

— Czekamy na księdza — odparła Rosa.

— Po co? A, żeby wyzna swoje grzeszki.

Zarechotali obrzydliwie.

— W przyszłym tygodniu bierzemy łub — powiedziała Rosa z przykrym uśmiechem. — Musimy omówić to z księdzem.

— Bierzecie łub, h? — Obszedł ławkę i stanął za Rosą. — Ładna?

— spytał zwracając się do pozostałych dwóch. Wsunął rękę Rosie w dekolot i chwycił ją za lewą pierś. — Dziewica, co?

— Tak.

— Biedni musieli coś z tym zrobić. — Szarpnięciem poderwał ją na nogi, a równocześnie chwycił Savage'a za włosy i odchylił mu głowę do tyłu. — Wiesz, synku, co zrobi ci przysług?

Pociągnął Rosę, która odwróciła się i błagalnie powiedziała do Savage'a:

— Proszę, żadnych awantur. To nic. Sama sobie poradź.

Kapral popychał Rosę, prowadząc ją przez nawy.

— Nie zapomnij o kolegach! — zawołał jeden z Ukraińców, a kiedy kapral się odwrócił szczerząc się z bywalem w miechu, dodał: — Jak go znam, to załatwi ją na ołtarzu.

Drugi Ukrainiec postawił nogę na ławce obok Savage'a i pochylił się nad nim.

— Nie masz nic przeciwko temu, no nie? Przecież on robi ci przysług. Dziś jesteście tak wspaniałomyślni, a właśnie ci wszyscy powinniśmy ci się przysłużyć.

Savage wystrzelił przez czapkę, trafiając go w samo serce. Z takiej odległości nie mógł chybić. Odsunął martwe ciało i skierował lufę w stronę drugiego ołnierza, który gorczkowo zdejmował szmajsęra z ramienia. Druga kula Savage'a uderzyła go w lewe ramię, obracając go dookoła, a trzecia przestrzeliła mu kręgosłup. Ciało ołnierza zawisło na oparciu ławki.

Kiedy Savage się odwrócił, kapral już zasłaniał się Rosą, wyszarpując walthera z kabury. Wcisnął lufę w bok dziewczyny.

— Rzuć to albo ją zabij!

Takie sytuacje należały jednak do głównych punktów programu szkolenia służb specjalnych. Savage uniósł rękę i natychmiast wystrzelił.

Pocisk strzaskał kapralowi czaszkę, odrzucając go na balaski przed ołtarzem.

Savage podbiegł do Rosy i chwycił ją za rękę. Odwróciwszy się zobaczył, że dwoje starszków i chłopiec już umykali w stronę drzwi. Za nimi padała jeszcze jedna starszka, która dopiero co wyszła z konfesjonału wraz z księdzem.

Był to brodaty mężczyzna, czarna okoliczność, ubrany w brązowy habit franciszkanina. Biorąc pod uwagę okoliczności, miał dziwnie spokojną twarz. Bez słowa obejrzał ciała Ukraińców.

— Wszyscy martwi. Kim jesteś cie?

— Szliście do Cierniowej Korony, żeby zobaczyć się z ojcem Giovannim — odparła Rosa. — Ja jestem bratanką Vita Barbery, a to amerykański oficer, kapitan Savage.

— Brat Lucio — przedstawił się franciszkanin.

Savage wydobyl z konfesjonału M-1 i plecak, a potem podbiegł do drzwi.

— Osiadł wci tam stoi.

— To ja na nim przyjechałem — wyjął brat Lucio.

— A co z tymi ludźmi?

— Oni chcą jak najszybciej wrócić do domu i zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Są starzy i zbyt przestraszeni, by chcieli być w to zamieszani. — Franciszkanin odwrócił się i spojrzał na zakrwawione zwłoki. — Musimy jednak coś z tym zrobić.

— O co chodzi? — spytał Savage.

— Jeżeli te ciała zostaną tu znalezione, to Viterbe czekają straszliwe represje. Byłoby znacznie lepiej, gdyby się ich nie znaleziono. Niech mi pan pomoże wynieść je i wsadzić do łazika.

— Ja tymczasem tu posprzątam — powiedziała Rosa.

W zakrystii znalazła jakieś wiadro, napełniła je wodą z pobliskiego źródła, weszła do kościoła i wala nie zabierała się do zmywania krwi z kamiennej posadzki, gdy Savage i brat Lucio wracali po następnego ciała. Kiedy przyszli po kaprala, wycierała balaski tuż przy jego zwłokach.

— Nie boisz się? — spytał Savage.

— Takiej wini? — odparła Rosa i kopnęła trupa.

— Dobrze, ale nie musiała tego robić. Niedługo wrócimy.

Wynieśli ciało kaprala i położyli je na tylnym siedzeniu łazika obok pozostałych zwłok, po czym wsiedli. Samochód prowadził Savage, a franciszkanin pokazywał drogę.

Zjechali z szosy i ruszyli zboczem w dół w stronę miasteczka. Pó niej skręcili w las, podskakując na nierównościach między drzewami. Wreszcie brat Lucio klepnął Savage'a w ramię. Zatrzymali się na szczycie niewielkiego pagórka nad ciemnym stawem o gładkiej powierzchni.

— Tu będzie najlepiej.

Wysiedli i razem zepchnęli samochód, który potoczył się w dół, nabrał szybko cię, rozjeżdżając młode jodły, i z pluskiem wpadł do stawu. Jedno ciało zsunęło się do wody, ale przywalił je łazik z pozostałymi dwoma w rodku, obracając się do góry kołami. Wkrótce wszystko zniknęło.

— W porządku. Idziemy — powiedział Savage.

— Proszę chwileczkę zaczekać, kapitanie.

Brat Lucio złożył ręce i zaczął odmawiać modlitwy za umierających. Nim skończył, mulista powierzchnia stawu była już zupełnie gładka. Franciszkanin przebiegnął się i rzekł:

— A teraz się, emery.

Po piesznym wspięli się po stoku między drzewami i drogę wrócili do kościoła. Rosa czekała na nich przy osiołku.

— Wszystko dokładnie pozmywane? — spytał brat Lucio.

— Oczywiście.

Franciszkanin wsiadł na osiołka, poprawił habit i odjechał. Rosa i Savage ruszyli za nim.

— Dobrze się czujesz?

— No pewnie. — Wyjęła swój starą puszkę po tytoniu, zapaliła papierosa, kilkakrotnie się zacięgnęła, a potem oddała go Savage'owi. — To było niepotrzebne. Poradziłabym sobie.

— Nie! — zaprotestował gwałtownie. — Nigdy już tego nie rób. Rozumiesz?

— Pewnie, rozumiem. Co mi się wydaje, że ty mnie lubisz, Savage.

— Chyba masz rację.

— To dobrze — powiedziała cicho. — Może wieczorem znów sobie trochę poszalejemy.

Szczerze i po uszy zakochany pierwszy raz w życiu, Savage chwycił ją w ramiona i ucałował, a później pobiegli za franciszkaninem.

Maria klęczała przed ołtarzem kaplicy w Cierniowej Koronie i po raz pierwszy od wielu dni spokojnie się modliła, znowu w cichym,

uporządkowanym wiecie, który tak dobrze rozumiała. Luciano i ojciec Giovanni stali w cieniu przy drzwiach.

— S jakie wiadomo ci od don Antonia? — spytał Luciano.

— Ani słowa.

— Mylisz, e jak j potraktuje? — powiedział Luciano, ruchem głowy wskazując Marię.

Staruszek uśmiechnął się blado.

— To bardzo wyjątkowa młoda kobieta. Nie zaszkodziłaby mu odrobina wiary to ci w życiu, ale szczerze mówię ci, moim zdaniem fakt, e Maria jest zakonnice, nie b dzie miał na wielkiego wpływu. To dziwny, uparty człowiek. Bardzo osobliwy. I samotny.

Otworzyły się drzwi, wszedł jakiś młody mnich i co szepnął ojcu Giovanniemu do ucha.

— Wygląda na to, e przyszli twoi przyjaciele — rzekł starzec.

Odwrócił się i zaprowadził Luciana na krużganek. Luciano podszedł do balustrady, spojrzął w dół i zobaczył Savage'a z Rosicami przez dziedziniec.

— Ej, wy tam! — zawołał. — Co was zatrzymało?

Rozdział czternasty

Ojciec Giovanni prowadził Luciana z Savage'em kr tymi kamiennymi schodami do podziemi klasztoru. Przodem szedł młody zakonnik, o wietlaj c drog dwiema latarniami na kiju.

— Na całej Sycylii Cierniowa Korona jest najbardziej znana wła nie z powodu tych podziemi — poinformował ich ojciec Giovanni.

Młody zakonnik wysoko uniósł latarnie i Savage wsz dzie dookoła zobaczył ludzkie ko ci. ebra, miednice, ko ci r k i stóp, piszczele i ko ci udowe były wmurowane w ciany. Na ziemi le ały stosy czaszek.

Najbardziej przera aj co wygl dały martwe ciała. Niektóre pozostawiono w pozycji siedz cej, kilka wisiało na kołkach wbitych w cian . Przewa nie czyste szkielety, ale gdzieniegdzie zachowały si włosy, postrz pione kawałki odzie y, a nawet gałki oczne.

— Có to jest, u licha? — spytał przera ony Savage. — Kim byli ci ludzie?

— Zapewniam pana, kapitanie Savage, e sami najlepsi — odparł ojciec Giovanni. — Od wieków sycylijska arystokracja poczytuje sobie otrzymanie tu miejsca ostatniego spoczynku za wielkie wyró nienie. Bardzo podobne katakumby znajdzie pan w ko cieie kapucy skim pod wezwaniem wi tej Zyty w Palermo.

Savage dostrzegł szcz tki dziecka w postrz pionym aksamitnym ubranku, wisz ce nie opodal na kołku. Wzdrygn ł si i odwrócił.

— Dla Sycylijszyka mier jest bardzo wa na i zawsze obecna — odezwał si Luciano. — S miasteczka, gdzie na Wszystkich wi tych całe rodziny odbywaj pielgrzymki do grobów swoich najbli szych, zabieraj c ze sob ich ulubione potrawy. O północy siadaj wokół

grobow przy wiecach. Do kościołów przynosi się prezenty dla zmarłych.

— A czemu nie? — powiedział ojciec Giovanni. — To nam przypomina, że wszystkich nas czeka taki sam koniec. Jednak nie przyprowadziłem was tutaj, żeby znaleźć odpowiedni scenariusz do wygłaszania kazań. Tędy, panowie.

W krypty zobaczyli stary rzymski tron z czarnego drewna, wmurowany w kamienną ścianę, a na nim jakieś rozpadające się ciało we franciszkańskim habicie, z kapturem nacięniętym na czaszkę.

— *Padre* Leonardo, który był przeorem klasztoru pod koniec ubiegłego stulecia.

Powiedziawszy te słowa, ojciec Giovanni przekroczył wyrzeźbioną w drewnie rękawicę w prawym górnym rogu niszy i pchnął tron, który cofnął się w głąb ściany, odsłaniając wejście do mrocznego tunelu.

— To jeszcze z czasów — rzekł ojciec Giovanni. — Uciekano tędy, kiedy sytuacja stawała się beznadziejna. Wam również może się przydać, więc uznałem, że najrozsądniej uczyni, jeżeli wam go pokażę.

— Proszę ojca, czy Niemcy czy ktoś nacierają was tu w klasztorze? — spytał Savage.

— Czasami. Trzy tygodnie temu był tutaj pułkownik Koenig i jego spadochroniarze. Przetrzęsnęli cały klasztor.

— Szukali kogo?

— Nie. Chyba Koenig chciał po prostu zapoznać się z klasztorami. Dziwny młody człowiek. Niezwykle uprzejmy i przyzwoity, nie jak ci Ukraińcy majora Meyera. Zresztą oni też tu byli.

— A więc wyjście z tego tunelu jest poza murami? — odezwał się Luciano.

— Jakże czterysta metrów stąd, na zboczu góry. Za daleko na moje stare nogi, ale brat Filippo was zaprowadzi. — Zdjął z kija jedną latarnię. — Tymczasem do zobaczenia.

Odwrócił się i pomaszerował z powrotem przez kryptę. Brat Filippo wszedł do tunelu. Savage z wahaniem spojrzął z ukosa na zakapturzonego upiora na drewnianym tronie, jakby się bał koło niego przejść.

— On wyglądał jak pewien szlachciz, którego kiedyś znałem — z humorem powiedział Luciano. — Ale to całkiem inna historia. No, idziemy.

Wpchnął Savage'a do tunelu i obaj ruszyli za bratem Filippem.

Zamroczony Detweiler oparł się o ścianę. Jeszcze nigdy nie był tak wyczerpany, miał wrażeń, a ból go wszystkie miały. W celi panowały przerażające warunki. Mierdziało jak w szambie. Sierant czuł, że słabnie, kręciło mu się w głowie.

Nie miał pojęcia, jak długo już tu jest. Nawet przestał liczyć, ile razy walił się na ziemi, ale kopniaki i uderzenia zmuszały go do wstania. Jedno było pewne, że tylko człowiek może tyle wytrzymać, bez względu na to, czy przeszedł odpowiednie szkolenie, czy nie.

Nagle zgrzytnęły zasłony, otworzyły się drzwi i do celi wpadł snop ołtego światła.

Detweiler myślał sobie pod kocem przysznice, pilnowany przez jednego z Ukraińców. Meyer i Susłow stali w korytarzu, obserwując go przez szybki małego okienka w drzwiach.

— Przed chwilą dostałem wiadomość od Koeniga, że generał Guzzoni zatrzymał go w Palermo — odezwał się Meyer. — Wróci dopiero jutro.

— Ciekawa sytuacja — rzekł Susłow. — Daje nam wiele możliwości, szczególnie jeżeli idzie o naszego przyjaciela, który tam się kłopotuje.

— Właśnie.

Meyer otworzył drzwi i wszedł do rodzaka, a za nim Susłow. Detweiler się odwrócił, instynktownie zasłaniając rękami genitalia.

— Przemyślałem sobie twój spraw — powiedział Meyer. — Postanowiłem cię wypuścić.

— Wypuścić? — głupawo powtórzył Detweiler.

Meyer go zignorował.

— Odda mi ubranie, nakarmi, a potem wyrzuci — powiedział zwracając się do Susłowa i wyszedł.

— Masz cholernie szczęście, przyjacielu — rzekł Susłow. — Gdyby to ode mnie zależało... chociaż... — Skinął głową na strażnika. — Niech się ubierze, a pójdzie zaprowadzić go do kantyny.

Kiedy Susłow wyszedł, strażnik rzucił Detweilerowi rękownik. Sierant szybko się wytarł, a potem włożył na siebie ubranie, które leżało poukładane w kupku na ławce. Wydawało mu się niewiarygodne, że ci dranie uwierzyli w jego bajeczki i go wypuszczą.

W kantynie dostał pełen talerz czegoś w rodzaju spaghetti, czarny chleb, mnóstwo sera i prawdziwą kawę. Znowu czuł się prawie jak człowiek.

Oprócz niego w kantynie był tylko strażnik.

- Najadłże się? — spytał.
- Jasne — odparł Detweiler.
- Dobra. No to idziemy.

Wyszli i ruszyli korytarzem. W pewnym momencie strażnik zatrzymał się i otworzył jakieś drzwi, które prowadziły do pobielonej celi z umocowaną do ściany pryzą przykrytą materacem.

— Poczekaj tu. Zawiadomi porucznika Susłowa, że już jesteście gotowi — rzekł strażnik, podając Detweilerowi papierosa i ogień.

Wychodząc zamknął za sobą drzwi. Uspokojony Detweiler głębszo zaciągnął się papierosem. Teraz pozostawała mu tylko jedna sprawa: nawiązanie kontaktu z Carterem i resztą, ale to nie powinno być trudne, skoro Susłow już nie stoi mu na drodze...

Nagle rozległ się ogłuszający dźwięk. Detweiler spojrzął na elektryczny dzwonek, umieszczony nad drzwiami celi, które w tej samej chwili gwałtownie się otworzyły. Wpadli czterej żołnierze i natychmiast rzucili się na Detweilera.

Bijąc i kopiąc, wyprowadzili go na korytarz, ciągnąc go za nogi po kamiennych schodach, a wreszcie cisnęli w kąt, gdzie leżał, zasłaniając się kamieniami przed uderzeniami pałek. Kiedy w końcu przestali go bić, podniósł przerażony wzrok i zobaczył Meyera z Susłowem.

— Teraz już dobrze wiesz, na czym stoisz — odezwał się Meyer. — Masz mi coś do powiedzenia?

Dia Detweilera, choć niemal stracił przytomność, jedno było oczywiste: jeżeli w jakikolwiek sposób zdradzi swój prawdziwy to samo, to Bóg jeden wie, co z nim zrobi. Wobec tego starał się nie wypaść z roli.

— Błagam, panie majorze, jestem biedakiem — powiedział płaczącym głosem. — Ja nic nie wiem.

Meyer odwrócił się do Susłowa.

— Jest wasz.

Kiedy major odszedł, Susłow skinął na swoich żołnierzy. Postawili Detweilera przy ścianie w rozkroku na czubkach palców. Ktoś wsadził mu na głowę worek z jakimś czarnym materiałem. Ogarnął go całkowity mrok. Jęknął, lekko się poruszył i wtedy poczuł uderzenie pałki w nerki.

Maria oparła się o blanki, spoglądając nad górami w stronę Cammaraty, która wznosiła się w niebo na wysokość niemal dwóch kilometrów. Zbocze doliny pokrywał dywan z kwiatów od wiejących deszczem: czerwonych maków, zawilców i niebieskich irysów.

Po kamiennych stopniach wdrapał się ojciec Giovanni i podszedł do Marii.

— A więc wróciła — powiedział i ruchem głowy wskazał dolinę. — No i co o tym sędzisz?

— Nic się nie zmienia.

Starzec pokiwał głową.

— Tam w górach są jaskinie, w których dwa tysiące lat temu ukrywali się rzymscy niewolnicy. — Usiadł. — Cieszysz się, że jesteś w domu?

— W domu? To nie jest dom, ojczu, przynajmniej dla mnie. Uczysz nas, że nienawidzę to grzech miernoty, a mimo to całym sercem nienawidzę tego miejsca.

— A dziadka?

— Antonio Luca — odparła. — *Capo mafia* na całą Sycylię. Pan życia i śmierci. Czy ktoś pozwala kochać takiego człowieka?

— Moje dziecko — rzekł ojciec Giovanni. — To przecie nie twój dziadek zabił ci matkę. Zabili ją inni ludzie, którzy nastawali na jej życie.

— Ale to przez niego, bo jest tym, czym jest. Jeśli jego bronisz, to bronisz mafii. Jak możesz jej bronić, bracie księdze?

— Nie broni — odparł całkiem spokojnie. — Nikogo nie bronię. Zajmuję się ludzkimi duszami, jak i każe Jezus Chrystus w ewangelii.

Nim Maria zdała odpowiedź, otworzyła się brama i Carter z Barberem wjechali na mułach na dziedziniec.

— O ile nam wiadomo, Detweiler został aresztowany i przewieziony do koszar w Agrigento — powiedział Barbera.

— Jak go złapali? — spytał Savage.

— Zdradził go konfident. Zajmiemy się nim.

Usiedli przy stole w refektarzu, gdzie spożywano posiłki; z jednej strony Savage, Rosa i Barbera, z drugiej Luciano, Carter i Maria, a na honorowym miejscu ojciec Giovanni. Zakonnik nalał sobie czerwonego wina do szklanki i podał butelkę Lucianowi.

— Nawet jeśli major Meyer nie wie, kim naprawdę jest sierżant Detweiler, to obawiam się, że mimo wszystko potraktuje go do brutalnie — powiedział i zwrócił się do Savage'a: — Czy on pańskim zdaniem, kapitanie, jest człowiekiem wytrzymałym?

— O, bardzo twardym — odparł Savage. — Kiedy, w czasie wypadu komandosów na francuskie wybrzeże, z kul w nodze przeszedł trzydzieci kilometrów do miejsca, w którym się umówiliśmy.

— Wiem, że ludzie przędzą czy pójdą na złama — odezwał się Barbera. — Wystarczy, że Detweiler raz otworzy usta, i zaczniemy nas szukać.

— To znaczy, że musimy jak najszybciej zobaczyć się z Luk — stwierdził Carter.

Wszedł brat Filippo z gołębiami w rękach. Głaskał go uspokajająco, a tymczasem ojciec Giovanni odwrócił się i przytrzymał do nosa kapsułek. Otworzywszy ją paznokciem, wyjął niewielki zwitek papieru, przeczytał, co tam było napisane, i z uśmiechem podniósł głowę.

— Rano, moi przyjaciele. Zobaczycie się z nim rano.

Członkowie komitetu okręgowego, w którym miejsca po Morim i Russie zajęli dwaj nowi ludzie, czekali w pokoju za zakładem pogrzebowym, kiedy wszedł Barbera z Carterem i Lucianem. Barbera dokonał prezentacji.

— Ojciec Collura, jak wiesz, Harry, reprezentuje chrześcijańskich demokratów, a Mario Verga, właściciel gospody, ruch separatystyczny.

— Miło mi znów panów widzieć — powiedział Carter i odwrócił się do dwóch pozostałych mężczyzn. — A ci panowie?

— To Zizzo i Valachi z partii komunistycznej — odparł Barbera. — Nastąpią w niej pewne zmiany.

— Wypchaj się tymi pięknymi słówkami, Barbera — powiedział Zizzo, niski ciemnowłosy mężczyzna, ubrany w sztruksowy garnitur i getry. — Pietro Mori został zamordowany we własnym domu, a Ettore Russo, nasz przywódca, zniknął z powierzchni ziemi. To bezpodstępny atak na cały ruch komunistyczny, a my wiemy, kto za to odpowiada.

— Niedobrze robi mi się od tego — odezwał się Carter. — Mam was wszystkich do siebie. Minęły już prawie dwa lata od czasu, gdy po raz pierwszy zrzucano mnie na Sycylię, a wy ani trochę się nie zmienili. Ci i wciśnięci postępujcie jak mali chłopcy, którzy w drodze ze szkoły do domu obrzucają się kamieniami bez istotnego powodu. Nie obchodzi mnie, kto po wojnie zbędzie Sycylię. Załatwajcie to między sobą. W tej chwili nie chodzi o to, czy chcecie się pozbyć Mussoliniego i partii faszystowskiej, ale czy chcecie się pozbyć Niemców.

Ojciec Collura uśmiechnął się łagodnie.

— Zgadza się z pułkownikiem Carterem. Najpierw pozbadamy się naszych wrogów. Później, kiedy Sycylia znów będzie wolna, omówimy nasz przyszły układ między sobą w sposób demokratyczny.

Obaj komuniści zareagowali złością.

— Piękne słowa, które nic nie znaczą — powiedział Valachi.

— Niby dlaczego mamy słuchać Cartera? Czy on jest jednym z nas? Nie. To obcy i występuje tylko w interesie swojego własnego narodu. Anglików i Amerykanów nie obchodzi Sycylia ani jej ludzie. Jesteśmy po prostu pionkami w rękach imperialistów.

Carter był zmęczony. Znowu dokuczało mu płuco. Odczuwał ból przy oddychaniu. Poza tym miał już tego wszystkiego dosyć. Mógłby to być głębsze spiskowanie, wzajemna nienawiść, wendety. Pełen obrzydzenia chciał już zrezygnować i odejść, gdy nagle podszedł do niego Luciano.

— Dlaczego macie go słuchać? Powiem wam, barany. — Jednym błyskawicznym ruchem podciągnął Carterowi koszulę, odsłaniając wieńce blizny po ranach na klatce piersiowej. — Profesor się nie oszczędzał. Przed dwoma miesiącami z kulą w płucu wywieziono go do trumny. Czy nie skróciło mu to życia? Jak mylicie, po co tu wrócił? Dla zdrowia?

— Na próżno pan to mówi, przyjacielu. Tych słów nikt nie słyszy — powiedział Carter i wyszedł.

Zapadła krępująca cisza.

— A co pan, u licha, ma z tym wspólnego? — wyrwał się Zizzo i spytał Barberę: — Co to za facet?

Luciano powoli zapalał papierosa.

— Interesujące pytanie — rzekł. — Dla kogoś, który mnie chrzczył, jestem Salvatore Lucania, ale dla większości ludzi po prostu Luciano. — Uśmiechnął się złowieszczo. — „Szczyt” Luciano. Chcecie, abym wam powiedział, dlaczego tak mnie nazywają?

Zizzo i Valachi skurczyli się z przerażenia.

— Proszę, don Salvatore — po piesznie interweniował ojciec Collura. — Jestem pewien, że nikt nie miał zamiaru cię obrazić.

Na ścianie po drugiej stronie pokoju wisiał malowany na desce obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Luciano wyjął z kieszeni rękawicy, w której trzymał madonnę z kołosa słońcowej. Rozległ się trzask otwieranego noża. Luciano zamachnął się i ostrze utkwilo w ikonie.

— Widzisz, ojcze, nó w sercu Matki Boskiej. My, Sycylijczycy, wiemy, co to znaczy.

Ze strachu nikt si nie odzywał. Luciano całkowicie panował nad sytuacją.

— Karty na stół. Chod cie ze mn . Wszyscy.

Skin ł na Barber , który zaprowadził ich przez zakład pogrzebowy do sali, gdzie przygotowuje si zwłoki. Le ały tam obok siebie dwa ciała przykryte prze cieradłami. Barbera odrzucił jedno prze cieradło i wszyscy zobaczyli szczupłe, ascetyczne rysy Pietra Moriego. Miał ju umalowan twarz, wargi pokrywała karminowa szminka.

— A tutaj... — rzekł Barbera, odsłaniaj c Ettorego Russa.

— Ogromnie ryzykuj c przybyli my, by pomóc sprawie — powiedział Luciano — ale ci dwaj wykorzystali t okazj do jakich osobistych rozgrywek z mafi . Russo był narz dzie. On i ten omamiony chłopak, który był razem z nim, zapłacili najwy sz cen , lecz za tym wszystkim stał Mori. Popęłnił najwi kszy bł d w swoim yciu nie dlatego, e napadł na mnie, ale poniewa naraził na niebezpiecze stwo wnuczk don Antonia Luki, która w tym czasie wraz ze mn przebywała w willi.

— Matko wi ta! — szepn ł Zizzo.

— Prosz , don Salvatore — odezwał si Valachi, który ju zd ył zdj czapk . — To to ha ba i my nigdy nie mieli my takiego zamiaru, mo e nam pan wierzy . — Zwrócił si do Barbera: — Vito, ty z pewno ci zdołasz wyja ni naszemu drogiemu don Antoniowi, e my nie mieli my z tym nic wspólnego.

— Oczywi cie — rzekł Barbera — chocia w oczach don Antonia czyny znacz wi cej ni słowa. Je li komitet okr gowy b dzie mówił jednym głosem, je eli w czasie zbli aj cej si inwazji razem wyst pimy przeciwko wspólnemu wrogowi, to don Antonio uzna ten fakt za oznak waszej dobrej woli i szczerych intencji.

— Rozumie si — skwapliwie o wiadczył Zizzo. — Na partii komunistycznej mo na polega .

— Polityka polityk , ale przede wszystkim jeste my Sycylijczykami — stwierdził Valachi.

Luciano podszedł do okna i zapalił nast pnego papierosa.

— Wkrótce zacznie si inwazja, i to bardzo niedługo — powiedział Barbera. — Przygotujcie pod swoj komend waszych ludzi z wszelkiego rodzaju broni . We wła ciwym czasie otrzymacie rozkazy od pułkownika Cartera. Jasne?

— Tak — odparł Zizzo.
— Oczywiście moście liczy na współpracę partii chrześcijańsko-demokratycznej — wtrącił ojciec Collura.
— Teraz wszystko gra? — spytał odwracając się Luciano.
Barbera skinął głową.
— Na to wygląda.
— Dobrze. Na razie wzajemnie się rozumiemy.
Luciano stał w wyciekającej pozycji, z lewą dłoń na biodrze i odrzuconą w tył głową. Szurał cicho nogami, Zizzo i Valachi kolejno zbliżyli się do niego i pocałowali go w rękę.

Savage nie mógł zasnąć. Leżeli oboje ciśnień w wiskim łóżku, gdzie nie było zbyt wiele miejsca. Rosa miała na sobie tylko swój stary dzienny koszul, która poddała się jej pod szyję, tak że Savage czuł dotyk gorących nagich piersi. Właśnie nie dziewczyna wyglądała nie tyle młodo, co bezbroniście.

To, że tak leżała, obejmując jego ramieniem, wydawało mu się najnormalniejsze w świecie. Wolno ręką jako zdołał włączyć lampę, zapalił papierosa i sięgnął po wystrzelony tomik, leżący na nocnej szafce. Była to antologia poezji, którą dostał w prezencie od dziadka na trzynaste urodziny. Choć czytał ją mnóstwo razy, ciagle do niej wracał.

Rosa poruszyła się i otworzyła oczy.

— Co robisz? — spytała sennym głosem.

— Czytam.

— Co?

— Wiersze.

Polizała go w ucho, przesunęła dłoń po brzuchu i chwyciła za członka.

— Wolisz te wiersze niż mnie?

— Nie można porównywać tych dwóch spraw.

— A więc to tak mnie kochasz? — powiedziała nad sana.

— Czasami poezja może lepiej ode mnie wyrazić, jak bardzo ci kocham.

— Nie wierz. Przeczytaj mi ten wiersz.

— Nie musisz czytać, bo znam go na pamięć. Dawno temu napisał go pewien bardzo wielki Anglik, sir Walter Raleigh. Był niezwykle wszechstronnym człowiekiem. Prawdziwy d entelmen, a przy tym wietny ołnierz, muzyk, pisarz i poeta.

— Co si z nim stało?
— Uci to mu głow . Król zrobił to z zazdro ci.
— A ten wiersz? Co z tym wierszem?
Zacz ł recytowa po angielsku, cicho i spokojnie:

*Lecz prawdziwa miło wła nie
Jest jak wieczny ogie ,
Co stałe w duszy płonie
I nigdy nie ga nie.*

Rosa niewiele mogła zrozumie , ale on mówił to tak sugestywnie, e rozplakała si gorzko i ało nie, jakby opłakiwała utracon niewinno i swój dotychczasowy los. Savage w jaki dziwny sposób doskonale wyczuł, co si z ni dzieje.

Mocno j przytulił, my l c o Bostonie, swojej matce, całej rodzinie Savage'ow i o Rosie. Ni st d, ni zow d wypełniła go nagle jaka rado . Pomy lał, e je eli im si tam nie spodoba, to zawsze b d mieli siebie. Rosa ponownie zasn ła, a on trzymał j w ramionach, wsłuchuj c si w padaj cy za otwartym oknem deszcz.

W kryjówce za magazynem trumien Barbera siedział przy radio-stacji, a Carter z Lucianem pili kaw i czekali. Wreszcie Barbera zdj ł słuchawki i odwrócił si z min zdradzaj c podniecenie.

— Pojutrze l duj — rzekł.

Carter wstał i zacz ł nerwowo chodzi po niewielkim pomieszczeniu.

— Niewiele czasu nam zostało.

— Daj spokój, Harry — powiedział Luciano. — Jutro zobaczymy si z Luk . Wystarczy jedno spotkanie, po którym on zawiadomi cał zachodni Sycyli , a ile to mo e potrwa ? Zaledwie par godzin.

Barbera wyj ł z kredensu butelk i trzy kieliszki. Szybko je napełnił.

— My l , e nale ałoby to obla . — Odwrócił si i pokr cił gałk radia. — Zobaczymy, co Anglicy nadaj z Kairu.

Z gło nika popłyn ła muzyka. Jaki dziwnie zniewalaj cy m ski głos piewał co o nocy.

— Podoba mi si — rzekł Luciano. — Kto to?

— Al Bowlly — odparł Carter. — Mam do niego słabo . Nie wspominałem wam, e całkiem nie le gram jazz na fortepianie? On był angielskim wokalist urodzonym w Afryce Południowej. Od lat numer

jeden na listach szlagierów. Zginął w czterdziestym pierwszym. A to jest „Moonlight on the Highway”, chyba jego najlepsze wykonanie. Nagrane w marcu trzydziestego ósmego z orkiestrą Lew Stone'a. Natrętna melodia wypełniła pokój.

— I taki los go spotkał — odezwał się Luciano.

— Na własne życzenie. Pewnego razu siedział przy Brewer Street, gdy spadła bomba, ale jemu nic się nie stało. Od tego czasu wierzył w swoje szczęście i kiedy którejś nocy syreny ogłosiły nalot, wszyscy zeszli do schronu, a on został w łóżku.

— I zapłacił za to życiem — wtrącił Barbera.

— Właśnie, ale skończmy z tymi okropnościami — powiedział Carter. Uśmiechnął się. — Wzniesmy toast, panowie. Za co wypijemy?

— Jak to za co? Za nas trzech — odparł Luciano z uśmiechem. — I za szczęście Luciana, żeby go nie opuszczało.

Rozdział pi tnasty

Nast pnego dnia, tu po dziewi tej rano, wyjechali star ci arówk Vita. Maria siedziała z przodu obok Barbery, a Luciano, Carter i Savage z tyłu.

Przestało pada i ju zapowiadał si upalny dzie . Samochód wspinał si pokryt pyłem drog , mijaj c stare rozpadaj ce si miasteczka, w których domy były przewa nie bez okien, a drzwi prowadziły do ciemnych pomieszcze , gdzie ludzie najcz ciej mieszkali razem z ywym inwentarzem.

— Co za cholerny kraj — odezwał si Luciano. — W tysi c dziewi set siódmym moja rodzina wyjechała do Ameryki, eby od tego uciec, a przez te trzydzie ci sze lat nic tutaj si nie zmieniło.

— Czy wschodnie dzielnice Nowego Jorku wygl dały wtedy lepiej? — spytał Carter.

Min li długi szereg wychudzonych kobiet, ubranych na czarno jakby na znak ałoby z powodu swojej codziennej marnej egzystencji. D wigaj c kosze na głowach, z trudem szły pod gór strom drog .

— Profesorze — powiedział Luciano z gł bokim przekonaniem — wszystko byłoby lepsze ni to, nawet dno piekła.

Po półtoragodzinnej podró y dotarli do małego zrujnowanego miasteczka. Barbera zatrzymał samochód przed winiarni . Kiedy wysiadł, w wej ciu do winiarni ukazał si niski, gruby m czyzna, który wycierał r ce w brudny biały fartuch.

— Ej, Rafaelu! — krzykn ł Vito. — Jak leci?

— wietnie... Ju wszystko dla was przygotowałem. Zostaw ci arówk tutaj. Potem si ni zajm .

— Dobrze. Wszyscy wysiada ! — zawołał Barbera i ruszył za Rafaelem.

Na tyłach winiarni w niewielkiej zagrodzie stało sze osiodłanych mułów. Jaki ciemnowłosy mężczyzna z dubeltówką na plecach opierał się o parkan.

— To Nino. On was zaprowadzi. Tylko dwie godziny jazdy po górach i będziecie na miejscu.

— Ty zawsze o wszystkim myślisz, prawda, profesorze? — powiedział Luciano, zwracając się do Cartera.

— Lepiej jechać niż siedzieć — odparł Carter.

Luciano podszedł do Marii i pomógł jej wsiąść na pierwszego muła. Usiadła w drewnianej kulbace po damsku.

— Obawiasz się spotkania z dziadkiem? — spytał poprawiając jej strzemię.

— A powinnam?

Zadał to pytanie, kierując się szczerą troską, a jej odpowiedź go rozdzierała.

— Co z tobą? Co się stało z twoją chrześciją skąd cię zbliżę? Pozbyła się jej, zdejmując habit?

Nino, młody poganiacz mułów, wcale nie podawał jej batów i w nagłym odruchu uniósł go, jakby chciał uderzyć Luciana w twarz.

— Nareszcie się zdradziła — mruknął Luciano. — Teraz wiem, że w twoich żyłach płynie krew Luki.

— Niech cię diabli! — syknęła.

— Ostre słowa — rzekł. — Powinna odmówić trzy zdrowa kiełbaski i dwa ojczenaszki.

Smagnęła muła batem po zadzie i odjechała krótkim galopem.

Detweiler prawie nie zdawał sobie sprawy, co się z nim dzieje. Ból w plecach i ramionach już nie był tak straszny po przekroczeniu pewnego progu, ale Ukraińcy co chwila kolejno uderzali pałkami w wiadro, które wsadzili mu na głowę. Susłow poznał ten metod w czasie swojej krótkiej służby w Owiżimiu. Takie nieustanne dudnienie po kilku godzinach zwykle doprowadzało ofiarę do obłędu.

Detweiler przestał panować nad parą chery i miał spodnie przesiaknięte moczem. Susłow stał i wszystko obserwował.

— Opłuczcie go wodą z wina i wrzucie do celi — powiedział spokojnie. — Zajm się nim, kiedy coś zjem.

Łowcy chwycili Detweilera z dwóch stron i zaczęli cięgnąć go nogami po ziemi. Susłow ruszył za nimi.

Maria skierowała muła przez strumień w las za Ninem. Kiedy zaczęła wjeżdżać na zbocze po drugiej stronie, dogonił ją Luciano. Teraz jechali obok siebie między drzewami korkowymi i skalnymi dębami. W górze, na grani, rosło kilka pinii.

— Postanowiłem ci wybaczyć — rzekł Luciano.

Uśmiechnęła się wbrew własnej woli.

— Jest pan bezczelny jak diabeł, panie Luciano.

— O, wiele rzeczy można powiedzieć o diable. Jest przecież upadłym aniołem.

— Kwestia sporna.

— To prawda, ale jeżeli wierzy Biblii, to należy się z tym liczyć. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że by może ludzie zwracają się ku Bogu, kiedy z diabła nie mają już żadnego pożytku?

— Nie — odparła ze złością. — Nie mogę się z tym zgodzić. Nigdy bym się z tym nie zgodziła.

Wjechali między pinie. Na grani Nino cięgnął wodze. W dole na zboczu zobaczyli stary, chłopski dom, stojący wśród drzew oliwkowych. Jakiś człowiek siedział przy stole na tarasie. Kiedy Nino gwizdnął, mężczyzna wstał i spojrzał w ich stronę. Był wysoki, barczysty, miał siwe włosy.

— Don Antonio — rzekł chłopak.

Luciano myślał, że Maria coś powie, ale ona się nie odezwała. Ze spokojną twarzą przez chwilę po prostu siedziała bez ruchu, a potem nagle spięła muła i ruszyła w dół.

Luciano odwrócił się do Cartera i Savage'a, którzy stali za nim.

— Profesorze, czy wiesz, dziękuję ciemu Luciano przeżył tyle lat? — spytał.

— Nie, ale jestem pewien, że mi powiesz — odparł Carter.

— To proste. — Luciano poklepał się po brzuchu. — Nigdy nie mylił mnie przecucie.

— A co ci ono teraz mówi?

— To strata czasu. Można się bezpiecznie założyć, że ten stary jastrząb nie ma zamiaru wejść do gry.

W Palermo generał Guzzoni odbywał naradę ze swoimi oficerami sztabowymi, gdy Koenig zapukał do drzwi i wszedł.

— A, jest pan — powiedział generał. — Prognoza pogody nie mogłaby być gorsza, ale samoloty zwiadowcze zlokalizowały duże grupy okrętów alianckich na południe od Pantellerii.

— Czy to ten pozorowany atak, którego spodziewał się wywiad? — spytał Koenig.

— Tak to wygląda. Należy oczekiwać, że główne siły ruszą na Sycylię. — Skinął głową w stronę włoskich oficerów sztabowych. — Tymczasem to wszystko, panowie. Poproszę panów, jeżeli będziecie mi potrzebni.

Kiedy wyszedł ostatni oficer, generał począł stawać Koeniga papierosem i nalewał koniaku do dwóch kieliszków.

— Nagle znowu mamy do czynienia ze wzrostem działalności lotnictwa alianckich. W ciągu ostatniej doby dwukrotnie bombardowano Messynę. Celem były porty i bazy lotnicze. To się nie podoba ani mnie, ani marszałkowi Kesselringowi. Dopiero co dzwoniłem do Rzymu i rozmawiałem z nim.

— Rozumiem, panie generale — ostro powiedział Koenig.

— Marszałek właściwie nigdy nie dał się do końca przekonać, że Sycylia będzie głównym celem, a Sycylia tylko pozorowanym. No i jeszcze ta pogoda.

— Muszę przyznać, że sam się nad tym zastanawiałem. Dziwne, że wybrali sobie taką pogodę.

— Prognoza na jutro jest okropna i taka sama na pojutrze. Sztormy, silne wiatry, deszcz. Jedynym powodem, dla którego wyruszyli w taką pogodę, może być to, że nikt by się tego nie spodziewał.

— Po co zadawać sobie tyle trudu, panie generale, skoro atak na Sycylię ma być tylko pozorowany?

— Właśnie.

Koenig w zamyśleniu czył koniak.

— Jeżeli nie pozoruj... — rzekł. — Jeżeli to jest prawdziwy atak, to wybór takiej pogody byłby całkowicie uzasadniony.

Guzzoni odstawił kieliszek.

— Po południu wraca pan do Agrigento? — spytał.

— Tak, panie generale.

— Chyba pojedź z panem. Sam zobacz, jak wygląda sytuacja na wybrzeżu.

Luca siedział przy stole na tarasie, wsparty na lasce. Niew tpliwie wygl dał jak król. Nie odrywał c oczu od Marii czekał, a wszyscy zsi d z mułów i wejd po stopniach na taras. Katerina, która stała za nim z dło mi spoczywał cymi na jego ramionach, czuła, e lekko dr ał.

Barbera pocałował go w r k .

— Don Antonio, to pułkownik Carter i kapitan Savage, ameryka - ski oficer, a to, jak ju wam wiadomo, don Antonio.

Luca całkowicie ich zignorował.

— Zostawcie nas — powiedział chrapliwie. — Wszyscy. Katerino, nakarm ich.

Katerina zacisn ła dłonie na jego ramionach, a potem u miechn ła si do go ci.

— Panowie, prosz t dy.

Carter si nie kwapił, lecz Barbera poci gn ł go za r kaw i weszli do rodka za Katerin .

Bardzo zm czona Maria stała ze splecionymi dło mi. Jej czarn sukienk pokrywał kurz. Zsun ła chust z głowy i palcami przeczesła krótko przyci te włosy.

— A wi c to prawda — odezwał si Luca. — Jeste zakonnic .

— Ju od czterech lat.

— W drujesz po górach jak zbł kana dusza i odbierasz poród dziecka, które według wszelkich praw natury powinno umrze . Dla Solazza i jego przyjaciół ju jeste wi t .

— Czy istnieje co , czego by nie wiedział?

— W tych górach nie — odparł zdecydowanie.

Na stole stał dzbanek z lemoniad . Maria pocz stowała si ni i usiadła.

— Nic si nie zmieniło. Antonio Luca w dalszym ci gu jest panem ycia i mierci na Sycylii.

— Nale do stowarzyszenia — odpowiedział. — Nie wstydz si tego. To mafia dała mi moj pozycj .

— I zabiła mi matk .

— Tamtego dnia celem byłem ja. Ci, którzy to zrobili, ju zapłacili rachunek.

— Czy to przywróci jej ycie?

Luca siedział nachmurzony, trzymaj c dłonie na r czce laski.

— Jak na słu ebnic Boga, jeste wyj tkowo pozbawiona lito ci. Ja wiem, kim jestem, ale kim ty jeste , Mario? Ubran na biało

zakonnica, która obsługuje chorych w szpitalu albo klaczy przy wiecach, modli się do Matki Boskiej o zbawienie duszy Antonia Luki?

Maria zbladła. Tak mocno zacisnęła ręce na oparciach krzesła, że zbieleły jej kostki.

— A może modlisz się do diabła — powiedział cicho — żeby zabrał mnie prosto do piekła?

Zerwała się na równe nogi, przewracając dzbanek z lemoniady, i wybiegła do ogrodu. Z otwartego okna weneckiego wyszła Katerina i zbliżyła się do Antonia.

— Jesteś z tego zadowolony? Czujesz się szczęśliwy?

— Nie — odparł Luca. — Ale przecie nigdy tego nie oczekiwałem.

Zszedł po stopniach i ruszył cięka, która w końcu doprowadziła go do jednego z tarasów nad doliną, gdzie rosły drzewa oliwkowe. Maria siedziała na kamiennym murku.

Usiadł obok niej i wyjął z kieszeni cygaro.

— Pamiętasz letni dom w Trevese? To były czasy. Ile miałaś lat, kiedy kupiłem ci pierwszego kucyka? Dziewięć?

— W dwóch miejscach złamałam sobie rękę, gdy próbowałam na nim przeskoczyć murek ogrodzenia.

— I musieliśmy zastrzelić tego kucyka. — Westchnął. — Życie zmierza ku miernocie. Taki to już ludzki los. — Na chwilę umilkł, a potem spytał: — Czy jako zakonnica jesteś szczęśliwa?

— Bardzo. Jestem dyplomowaną pielęgniarką i większość czasu spędzam w szpitalach.

— Dziwne takie życie — stwierdził. — Na przykład celibat. Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć.

Roze miała się, nie mogła się powstrzymać.

— Żubowanie czysto ci jest dobrowolną umową z Bogiem. Rezygnacja z życia płciowego nie oznacza, że w ogóle go nie pragniesz. Jesteśmy istotami ludzkimi z krwi i kości, jak inni.

— Rzeczywiście, skoro jesteś moją wnuczką. A więc nasz ród wygina się. Kiedy ja umrę, już nigdy więcej nie będzie żadnego Luki.

— Na to wygląda.

I wówczas Luca wszystko zrozumiał albo tak mu się wydawało.

— Więc to tak? Zrobiłaś to umyślnie? Odciniłaś dopływ krwi do niej?

— Bo ja wiem? Może? — Była zakłopotana i starała się to ukryć. — A ta kobieta?

— Katerina? O co ci chodzi?

— Jest twój on ?

— Nie.

Znów zapadło nieprzyjemne milczenie.

— Wyrzu to z siebie, cokolwiek chciała powiedzieć . Przecie nie wybrała si w tak drog z miło ci do dziadka.

Maria zło yła dłonie na podołku.

— To proste. Wkrótce rozpocznie si inwazja i Amerykanie potrzebuj twojej pomocy. Wystarczy, e powiesz jedno słowo, a cała Sycylia...

— Nie. Nie zrobi tego.

— Bo nienawidzisz Amerykanów?

— Nie zrobi tego, bo t y mnie o to prosisz. — Wstał. — Nawet Chrystus kiedy przestał nosi krzy .

Odwrócił si i ruszył z powrotem mi dzy drzewami oliwkowymi.

Meyer pracował w swoim gabinecie nad jakimi dokumentami, gdy rozległo si pukanie do drzwi i wszedł Susłow.

— Co jest? — Spytał major niecierpliwie. — Jestem zaj ty.

— Doszło do paru ciekawych wydarze w zwi zku ze spraw , któr obecnie prowadzimy — powiedział Susłow. — Pomy lałem sobie, e mogłoby to pana zainteresowa .

— Słucham — rzekł Meyer, odchylaj c si do tyłu.

— No wi c tego starego łajdaka, który go nam sprzedał, znaleziono dzi rano na kupie gnoju.

— Martwego?

— I z obci tym j zykiem.

— To tradycyjny sposób, w jaki mafia załatwia konfidentów.

— Poza tym jeden z patroli znalazł spadochron zaczepiony na drzewie jakie półtora kilometra od gospodarstwa, gdzie wczoraj nakryli my naszego przyjaciela.

— Spadochron towarowy?

Susłow przecz co pokr cił głow .

— Nie, całkiem inny. Angielski. Takich u ywaj spadochroniarze.

Meyerowi zabłyśły oczy.

— To mo e by bardzo wa ne, Susłow. Trzeba tamtego zmusi do mówienia. Koniecznie.

— Co pan major proponuje?

— Jeszcze raz zastosujcie swoje metody, a jeżeli nic z tego nie wyjdzie, wtedy spróbujemy skopolaminy.

— Doskonale. — Susłow odwrócił się i otworzył drzwi. — Aha, jeszcze coś. Jeden z naszych patroli już dawno powinien wrócić.

— Z tego samego rejonu?

— Tak.

Meyer pokiwał głową.

— A więc bierzcie się do roboty. Wygląda na to, że na wiele pytań trzeba znaleźć odpowiedzi, a nasz przyjaciel może je znać.

Luca siedział przy stole na tarasie, pijąc Zibibbo, a nie owe wino z wyspy Pantellerii, które szczególnie sobie upodobał. Carter i Luciano siedzieli naprzeciwko niego, a Savage obserwował ich z drugiego końca tarasu.

— Inwazja rozpocznie się jutro albo pojutrze, w zależności od pogody — powiedział Carter. — Nie robi z tego tajemnicy. Ufam, że jest pan człowiekiem honoru.

— Pułkowniku, szanuj pana jako żołnierza i uczonego, ale jest pan marnym dyplomatą.

— Don Antonio, wystarczy jedno pańskie słowo, a cała Cammarata powstanie jak jeden mąż. Istnieją duże szanse, że wikszość wojsk włoskich w górach podda się bez wystrzału. To odważni żołnierze, ale mają do Mussoliniego.

— Nie interesuję mnie Włochy, tylko Sycylia.

— Wić niech pan nam pomoże wyrzucić Niemców.

— Pułkowniku... profesorze... kimkolwiek pan jest, faszyści przegrali wojnę. Przegrali ją już w tysiąc dziewięćset czterdziestym, kiedy pozwolili Anglikom uciec z Dunkierki. Nam wystarczy usiść i poczekać.

— I patrzę, jak niepotrzebnie giną tysiące młodych Amerykanów przebijających się przez Cammaratę?

— To nie moja sprawa.

— Dlatego, że posłali pańskiego brata na krzesło elektryczne? Czy wszyscy Amerykanie muszą za to cierpieć?

— Podaj mu liczbę — wtrącił Luciano, zwracając się do Cartera.

— Moje rozkazy tego nie przewidują — odparł Carter z wahaniem.

— Pieprz te swoje rozkazy. Powiedz mu.

Przez chwilę Carter milczał, a później pochylił się do przodu.

— Don Antonio — rzekł cicho — w pierwszym uderzeniu we mnie udział prawie trzy tysiące okrętów i łodzi desantowych. Przewiez sto osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy, czterdzieści tysięcy samochodów i ciarówek, sześć tysięcy czołgów i tysiąc osiemset dział różnego kalibru. Jeśli uda im się wylądować i szybko opanować wyspę, następnym etapem będzie Włochy. Czego więc teraz pragną Sycylijczycy i Włosi, jeśli nie pozbycia się plagi Niemców, których muszą karmić kosztem swoich dzieci? I SS, które wszędzie się kręcą i mówią Sycylijczykom, co im wolno robić, a czego nie?

Luciano uniósł rękę.

— Słyszałem te liczby, don Antonio? Taka armia, która dla nas walczy, nie może działać bez nas.

Luca pokręcił głową, zaciskał usta w grymasie zniecierpliwienia. Wstał i wszedł do domu.

— Tracisz czas, majorze — powiedział Luciano, podnosząc się z krzesła. — Idź na spacer.

Szybkim krokiem pomaszerował przez ogród i natknął się na wracającą Marię.

— Co się dzieje? — spytała.

— Carter bije głowę w mur, który nazywa się Antonio Luca.

— Dziadek nie chce pomóc?

— Nie chce kiwnąć nawet małym palcem. Najwyraźniej ty też niczego nie zdziałasz.

— A niby dlaczego ja miałabym coś zdziałać? — W jej głosie wyczuwało się jakieś dziwne rozgoryczenie. — Przyjechałam tu tylko z jednego powodu, i na pewno nie z miłości. Co za głupota, jeśli człowiek się zastanowi. Tyle lat go unikałam, absolutnie jasno daję ci mu do zrozumienia, jakie uczucia do niego żywi. A teraz zjawiam się w takich okolicznościach i mam oczekiwać, że wystarczy mi tylko pstryknąć palcami, a on przybiegnie do mnie jak pies.

Z opuszczoną głową odeszła między drzewami w stronę domu. Luciano odwrócił się i ruszył stokiem w dół.

Tu po dwunastej w południe Ukraińcy zacięli Detweilera na placu za koszarami policji. Na środku stały tam dwa słupy. Do jednego z nich przywiązany był chudy mężczyzna o wymizerowanej twarzy. Miał podarte ubranie i łady po straszliwym biciu, co Detweiler zauważył, gdy jego samego przywiązano do drugiego słupa.

— Dobra, to byłoby wszystko — powiedział Susłow. — Nie b dzie ostatniego papierosa. Nie ma ich zbyt wiele.

Nim jeden z Ukrai ców zało ył Detweilerowi czarny worek na głow , sier ant spostrzegł pluton egzekucyjny, stoj cy po drugiej stronie placu, lecz umysł miał tak ot piał, a w ustach tak mu zaschło, e nie mógł wydoby z siebie głosu. Oczekiwanie zdawało si ci gn w niesko czono . Nagle padła komenda i gruchn ła salwa.

Detweiler nawet nie zd ył przygotowa si na mier , po prostu zwisał na pasach, którymi przywi zano go do słupa. Usłyszał zbli aj ce si kroki; kto zerwał mu worek z głowy.

— Widz , e ci gle jeste z nami — powiedział Susłow.

Detweiler spojrział w bok i zobaczył, e ten drugi, zalany krwi , wisi z głow opadni t na jedn stron .

— Zawsze lubi mie pewno — odezwał si Susłow.

Wyj ł z kieszeni walthera i z bliska dwukrotnie wystrzelił. Rozprysły si kawałki ko ci z krwi , ciało zwisło bezwładnie. Detweiler krzykn ł. Susłow skin ł na ołnierzy.

— Zabra go.

Detweiler był półprzytomny, kiedy wprowadzili go po schodach na gór . Rzucili go na krzesło. Otworzył oczy i zobaczył, e jest w gabinecie Meyera.

Major wyszedł zza biurka.

— Ci gle nic nie mówisz. No có , zaraz ci z tego wyleczymy. — Uniósł strzykawk . — Skopolamina, inaczej zwana lekiem prawdy.

Sier ant próbował si broni , ale Susłow i stra nicy mocno go trzymali, kiedy Meyer podwin ł mu r kaw.

Na tarasach, gdzie rosły drzewa oliwkowe, było bardzo gor co i cicho. Zanosilo si na burz . Luciano wyj ł tali kart znalezion w domu Antonia i sze z nich wetkn ł rz dem w szczelin w du ym głazie. Odszedł na pewn odległo .

Niegdy w ci gu jednej sekundy potrafił wyci gn bro , odwróci si i z takiej odległo ci trafi sze kart, ale to było bardzo dawno temu. Wsun ł r k pod marynark , chwycił kolb rewolweru. Potem wyci gn ł go, odwrócił si , pochylił i z wyprostowan r k zacz ł bardzo szybko strzela .

Ponownie ładuj c rewolwer, ruszył w stron głazu, eby sprawdzi

karty. Trzy były trafione. Nie najgorzej, uwzględniając wszystkie okoliczności.

I wtedy usłyszał głos Luki:

— A jednak ta rakota nie jest już tak pewna.

Odwrócił się i zobaczył, że Luca stoi kilka metrów od niego, oparty na lasce.

— Chcesz spróbować? — spytał Luciano, podając mu rewolwer.

Luca zważył broń w ręku, a potem bez pośpiechu, bardzo dokładnie celując, opróżnił bęben. Trafił cztery karty.

— Nie le — rzekł. — Trochę cięga w prawo. Mógłby poluzować spust.

Luciano odebrał rewolwer i zaczął go ładować.

— Tak czy inaczej, miło cię znów widzieć.

— Ciebie również, Salvatore, choć przybyłeś tu z tak głupimi sprawami. Co cię opętało, żeby to zrobić? Obietnica darowania kary?

— Ewentualnie, ale nie mam nic na papierze.

— To dlaczego tu przyjechałeś? — spytał zdziwiony Luca.

— Sam siedziałem w więzieniu i wiesz, jak to jest. Wyobraź sobie, jak się czuje człowiek, który dostał wyrok od trzydziestu do pięćdziesięciu lat za coś, czego nie zrobił?

Luca pokiwał głową.

— Tak. Rozumiem, że wolałby prawie wszystko, byle nie to.

— Tak czy owak powiedz mi, co myślisz o Marii?

— Maria i ja nie mamy sobie nic do powiedzenia — odparł Luca i zmienił temat. — Salvatore, co nas obchodzi ta bzdura? Cokolwiek się wydarzy, mafia przetrwa. Mussolini nie zdołał nas zniszczyć. Niemcy też nie dali rady. Młody człowiek słucha się siebie i żyje sto lat. Znasz to przysłowie.

Luciano zawahał się, a potem ceremonialnie skłonił głowę.

— Skoro taka jest twoja decyzja, to ją przyjmij, don Antonio.

Luca położył mu dłoń na ramieniu.

— Wobec tego zostań tu z nami. Powspominamy dawne czasy, starych znajomych... Zostań, Salvatore. — Wziął go pod ramię. — Nie ma takiej rzeczy, której razem nie potrafilibyśmy dokonać. Pewnego dnia niewątpliwie zajmiesz moje miejsce.

— *Capo di tutti capi* na całej Sycylii — powiedział Luciano z uśmiechem, przypominając sobie słowa Marii. — Pan życia i śmierci.

— Popatrz, co się dzieje z mafią w Nowym Jorku — zapalczywie rzekł Luca. — Dla niektórych rodzin dziwki stały się najwskazywanym

interesem. Słyszałem, że wci gaj w to nawet dzieci. Pytam się Ciebie, czy tak postępuje prawdziwy Sycylijczyk? No i te narkotyki. Ha ba! To nie dla takiego człowieka jak ty. Został na Sycylii. Tu jest twoje miejsce. Tutaj ludzie cię szanują.

Z dziwnie błagalnym nacisnął palce na ramieniu Luciana.

— Przykro mi, don Antonio — odparł Luciano, delikatnie się uwalniając — ale nie mogę być synem, którego nigdy nie miałem. Wracam z Carterem i liczę na warunkowe zwolnienie. Jeśli je dostanę, to znowu będę wolny... naprawdę wolny... do końca życia.

— A jeśli nie?

Luciano wzruszył ramionami.

— Wówczas będę się zastanawiał. Poza tym należałoby pomyśleć o Marii. Z pewnościanie zechce tutaj pozostać. Musisz to zrozumieć.

Nagle odwrócił się i lew ręk zaczął strzelać tak szybko, że słyszało się jakby jeden przeciwny huk. Znał wynik, zanim podszedł do kart. Sześć trafień. Każda z kart miała w środku równą dziurkę.

— Nadzwyczajne! — wykrzyknął Luca.

— Wiem. — Luciano się uśmiechnął. — To dzięki tej pogodzie. Spojrzał w niebo, gdy cięskie krople deszczu zaczęły bić w wyschniętą ziemię.

Generał Eisenhower wybierał się na Maltę z marszałkiem Alexandrem i admirałem Cunnighamem. Czekał na samochód, pił ostatnią filiżankę kawy przed podróżą i patrzył na mapę Sycylii, wisząc na ścianie jego gabinetu w Dar el Ouad. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Cusak.

— Panie generale, depesza od admirała Ramsaya.

— Co wa nego?

— Wszystko idzie dobrze, tylko pogoda się pogarsza. Nad morzem wiatry o sile od czterech do pięciu.

Eisenhower pokiwał głową.

— Słuchaj, jakie wiadomości od pułkownika Cartera?

— Obawiam się, że nie.

Generał odstawił filiżankę i sięgnął po czapkę.

— Jest tam teraz dwa i pół tysiąca okrętów. Dowódca lotnictwa, marszałek Tedder, obiecał osłaniać nas pięcioma tysiącami samolotów w odpowiednim momencie, a jedyny cel, to wysadzić na ląd sto pięćdziesiąt tysięcy Anglików i Kanadyjczyków na jednym końcu wyspy,

a na drugim sze dziesi t sze tysy cy naszych chłopców, i wyp dzi wroga z Sycylii.

Cusak pomógł mu wło y płaszcz polowy.

— Bardzo odpowiedzialne zadanie, panie generale.

— Kupa organizacyjnej roboty — powiedział Eisenhower. — Miesi ce bada , planowania, kłótni, bezsenne noce, a tu powodzenie tego całego przedsi wzi cia, jak na ironi , zale y od wyniku rozmów Cartera z tym... z tym bandyt z gór.

— Carterowi mo e si jeszcze uda , panie generale.

— Có , powiem tylko tyle, e cholernie z tym zwleka — rzekł Eisenhower, wzi ł teczk i wyszedł.

Zacz ł pada deszcz. Katerina siedziała na tarasie, rozkładaj c na stole karty z trzymanej w r ku talii. Maria wyszła z pokoju, stan ła obok i obserwowała j .

— Chyba niepotrzebnie stracili cie czas — odezwała si Katerina.

— Na to wygl da. — Maria usiadła po drugiej stronie stołu. — Nigdy nie powinnam była si zgodzi na ten wyjazd. On jest tym samym człowiekiem, jakiego pami tam sprzed tylu lat.

— Nieprawda — rzekła Katerina. — Wszystko si zmienia.

— Nawet Antonio Luca?

— Dzi jest innym człowiekiem ni wczoraj. Czy ty jeste t sam kobiet , któr była , kiedy oni przyjechali po ciebie do klasztoru? Nic si nie zmieniła ?

Maria u miechn ła si smutno.

— Oczywiście, masz racj . Tam byłam wszystkiego pewna. Codziennie wiedziałam, co mnie czeka, a dzisiaj nic, tylko w tpliwo ci. — Zawahała si . Kiedy znów przemówiła, zacz ła si zwierza : — Teraz w tpi nawet w swoje powołanie. Przedtem my lałam, e szukam Boga, a obecnie okazuje si , e jedynie uciekałam od dziadka.

— Tak bardzo go nienawidzisz?

Maria przyło yła sobie r k do piersi.

— To tak, jakbym tutaj miała kamie , jaki nieustanny ból! — Wyprostowała si na krze le. — Z tob pewnie jest inaczej. Ty go kochasz.

— O, tak. Tylko tego jestem pewna.

Siedziały w milczeniu. W drzwiach pojawił si Luciano z Savage'em. Katerina potasowała karty i znów zacz ła je rozkłada .

— Tarot? — spytała Maria.

— Tak.

— Nie widziałam tego od dzieciństwa. Moja matka stale próbowała w ten sposób poznać przyszłość.

— Karty mówią o niej tym, którzy potrafią je zrozumieć.

— I niczego nie można zmienić?

— Bo ja wiem? Być może karty jedynie ostrzegają, pozwalają wybrać inną drogę.

Maria obserwowała ją przez chwilę.

— Zobaczmy, co te karty mówią o mnie — zaproponowała.

Katerina wzruszyła ramionami.

— Jak sobie życzysz, ale Watykan tego nie pochwala. Twoja przyszłość jest w jednej karcie.

Szybko odliczyła sześć kart i odwróciła siódemną. Był na niej bogato zdobiony, kolorowy obrazek przedstawiający młodego mężczyznę, który wisiał na drzewie głową w dół.

— Wisielec — rzekła Katerina. — Interesujące. Takiego symbolu nie ma u prawowitych chrześcijan. Odnosi się tak samo do mężczyzn, jak i kobiet. Oznacza osobę rozdartą na dwoje. Symbol ofiary od czasów pogańskich. Cierpięca za innych to twoje przeznaczenie.

Maria wstała.

— Hej, Katerino Scorza. Chyba już się nie zobaczymy.

Kiedy weszła do wnętrza domu, Luciano z Savage'em zbliżyli się do stołu. Luciano wyjął karty z ręki Kateriny.

— My, Sycylijczycy, jesteśmy bardzo przesadnym narodem — powiedział zwracając się do Savage'a.

Odliczył sześć kart i odwrócił siódemną. Przedstawiała drewniane koło z sześcioma szprychami, a nad nim prymitywnie narysowanego smoka.

— Koło Fortuny — odezwała się Katerina. — Symbol wewnętrznej trzaski. Wyzwolił się z więzów społeczeństwa.

— Oczywiście widzianego przez kraty więziennej celi — dodał Luciano.

— Ale przez krótki czas.

Luciano odwrócił się do Savage'a.

— Gdybym zapłacił za to Cyganie w namiocie na Coney Island, to pomylilibym, ale naprawdę warto było wydać te pieniądze.

— A ja? — spytał Savage.

Kiedy Katerina podniosła głowę i spojrzała na niego, jej oczy posmutniały. Luciano spostrzegł w nich brak ochoty, którego nie zauważył Savage.

— Jestem zmęczona. Już nie mogę więcej.

— Prosz mi tylko powiedzie , czy mam szcz cie w miło ci. To mi wystarczy.

Zawahała si , a potem odliczyła z talii siedem kart. Odwróciła siódm tylko na tyle, eby na ni zerkn , a pó niej poło yła j na wierzchu talii.

— Wielkie szcz cie w mał e stwie lub rodzinie. Trzy puchary w pionie.

— Pozwoli pani, e sam zobacz .

Si gn ł po kart i odwrócił j . Na brzegu złotego pucharu siedziały dwa pyszne ptaki, a ka dy z nich trzymał w szponach po mniejszym pucharze.

Savage za miał si uszcz liwiony.

— No i co wy na to? Mog j zatrzyma ? Jest pewna osoba, której bardzo chciałbym to pokaza . — Schował kart do kieszeni. — Skoro tak jest w kartach, to chyba tak musi by , prawda?

Ci gle si u miechaj c, podniecony wszedł do wn trza domu. Kiedy Katerina si gn ła po tali , Luciano chwycił j za nadgarstek i zaczął wykr ca r k , a otworzyła dło , wypuszczaj c ukryt w niej kart , która upadła na stół.

Patrzyła z niej mier — prymitywnie narysowany ko ciotrup cinał kos nie fan zbo a, lecz ludzkie ciała.

Carter stał przy kominku twarz do Luki.

— Don Antonio, w aden sposób nie da si pan namówi ?

— Ci pa scy przyjaciele z Kairu czy sk d tam to głupcy. Czy naprawd s dzili, e na widok wnuczki zmieni swoje zdanie w tej sprawie? — Bardzo uwa nie nalał sobie do kieliszka Zibibbo. — Przeciwnie, samo to spowodowałoby moj odmow , nawet gdybym poprzednio miał inne zamiary.

— Don Antonio, ludzie b d gin li.

— Kiedy wszyscy musimy umrze .

Carter ze zło ci odwrócił si do Luciana, który siedział na parapecie okna.

— Cholera, to tylko strata czasu, jak sam powiedziałe . Równie dobrze mo emy si st d zabiera . Im wczesniej wrócimy do Bellony, tym lepiej.

Kiedy Carter wyszedł z pokoju, Luciano pocz stował si winem. Z aprobat w chał jego bukiet.

— Granica mi dzy nienawi ci a miło ci jest w ska — rzekł. — Powiniene o tym pami ta .

— Nie u niej.

— Wyj tkowa dziewczyna. Pomy lałem to sobie ju wówczas, gdy po raz pierwszy spotkałem si z ni w klasztorze w Liverpoolu. Od tego czasu skakała noc ze spadochronem na terytorium wroga, wiele razy mier zagl dała jej w oczy, polowano na ni w górach...

— Bo jest moj wnuczk — rzekł Luca. — Płynie w niej moja krew, czy jej si to podoba, czy nie. To krew z mojej krwi i Maria nie mo e od tego uciec, cokolwiek sobie o mnie my li. Ja jednak nie zrobi tego, o co mnie prosz ludzie Cartera. To nie moja wojna i kiedy si sko czy. Sycylia odzyska wolno i znów b dzie wszystko jak dawniej.

W drzwiach stan ła Maria.

— Panie Luciano, jeste my gotowi do wyjazdu.

Luca siedział z twarz bez wyrazu, pozbawion wszelkich emocji. Luciano odstawił kieliszek i podszedł do drzwi. Maria ju si odwracała, kiedy szepn ł jej do ucha:

— To stary człowiek. Mo e s dzi, e jest inaczej, ale bez ciebie nic dla niego nie istnieje.

Maria przez chwil wpatrywała si w Luciana szeroko otwartymi oczami, a potem w jej spojrzeniu co drgn ło. Odwróciła si , weszła do pokoju i ukl kła przed Luc . Czyst sycylijsk gwar wypowiedziała stare jak wiat, rytualne słowa:

— Dziadku, wybieram si w dług podró . Pragn twego błogosławie stwa.

Luca osłupiał. Jego stalowe rysy z wolna łagodniały. Niemal odruchowo poło ył jej dło na głowie i odpowiedział tak samo rytualnymi słowami:

— Jed w pokoju. Niech ci prowadzi Bóg i moja miło . Wracaj bezpiecznie.

Maria wstała, schyliła si i delikatnie pocałowała starca w oba policzki. Potem odwróciwszy si wyszła, omijaj c w drzwiach Luciana. Luca siedział ze łzami w oczach, nie widz cym wzrokiem zapatrzony w przestrze .

Luciano zbli ył si do niego i na znak szacunku ucałował go w praw r k .

— Czy to mo liwe, e ona mimo wszystko wci mnie kocha? — szepn ł Luca.

Luciano poło ył mu dło na ramieniu.

— Stary przyjacielu, ona nigdy nie przestała ci kocha .

Rozdział szesnasty

Ciałem Detweilera wstrząsały konwulsje, kiedy szarpał się i wiał na krześle, do którego był przywiązany. Musiało go trzymać trzech Ukraińców.

— Pytam jeszcze raz — powiedział Meyer. — Skąd masz tę amerykańską broń?

Detweilerowi oczy wychodziły z orbit, na ustach pojawiła mu się pianina. Próbował coś powiedzieć, chciał już się do wszystkiego przyznać, ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

— Dajcie mu jeszcze dziesięć centymetrów — rzekł Meyer.

— Nie jestem pewien, czy on to wytrzyma, panie majorze — odparł Susłow. — Widziałem już takich jak on. Serce...

— Słyszeliście, co mówiłem — powiedział zniescierpliwiony Meyer.

Susłow wbił igłę. Detweiler rzucił się, stracił równowagę i razem z krzesłem upadł na podłogę. Susłow ze złości go kopnął i wtedy Detweiler nie wytrzymał.

— Ju nie! Ju nie! — wykrzyknął z bólu po angielsku.

Zaskoczony Meyer odwrócił się od okna.

— To Amerykanin!

Susłow ze swoimi żołnierzami podniósł sieranta wraz z krzesłem. Meyer pochylił się nad nim i potrząsnął go za ramiona.

— Kim jesteście?

Detweiler siedział nieruchomo, patrząc szklanym wzrokiem. Meyer podszedł do biurka i znów napełnił strzykawkę.

— Następnym zastrzyk go zabije, panie majorze — odezwał się Susłow. — Jeszcze nie widziałem, żeby ktoś przeżył taką dawkę.

Po kolejnym zastrzyku Detweiler jakby si ę uspokoił. Siedział na krześle z opuszczoną głową. Meyer odczekał chwilę, a póżniej schylił się i poderwał mu broda do góry.

— No wi ę, kim jeste ę? — spytał po angielsku.

W oczach Detweilera co ę drgn ęło. Z ogromnym wysiłkiem otworzył usta i powiedział chrapliwym głosem:

— Sierżant Joseph Detweiler z Dywizji Komandosów, odkomenderowany z 21 Specjalnego Oddziału Szturmowego.

Meyer przysun ęł sobie krzesło i usiadł przed Detweilerem. Kiedy znów si ę odezwał, jego głos był spokojny i łagodny.

— Rozumiem, sierżancie. To bardzo interesujące. Mówcie dalej.

Podczas jazdy sztabowym samochodem generała Koenig i Guzzoni musieli dwukrotnie kryć się pod przydrożnymi drzewami, kiedy wojskowe konwoje, zmierzające w kierunku wybrzeża, były atakowane przez samoloty RAF-u, których działania wyrzuciły poważne szkody.

Nim dotarli do Agrigento, zatrzymali się przy stanowisku dowodzenia obrony wybrzeża na odcinku od strony Ciełłiny Sycylijskiej. Koenig czekał w samochodzie. Guzzoni wrócił z ponurą miną.

— Niedobrze — odezwał się, kiedy dojeżdżali do Agrigento. — Ostro atakuj porty i lotniska. Messyna mocno oberwała. Szacuje się, że zrzucono tam przynajmniej pięć tysięcy ton bomb. Najwyraźniej coś si ę szykuje.

Jechali nadbrzeżną drogą i Koenig spojrzął na morze. Wzburzone fale miały już białe grzbiety.

— No, jeżeli oni płyną w tych warunkach, to ja im nie zazdrościsz. Na pokładzie barek desantowych musi być piekło w tak pogodę.

— Ale z drugiej strony, jak daleko sięga pan wzrokiem w morze? — spytał Guzzoni. — Na sześćset do siedmiuset metrów? Tam już si ę może czaić cała armada, gotowa do uderzenia.

— Chyba nie zakładamy, że nieprzyjacielowi dowodzenie musi się udać? — delikatnie zauważył Koenig.

— To absolutnie wykluczone, zapewniam pana — odparł Guzzoni. — Mussolini wydał rozkaz zniszczenia wroga, zanim wejdzie się na ląd.

— Czy by?

— Tak. Przypuszczam, że mi dźy zdj ciem szlafroka k pielowego a wło eniem ubrania.

— Przez nieprzyjaciela czy duce?

Guzzoni u miał si serdecznie.

— A to dobre! Niech pan sobie zapali — rzekł wyci gaj c do Koeniga otwart papiero nic z ko ci słoniowej.

Ju dawno min ła pora obiadowa i kasyno oficerskie w koszarach w Agrigento było puste, kiedy wszedł tam Guzzoni z Koenigem. Zaj li stolik w k cie sali, a tymczasem obsługuj cy ich barman otwierał zamówion butelk Chianti.

Po chwili wszedł Brandt, rozejrzał si , ruszył w ich stron i elegancko zasalutował.

— Przepraszam, panie pułkowniku, ale czy mógłbym zamieni z panem dwa słowa?

Guzzoni przyzwalał co machn ł r k .

— Prosz si nie kr powa .

Koenig podszedł z Brandtem do okna.

— Widziałem, jak pan wchodził, panie pułkowniku, i natychmiast przybiegłem. Idzie o tego wi nia podejrzanego o to, e jest partyzantem.

— Kazałem zostawi go w spokoju do mojego powrotu — rzekł Koenig.

— Nie wiem, co si stało, ale on nie yje. Powiedział mi o tym jeden z ołnierzy dy uruj cych w szpitalnej kostnicy. Poza tym major Meyer kazał, ebym natychmiast zawiadomił go o pa skim przyje dzie, jak tylko pan wróci.

Usłyszeli szybkie kroki i w drzwiach pojawił si Meyer. W r ku trzymał teczkow .

— Mówiłem panu, e tym wi niem, którego zatrzymano przedwczoraj, zajm si po moim powrocie — powiedział Koenig. — Teraz dowiaduj si , e le y martwy w szpitalu.

Meyer podał teczk Guzzoniemu.

— Prosz to przeczyta , panie generale, a wówczas przekona si pan, kto post pił w bardziej odpowiedzialny sposób, ja czy pan pułkownik.

Marszcz c brwi, Guzzoni otworzył teczk . Uwa nie przeczytał pierwsz stron i wytrzeszczył oczy.

— Czy to prawda? — spytał podnosząc wzrok.

— Z całą pewnością ci — odparł Meyer i zwrócił się do Koeniga: — Czy pan wie, panie pułkowniku, kim był ten obszarpany wieśniak, o którego pan tak się troszczył? Sierżantem amerykańskiej dywizji komandosów.

Kiedy Koenig pytał, co spojrzał na Guzzoniego, generał potwierdził skinieniem głowy.

— Według tego raportu dwa dni temu został nocą zrzucony na spadochronie wraz z całą grupą. Stracił z nimi kontakt, bo wylądował w złym miejscu.

— Dlaczego nie miałby pan sam tego przeczytać? — rzekł Meyer. — Był tam przecież przyjaciel Carter, obecnie chyba już pułkownik, któremu ostatnim razem pozwolił pan się wymknąć, oraz parę innych interesujących osób.

Guzzoni podał teczkę Koenigowi. Pułkownik podszedł z nią do okna i zaczął czytać. Po chwili się odwrócił.

— W jaki sposób uzyskał pan te informacje?

Meyer wzruszył ramionami.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Dla mnie tak. Ciekaw jestem, w jakim stanie jest ciało?

— Pułkowniku — odezwał się Guzzoni — moralnie i faktycznie to dwie różne sprawy. Mówiąc otwarcie, ten plan uzyskania przez Amerykanów pomocy mafii w czasie inwazji zasługuje na uznanie. Z tego, co Detweiler zeznał podczas przesłuchania, wynika, że Luciano zginął, ale pułkownik Carter w dalszym ciągu opiekuje się wnuczką Antonia Luki, a Luca, proszę mi wierzyć, dysponuje ogromną władzą na Sycylii. Jeżeli on zgodzi się stanąć po ich stronie, to wszystko jest możliwe.

— Byłoby to dla niego zgodzić się — mruknął Koenig.

Guzzoni rozłożył ręce.

— Z drugiej strony jednak oni nie mieli zbyt dużo czasu na działanie. Proponujemy ci założyć bazę, a jeszcze się z nim nie skontaktowali. Wiesz panowie, co to za klasztor ta Cierniowa Korona, gdzie jest ich baza?

— Tak — odparł Koenig.

— Aa... franciszkanie z Cierniowej Korony — rzekł Guzzoni. — Teraz sobie przypominam. Parę lat temu w Palermo doszło do dużego skandalu, bo wytoczono im proces. Prasa nazwała ich mafiosami w habitach. Moście mieć kłopoty.

— Przepraszam, panie generale, ale nie s dz — odezwał si Meyer. — Mog tam by w ci gu czterech godzin. Nim zd si zorientowa , wjedziemy przez główn bram . Je eli Carter i jego ludzie jeszcze tam s , to niech mi pan wierzy, e ich dostaniemy.

Koenig za miał si pogardliwie.

— Nawet nie zbli ycie si do klasztoru na odległo pi tnastru kilometrów, a oni ju b d wiedzieli, e jedziecie. Ka dy chłopak pas cy w górach owce czy kozy jest w jaki sposób zwi zany z ruchem oporu. Oni maj swój system sygnalizacji i dotarcie do klasztoru bez ich wiedzy jest prawie niemo liwe.

Meyer zacz ł protestowa , ale zniecierpliwiony Guzzoni go uciszył.

— Pułkownik Koenig, wiadomo, e nie jest pan specjalist od tego rodzaju działa . Czy pa skim zdaniem w ogóle jest jaki sposób, który pozwoliłby nam aresztowa Cartera i jego grup , a szczególnie wnuczk Luki, t siostr Mari Vaughan? Schwywanie tej kobiety to sprawa najwa niejsza. — U miechn ł si nieznacznie. — Chyba nie musz podkre la , e nale y traktowa j delikatnie. Lepiej nie nara a si Watykanowi, je eli mo na tego unikn .

— Ale panie generale! — wykrzykn ł Meyer. — Ta kobieta jest szpiegiem i jako tak , zgodnie z Konwencj Genewsk , wolno j rozstrzela .

— Zale y, jak si na to patrzy — rzekł Guzzoni. — By mo e my, Włosi, mamy inny pogl d na te sprawy, ale jeste my narodem o wielowiekowych tradycjach. — Wyj ł papierosa ze swojej papierownicy z ko ci słoniowej. — No wi c, pułkowniku?

Brandt, który cały czas stał w milczeniu, podskoczył i elegancko podał mu ogie .

— Znalazłby si pewien sposób, panie generale — odparł Koenig. — Desant spadochronowy.

— Da si to załatwi ?

— Nie jestem pewien i dlatego chciałbym si w tej sprawie z kim skonsultowa . Pozwoli pan? — Guzzoni skin ł głow i wtedy Koenig zwrócił si do Brandta: — Skontaktuj si z pułkownikiem Naglem z bazy Luftwaffe w Otranto. Przekaj mu pozdrowienia od pana generała Guzzoniego i popro go, by jak najszybciej tu przyjechał.

Brandt odwrócił si na pi cie i po piesznie wyszedł.

— Doskonale — rzekł Guzzoni. — A teraz, ponieważ ostatni posiłek zjedli my w Palermo, proponowałbym jaki pó ny obiad. Pana za , majorze, z pewno ci wzywaj pilne obowi zki.

— Tak jest, panie generale — odparł Meyer, skłonił si obu oficerom i wyszedł sztywnym krokiem jak niepyszny.

Wolf Nagel miał dwadzie cia pi lat, a był ju pełnym pułkownikiem, dowódc bazy w Otranto. Słu ył na froncie w Polsce i Norwegii, do ko ca 1941 roku zestrzelił nad kanałem La Manche sze dziesi t dziewi nieprzyjacielskich samolotów. W Rosji wyró nił si jeszcze bardziej, osi gaj c osiemdziesi t cztery zestrzelenia do chwili, gdy paskudnie si rozbił, co poci gn ło za sob amputacj lewej nogi. Fakt ten go nie odstraszył, po sze ciu tygodniach bowiem Nagel wrócił do latania bojowego, póki na osobisty rozkaz Goeringa nie posadzono go za biurkiem.

Ten przystojny, dziarski m czyzna o bardzo jasnych włosach nosił czarn skórzan kurtk pilota Luftwaffe, a pod szyj elazny Krzy Kawalerski z d bowymi li mi, mieczami i diamentami.

Marszcz c brwi, pochylił si nad map w gabinecie Koeniga.

— Parszywy teren do latania — stwierdził.

— Da si to zrobi ? — spytał Guzzoni.

— Dotrze tam to aden problem... najwy ej pi tna cie minut lotu z Otranto... ale jak tu rzuci na cel tego szale ca i jego ludzi? O ile wiem, chodzi o to, eby przetransportowa pa skich ólnierzy nad t dolin i ze stu trzydziestu metrów zrzuć ich tak, aby wyl dowali w tym cholernym klasztorze. — Pokr cił gów . — Według mnie to równa si samobójstwu.

— Panie generale, moi ólnierze s odpowiednio przeszkoleni. Po sze ciu skokach otrzymuj odznak spadochroniarza, a je eli chc zachowa prawo do jej noszenia, musz wykonywa co najmniej sze skoków rocznie. Nasz specjalno ci jest desant z wysoko ci stu metrów — powiedział Koenig i zwrócił si do Brandta: — Prawda, sier ancie?

— Twierdzi pan, e to niemo liwe? — spytał Nagła Guzzoni.

— Ale sk d e, *Hen General*. Junkers-52 łatwo sobie z tym poradzi, lec c z pr dko ci nie przekraczaj c stu pi dziesi ciu kilometrów na godzin , ale oni musieliby skaka cholernie szybko.

— Trzeba to zrobić za jednym zamachem, żeby ich całkowicie zaskoczy — powiedział Koenig. — O tej porze jednak nie najlepiej lata się w górach.

Nagel poskrobał się po brodzie.

— A więc będzie wam potrzebny najlepszy pilot, jakim dysponuj. — Umiechnął się szeroko. — Nie mam nic przeciwko temu. Chętnie sobie polecę na taką małą operację.

— Będzie dwudziestu ludzi, łownie ze mną — rzekł Koenig. — Wiacie nie zdążyliby wyskoczyć nad celem, ale tyłu powinno wystarczyć.

— A jakie są rozkazy dla mnie? — spytał Meyer, który dotychczas stał na boku w milczeniu.

— Wyjedziecie stąd noc, tu przed witem. Nie wiacie nie dwudziestu ludzi. Zbliży się pod osłoną ciemności i będziecie czekać o tu, nad doliną. — Koenig wskazał palcem miejsce na mapie. — Ruszycie, kiedy przeleci nad wami junkers. Nim dotrzecie do klasztoru, my powinniśmy już go opanować i otworzymy wam bramę.

— Wietny plan — stwierdził Guzzoni. — Wydaje się uwzględnia wszystkie ewentualności. Nie uważa pan, majorze?

— Na to wyglądam, panie generale — odparł Meyer.

— Dobrze. — Guzzoni klepnął się w udo. — No cóż, mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Postaram się rano pana odprowadzić, Koenig. A więc do jutra.

Meyer podszedł do drzwi.

— Chwileczkę, majorze — powiedział Koenig.

Meyer się odwrócił.

— Słucham?

— Ja dowodzę tą operacją. Bardzo niechcień korzystać z pana i pańskich ludzi, ale w każdym razie macie wykonywać moje rozkazy. Czy to jasne?

— Całkowicie, panie pułkowniku — spokojnie odpowiedział Meyer. — A teraz mogą odejść?

— Oczywiście.

— Będzie z nim kłopoty — odezwał się Brandt, kiedy major wyszedł.

— Teraz się tym nie przejmuj — mruknął Koenig. — Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Nie liczę mnie i ciebie, Rudi, trzeba jeszcze wybrać osiemnastu. Moesz wykonać tę brudną

robot za mnie. Nie zdobdziesz sobie popularności u tych, co zostaną.

— Od tego się nie stajesz, panie pułkowniku.

Brandt zsalutował i wyszedł.

Carter siedział przy radiostacji w kryjówek za magazynem trumien w zakładzie pogrzebowym. Skończył nadawanie i czekał na odpowiedź. Po chwili zdjęł słuchawkę. Kiedy zapalał papierosa, otworzyły się ukryte drzwi i wszedł Vito Barbera.

— No i co?

— Już płyn.

— W taką pogodę? Tam szaleje sztorm.

— Wyjdzie im to na zdrowie, kiedy dotrą do wyspy.

— Co im powiedziały?

— O Luce? Jej misja się nie powiodła.

Zaciągnął się papierosem, Carter zaczął kaszleć i nagle poczuł ostry ból w płucu.

— Lepsi rydzy niż ci, Harry — powiedział Vito. — Wieczorem zwołuj zebranie komitetu okręgowego. Będzie ojciec Collura, Verga i tych dwóch czerwonych. Zawiadomi wszystkich, żeby naoliwili broń i na jutro przygotowali się do wyruszenia.

— A co na to mafia?

— W dolinie Bellony ja reprezentuję mafię — odparł Vito. — Luciano i kapitan Savage zabrali Marię do klasztoru. Harry, ty też lepiej tam przenocuj. Nie wyglądasz zbyt dobrze. Ja dołącz do was rano.

— Zgoda.

Carter wstał. Vito przeprowadził go przez magazyn trumien i zakład pogrzebowy. Otworzył drzwi na ulicę. Lało jak z cebra. Padający deszcz zacierał kontury domów i gór. Vito wyszedł, odwiązał muła Cartera i doprowadził go pod drzwi.

Carter dostał gwałtownego napadu kaszlu. Oparł się o framugę, trzymając przy ustach brudną chusteczkę. Kiedy na nią spojrział, zobaczył ślady krwi. Pokazał je Barberze i próbował się uśmiechnąć.

— Czy życie nie jest wspaniałe?

— Daj spokój, Harry. — Łagodnie strofował go Barbera. — Im wcześniej tam się znajdziesz, tym lepiej. Maria będzie wiedziała, co z tym zrobić.

Carter z trudem wdrapał się na drewniane siodło. Sięgnął po wodze i zdobył się na uśmiech.

— Nagle poczułem się zmęczony, Vito, naprawdę zmęczony. Wiesz, co mam na myśli?

— Wiem, stary przyjacielu, wiem — ze smutkiem odparł Barbera.

Carter tracił męstwo w brzuch i ruszył przez rynek.

Chroni się przed deszczem pod ogromnym czarnym parasolem, ojciec Giovanni karmił go na blankach, kiedy Luciano wszedł po stopniach.

— Jak się czuje pułkownik Carter? — spytał starzec.

Luciano stanął pod okapem gołobitka, by nie zmoknąć. Pociągnął przeora papierosem.

— He. Ma wysoką gorączkę i grozi mu zapalenie płuc. Maria twierdzi, że prawdopodobnie trzeba go gdzieś operować, ale tutaj z pewnościami nie da się tego załatwić.

— Pamiętaj, że niedługo będą tu Amerykanie i wówczas otrzymają najlepszą opiekę.

— Jeśli dojdzie — powiedział Luciano patrząc na góry w strugach deszczu. — To szaleństwo, kiedy człowiek dobrze się nad tym zastanowi. Ledwie parę tygodni temu ten facet dostał kulę w płuco. Powinien być zwolniony z wojska i wrócić na ten uniwersytet.

— Uważam, że jest wyjątkowym człowiekiem — rzekł ojciec Giovanni. — Niektórzy ludzie podejmują decyzje na podstawie własnej oceny tego, co złe, a co dobre. Człowiek ich czyny wynika z okoliczności.

— Chcesz więc powiedzieć, ojcze, że nie robi tego, co należy, skoro mogłoby się okazać dla nich szkodliwe?

Przeorał się głową.

— Pułkownik Carter natomiast robi to, co robi, bo uważa, że nie może postąpić inaczej.

— Zgadzasz się. Czy tego nie powiedział Marcin Luter? Tacy ludzie potrafią nam cholernie obrzydzieć.

W dole na niewielkim dziedzińcu otworzyły się drzwi, z których wyszła Maria. Na ramionach miała stary płaszcz przeciwdeszczowy i wyglądała na zmęczoną, kiedy wchodziła po schodach.

— Jak on się czuje? — spytał Luciano.

— He. W apteczce, którą przywieźliśmy ze sobą, jest za mało lekarstw. Na ból dałam mu morfinę, a przyklasztorny szpitalik

dostarczył mi chininy. Zaaplikowałam mu du dawek , co powinno zmniejszyć goryczk .

— Czy to wystarczy?

— Nie. Moim zdaniem w płucu jest wrzód. Podejrzewam, że rana postrzałowa w ogóle się nie zagoiła, głównie z braku jakiegokolwiek rekonwalescencji.

— Pójd i trochę przy nim posiedz — zaproponował ojciec Giovanni.

— Wy wiadczy mi ojciec przysług .

Przeor zszedł po schodach, a Maria z Lucianem stała pod okapem gośbnika, patrzcie na dolinę , w której zapadał wieczór.

— No i prosz — odezwał się Luciano. — Tyle wysiłku, a wszystko okazało się tylko stratą czasu.

— Być może — powiedziała Maria.

Pędzony wiatrem deszcz zaczął w dachówki.

— Daleko stąd do Liverpoolu i twojego klasztoru.

— O tak. Za daleko, by wrócić — odparła. Kiedy uniosła głowę i spojrzała na niego, jej twarz była nieskończenie smutna. — Teraz to rozumiem.

Luciano nie wiedział, co powie. Stał i patrzył za nią, kiedy schodziła na dziedziniec i znikła za drzwiami.

O czwartej nad ranem pod osłonami ciemno ci Meyer i jego ołnierze w trzech łazikach i transporterze opancerzonym zajęli pozycje w pinowym lesie na południowym skraju doliny, jakieś osiem kilometrów od klasztoru.

Do pierwszego samochodu, w którym siedział Meyer, podszedł Susłow i spojrzał na zegarek.

— Za godzinę powinni wystartować, dokładnie o piątej.

Kiedy niebo nad górami zaczęło błędnąć, Meyer popatrzył przez lornetkę na klasztor.

— Uda się, panie majorze? — spytał Susłow.

— Oczywiście, że tak — odparł Meyer. — Nie lubi Koeniga i nie robi z tego tajemnicy. Nie uważam go za dobrego Niemca i słyszałem, jak z lekceważeniem wyrażał się o Führerze, ale to genialny ołnierz. Jeżeli ktokolwiek może tego dokonać, to tylko on.

— A potem?

Meyer uśmiechnął się lodowato.

— O, to naturalnie całkiem inna sprawa.

W bazie Luftwaffe w Otranto deszcz bił w pole startowe, ale trzy silniki Junkersa-52 już pracowały na wolnych obrotach. Nagel wychylił się z kabiny i podniósł kciuk.

Brandt z pozostałymi ołnierzami był już na pokładzie, a Koenig rozmawiał z Guzzonim przy otwartym luku. Ubrany w panterkę, jakiego nosili spadochroniarze SS, miał przewieszony przez pierś pistolet maszynowy.

— Wygląda na to, jakby on myślał, że akcja się odbędzie mimo tej paskudnej pogody — powiedział Guzzoni. — Czy pan naprawdę uważa, że można skakać w takich warunkach?

— Skakali pod Malenienką, zrzucano ich pod Stalingradem, skoczyć do piekła, jeśli im każe. — Koenig zsalutował. — Nagel pewnie zaczyna się niecierpliwić.

Guzzoni mocno uciśnięto mu dłoń.

— Co mi wypada powiedzieć?

— Chyba w tych okolicznościach najlepiej nic nie mówić, panie generale.

Koenig wsadził sobie w zęby koniec linki otwierającej spadochron i wdrapał się do wnętrza Junkersa. Luku został zamknięty i Guzzoni się wycofał.

Kiedy Nagel zwiększył obroty, Junkers potoczył się w deszcz i mrok. Dotychczas nie zapalono wiatel drogi startowej ze względu na nieustanne zagrożenie alianckimi nalotami, włączono je dopiero teraz, przed samym startem. Nagel dodał gazu, ryknęły silniki i Junkers pomknął po runwayu, rozbijając w pył krople deszczu.

Guzzoni patrzył, jak samolot wznosi się nad drzewami i znika w szarej porannej mgle. Zadrżał, ciało niejednokrotnie otulił się płaszczem i odszedł.

W klasztorze Carter rzucał się przez sen, szarpąc dłońmi po ciele przesłoniętym jego własnym potem. Całkowicie wyczerpana Maria spała na siedząco w fotelu obok łóżka. Koc, którym się owinięła, zsunął się na podłogę. Luciano wstał z ławeczki we wnętrzu okiennej, podniósł go i z powrotem ją okrył. W blankach murów obronnych niesamowicie wył wiatr. Luciano zapalił papierosa, podszedł do okna i wyjrzał. Nagle poczuł jakiś dziwny niepokój.

Savage był tak zmęczony, że nawet się nie rozebrał. Po prostu padł na łóżko w klasztornej celi i natychmiast zasnął.

Nie pamiętał, kiedy Rosa położyła się obok niego, ale gdy tu przed nim otworzył oczy, spała objęta jego ramieniem.

Poruszyła się sennie.

— To ty, Savage? — spytała.

— A ktoś by inny?

Uśmiechnęła się w pół śnie, a potem nagle uniosła głowę.

— Co to? Chyba coś słyszałam.

— To wiatr, po prostu wiatr. Spij.

Zamknęła oczy i z uśmiechem wtuliła mu twarz w szyję.

Rozdział siedemnasty

Lot o brzasku na wysokość trzystu metrów dostarczał wspaniałych widoków pomimo rzadkiego deszczu: łańcuchy górskie, szczyty i granie ze wszystkich stron, a niejednokrotnie ocienione, mroczne doliny.

Siedząc blisko luku, Koenig spojrzał na swoich żołnierzy, którzy w słabym świetle wyglądały anonimowo w hełmach, panterkach, ze spadochronami. Tym razem bez nieporęcznych worków z zaopatrzeniem. Każdy z nich miał jedynie szmajsera na piersi, ładownice i granaty.

— Ile razy już to robili my, Rudi? — spytał Brandt, który siedział obok niego.

— Bóg jeden wie. Pamiętam tam tylko, że pierwszy był Narvik, a dalej obraz się zamazuje. Zginęło tylu dobrych żołnierzy...

— Tak — powiedział Koenig. — Czasami wydaje mi się, że wszystko, co nam pozostało, to tylko pamięć o tych, którzy zginęli.

— Nie, panie pułkowniku — zdecydowanie zaprzeczył Brandt. — Mamy jeszcze siebie. Mamy nasz pułk i pana.

Mój Boże, pomyślał Koenig, tylko to nam zostało po takich cierpieniach? Na co one się zdały? Wyjrzał przez okno. Zobaczył poszarpany szczyt Monte Cammarata i zachodnie zbocze góry. Samolot gwałtownie obniżył lot. Zdawało się, że wpadnie na ostróżkę, która nagle przed nimi wyrosła, lecz Nagel przyciągnął do siebie drążek i Junkers przemknął niewidocznie pięćdziesięciu metrów nad skałami.

Pod sobą mieli dolinę Bellony z rzeką płynącą wśród pinii, ale wskutek deszczu i mgły samo miasteczko i klasztor po drugiej stronie doliny były niewidoczne.

Samolot zakłócił się na wietrze, omal nie zawadził o cokolwiek.

prawego skrzydła o skalną ścianę. Koenig wstał, przeszedł do przodu kadłuba i zajrzał do kabiny.

— No i co myślisz? — spytał Nagla.

— Brzydko mi to pachnie, ale skoro chcesz doprowadzić sprawę do końca, ja ci to ułatwię. Musisz jednak pamiętać, że białe dzieci mieli tylko jedną szansę. Kiedy zaczniecie skakać, róbcie to bardzo szybko, bo inaczej w ogóle nie traficie w cel.

Brandt otworzył luk. Spadochroniarze wstali i każdy przypiął swój link, sprawdzając siadła. Junkers jeszcze bardziej obniżył lot. Potem wszystko nastąpiło błyskawicznie.

Kiedy zapłonęła lampka nad otworem luku, z rykiem silników dolatywali do końca doliny. Wolf Nagel pochylił samolot na prawe skrzydło.

Widniał klasztor i drogę wijącą się ku wielkiej bramie.

— Teraz! — wykrzyknął Koenig, nim samolot znalazł się nad zewnętrznym murem klasztoru.

Brandt rzucił się w otwarty luk, a za nim pozostali żołnierze — tak szybko, że wydawało się, jakby każdy z nich skakał na ramiona poprzednika.

Przyszła kolej na Koeniga. Skoczył na głowę. Bezpośrednio pod sobą zobaczył dziedziniec i dachy pokryte czerwonymi dachówkami. Z trzaskiem otworzył się spadochron. Pułkownik spojrzał w górę na junkersa znikającego w deszczu, a potem w dół, gdzie z lewej strony jego żołnierze opadali nad murem.

Niemcy u walili innych spadochronów niż Anglicy czy Amerykanie, a zasadniczą różnicą polegała na tym, że niemieckie nie miały linek do manewrowania czasem. Wynikało to, dlatego Niemcy najczęściej skakali z niskiego pułapu. Miało to jednak wady, szczególnie w takich wypadkach jak ten. Koenig zobaczył bowiem, że dwóch jego żołnierzy zniknęło za zewnętrznymi murami klasztoru, a trzeci niefortunnie uderzył na blankach nad bramą i spadał głową w dół na dziedziniec.

Reszta już tam wylądowała; na dziedzińcu falowały wypełnione powietrzem czasze spadochronów. Koenig spostrzegł pod sobą szybko zbliżający się jeden z wyszczerzonych dachów. Przygotował się do lądowania. Z rękami skrzyłowymi na piersiach przebił dach na wylot.

Meyer przez lornetkę obserwował opadające spadochrony.
— Udało się! — wykrzyknął.
— Według moich obliczeń piętnastu — powiedział Susłow. —
Reszta jest gdzieś na zewnątrz.
Meyer zdawał się go nie słyszeć.
— Wsiada! — zawołał. — Ruszamy!
Skinął na kierowcę i łazik szybko odjechał.

Luciano nie mógł zasnąć. Wyszedł o brzasku na mury obronne,
gdzie spotkał ojca Giovanniego, który stał pod swoim czarnym
parasolem i delectował się pierwszym papierosem.

— Widz, nie może spać.
— No właśnie — odparł Luciano.
— Matko, wita! — szepnął ojciec Giovanni i uśmiech całkowicie
zniknął z jego twarzy.

Luciano obejrzał się i zobaczył junkersa, który ukazał się w deszczu
jak szara zjawia i z rykiem silników leciał ku nim dołami na wysokość
niepełną stu pięćdziesięciu metrów. Kiedy wyskoczył pierwszy spado-
chroniarz, wszystko stało się przeraźliwie jasne.

Ojciec Giovanni pchnął Luciana w stronę drzwi.
— Musicie jak najszybciej się uciekać i zabrać z sobą Cartera.
Niczego nie oszczędzajcie, walczcie z nimi.

Na wpół przytomny Carter z trudem próbował usiąść w łóżku,
Maria zaś była już na nogach, kiedy weszli do jej celi.

— Mamy kłopot — powiedział Luciano. — Spadochroniarze.
Musimy się przed nimi ukryć.

Otworzyły się drzwi i wszedł Savage, zakładając plecak. Za nim
pojawiała się Rosa z jego karabinkiem, który mu podała.

— Co się dzieje?
— Detweiler, chyba się myli — odparł Luciano.
Podeszli do okna akurat, by zobaczyć, jak Koenig przebiega nogami
czerwony dach z lewej strony i znika. Na dziedzińcu ołnierze
dowodzeni przez Brandta już odpinali spadochrony.

Savage uniósł M-1, by ich ostrzelać, lecz Luciano podbił mu lufę.
— Nie trzeba. Zmywamy się się. Musimy to zrobić tak, aby
francuskie były czy ci.

— Jak?
— Zejdziemy do katakumb — odpowiedział ojciec Giovanni. —
Proszę za mną, ale musimy się spieszyć. Nie mamy wiele czasu.

— We mie pan Cartera na barana — rzekł Luciano do Savage'a — a ty, Mario, zabierz jego ubranie. Pó niej go ubierzemy.

Po piesznie szli korytarzem. Na jego ko cu ojciec Giovanni wyjął klucz i otworzył nim d bowe drzwi prowadzące na kr te schody.

— T dy zejdziecie do samej kaplicy. Wej cie do krypty pokazałem wam przedwczoraj. Mog tylko yczy powodzenia, przyjaciele. A teraz błagam, po pieszcie si .

Luciano ruszył pierwszy, a za nim Savage z Carterem na plecach, potem Rosa i Maria. Ojciec Giovanni zamknął drzwi i przekrcił klucz. Kiedy si odwrócił, na klatce schodowej przy drugim ko cu korytarza zobaczył esesmana, który mierzył do niego ze szmajsera.

Na jednej z ławek w klasztorzym refektarzu siedział Koenig z paskudnie złamaną lewą ręką, a jakiś młody zakonnik j bandą owął. Pułkownik miał ponadto rozdarty lewy policzek, do którego przyciskał chusteczkę, próbując zatamować krwotok.

— Obawiam si , panie pułkowniku, że trzeba będzie to szy — powiedział ojciec Giovanni. — Ręką tę nie wygląda dobrze. Złamana w dwóch miejscach. Potrzebny panu sprawny chirurg, jeżeli nie chce si pan nabawić trwałego kalectwa.

Usłyszeli szybkie kroki i wszedł Brandt.

— Wszystko dokładnie przeszukali my, panie pułkowniku. Oprócz zakonników nie znaleźli my nikogo.

— A niby kogo mielibyście znaleźli? — spytał ojciec Giovanni.

— Otrzymałem informację, proszę ojca, że przebywają tu nieprzyjacielscy agenci, którymi dowodzi niejaki pułkownik Carter, który jest angielskim oficerem.

— Mogę wam tylko powiedzieć, że niepotrzebnie zadaliście sobie tyle trudu. Nikogo takiego tutaj nie ma. — Zakonnik podniósł do ust krucyfiks, który miał zawieszony na szyi, i pocałował go. — Zaręczam własnym słowem.

Koenig z trudem wstał, krzywiąc si z bólu.

— A co z ołnierzami?

— Trzech zginęło, panie pułkowniku. Dwóch w wozie za klasztorem, a Vogel skrcił sobie kark, spadając z muru. Hartman ma złamaną nogę.

— I to wszystko na nic. — Koenig zwrócił si do przeora: — Miałyście rację, ojczy.

Nagle z zewn trz doleciały odgłosy strzelaniny. Koenig wybiegł z refektarza, za nim Brandt i ojciec Giovanni. Kiedy stan ł u szczytu schodów, na blankach nad bram zobaczył młodego spadochroniarza.

— Co jest?! — zawołał do niego.

— Zdaje si , panie pułkowniku, e trzech ludzi ucieka przez las w stron Bellony. Kolumna majora Meyera zjechała z drogi i ruszyła za. nimi.

Znów wybuchła gwałtowna strzelanina.

— Teraz wszystko rozumiem — powiedział Koenig do przeora. — Mówiłe prawd , ojcze, bo oni zd yli si ju wymkn . — Nie czekał na odpowied . Po prostu odwrócił si i rzekł: — No dobrze, sier ancie, rób zbiórk i biegiem za mn .

Po raz pierwszy w ich długoletnich kontaktach Brandt zakwestionował rozkaz.

— Prosz posłucha , panie pułkowniku. Nie s dz , eby w obecnym stanie mógł pan dok dkolwiek pój .

— Przyj łem do wiadomo ci, a teraz idziemy — odparł Koenig, zszedł po stopniach i szybkim krokiem ruszył przez dziedziniec.

Ojciec Giovanni zaczekał, a ostatni spadochroniarz znikn ł w bramie, a pó niej odwrócił si , pobiegł do kaplicy i zaczął z namaszczeniem raz po raz bi w dzwon. Jego d wi k niósł si przez dolin w stron Bellony, gdzie Vito Barbera, zaalarmowany ju strzelanin w lesie, stał nasłuchuj c.

Podbiegli do niego Verga i ojciec Collura.

— Co to znaczy? — spytał Verga.

— Nie wiem, ale wła nie słucałem radia i dowiedziałem si , e Amerykanie wyl dowali w Licacie. Zawiadomcie wszystkich, eby przygotowali wszelk bro , jak maj .

— To troch potrwa.

— Postarajcie si jak najpr dzej.

Kiedy odeszli szybkim krokiem, Barbera z powrotem wszedł do zakładu, wspi ł si po schodach do magazynu trumien, otworzył tajne wej cie i znalazł si w kryjówce. Ukł kł w k cie, usun ł jedn desk z podłogi, wyj ł pistolet maszynowy i kilka magazynków, a pó niej t sam drog wrócił na dół.

Po wyj ciu z tunelu zatrzymali si na zbocz u góry, by ubra Cartera. Włó yli mu marynark i spodnie, a Maria z Ros go obuły.

Carter w dalszym ciągu miał wysoką gorączkę, ale mówił do wyraźnie.

— Co się dzieje? — spytał.

— Kto nas zakapował — odparł Luciano. — Chcemy dotrzeć do miasteczka i zorientować się, co może dla nas zrobić Barbera. Staraj się nie rozmawiać. Po prostu oszczędzaj siły. Idziemy.

Savage oddał swój karabinek i plecak Rosie, potem wziął Cartera na barana i wszyscy ruszyli w dół zboczem. Między tarasami a skrajem lasu musieli pokonać niewielki kawałek otwartej przestrzeni. Właśnie wówczas, gdy byli w połowie drogi, rozległy się strzały.

Jadąc na czele kolumny krótkie drogi prowadziły do klasztoru, Meyer zauważył ich pierwszy i krzyknął do kierowcy, żeby się zatrzymał.

Susłowski, którego łazik znajdował się na końcu niewielkiej kolumny, wstał, obrócił zamontowany na samochodzie ciężki karabin maszynowy i zaczął strzelać. Pociski wzbijały fontanny ziemi za uciekinierami podziemnymi w stronę lasu. Maria zachwiała się i upadła. Luciano błyskawicznie się schylił, chwycił ją za rękę, poderwał i oboje zygzakami wbiegli między drzewa, które dały im osłonę.

— Za nimi! — ponaglił go krzyknął Meyer do kierowcy.

Łazik zjechał z drogi i ruszył przez tarasy, podskakując na nierównościach.

Maria, którą pocisk jakim cudem trafił tylko w obcas buta, szła cicho przez las obok Luciana, za Savage'em i Rosą.

Drzewa rosły tutaj gęściej, co sprawiło, że teren był niedostępny dla pojazdów. Luciano zatrzymał się, nadstawił ucha. Usłyszał głosy.

— Idź za nami — powiedział im w tej chwili seria z pistoletu maszynowego przeszła gałązki nad ich głowami.

Natychmiast odpowiedział ogniem. Biegąc za pozostałymi, zmienił opróżniony magazynek. W krzakach z prawej strony coś trzasnęło. Ukazał się jakiś Ukraińiec, który biegł bardzo szybko. Z broni trzymanej na wysokości pasa dwukrotnie wystrzelił, wzbijając grudki ziemi koło Savage'a. Luciano rzucił się za nim, podskoczył i obiema nogami kopnął go w plecy. Ukraińiec przełożył się, a kiedy próbował wstać, Luciano strzelił mu w głowę.

Biegł z Carterem na plecach, Savage już cię dyszał. Staniał się na nogach. W pewnym momencie stracił równowagę i obaj zwałili się na ziemi.

— Zostawcie mnie, ratujcie siebie — słabym głosem powiedział Carter, kiedy Savage wstał.

Luciano oddał Marii swój karabinek i podniósł Cartera.

— Oprzyj się na mnie, profesorze. Wystarczy przebiec nogami. Czy to nie ty byłeś tym facetem, co z kulą w płucu przemaszerował ponad sześć kilometrów?

— Idźcie — odezwał się Savage. — Ja będę was osłaniał.

Z plecaka, który trzymała Rosa, wyjął dwa ręczne granaty i włożył je do kieszeni, a potem zmienił magazynek w karabinku.

— Dobra — rzekł. — Ruszaj. Mojesz im być potrzebna. Ja będę szedł za wami.

— Nie, Savage, nie zostawi cię — odparła nieustępliwie, kręcąc głową.

Nagle odwrócił się i puścił serię z biodra w krzaki. Wypadł z nich jakiś Ukraińczyk i zwałił się na twarz. Savage popchnął Rosę.

— Wynosi się stąd!

Zmienił magazynek. Pochylił się, gdy z lewej strony padły strzały.

Odpowiedział serię i usłyszał krzyk bólu.

Rosa podczołgała się do niego.

— Błagam, Savage, uciekajmy!

Wierchem dłoni uderzył ją w twarz.

— Wynosi się stąd, ty głupia dziwko!

Cofnęła się przerażona; uderzenie było bolesne. Zaczęła się odczołgiwać. Savage chwycił ją za lewą rękę.

— Pamiętaj, że cię kocham. Obiecuj mi miodowy miesiąc w Nowym Jorku.

Odwrócił się podnosząc karabinek. W tej samej chwili seria z broni maszynowej w klatkę piersiową odrzuciła go do tyłu, cinając z nóg.

Usta wypełniła mu krew, którą zaczął się dławić. Usłyszał krzyk Rosy i zobaczył, że się nad nim pochyla. Kiedy umierał, ostatnią rzecz, jaką widział, była jej twarz.

Rosa uklęknęła i wzięła go w ramiona, plamiąc sobie ubranie jego krwią. Z krzaków wyszło czterech Ukraińców. Stali patrząc na niego. Jeden z nich zaczął się odrajać.

— Zobaczmy, czy potraficie się zachować — rzekł.

Teraz już wszyscy rechotali. Opuścili broń i zaczęli się do niej zbliżać. Rosa tak się miała, delikatnie kładąc Savage'a na ziemi.

Sięgnęła do jego kieszeni i odwróciła się z granatami w rękach, wciśniętymi między czołmakiem i plecami. Ukraińcy odskoczyli przerażeni i rzucili się do ucieczki, ale było już za późno.

Luciano i Maria, podtrzymując idącego między nimi Cartera, wyszli z lasu na niewielkie pole zaoranej ziemi, dzielące ich od miasteczka. Z okna na piętrze swojego zakładu Barbera dostrzegł Ukraińców, którzy między drzewami biegli w dół po stoku.

Słyszał sporadyczne strzały. Przerażony zobaczył, że Luciano z krzykiem upadł, a Carter zatoczył się na Marię. Barbera wychylił się z okna i posłał za pole długą serię ze szmajsera. Luciano jakim cudem wstał i pomagał Marii prowadzić pułkownika. Kiedy dotarli do skraju miasteczka, z lasu wybiegło kilku Ukraińców, którzy rzucili się za nimi w pościg.

Miasteczko opustoszało, wszyscy pochowali się w domach. Maria i Luciano z trudem szli przez rynek, dając Cartera. Usłyszeli zbliżające się dźwięki pojazdów. Były już niedaleko. Luciano bardzo krwawił z rany w lewej nodze i mocno utykał, gdy skręcili w uliczkę prowadzącą do zakładu pogrzebowego. Barbera otworzył drzwi i wybiegł im naprzeciw.

Meyer stał w transporterze opancerzonym na rodku rynku i przyglądał się, jak Ukraińcy chodzą po domach, wypędzając wszystkich mieszkańców. Susłow przypadkowo zapalał papierosa na rogu uliczki prowadzącej do domu Barbary i spostrzegł na bruku wyraźne lądy krwi, które zawiodły go pod drzwi zakładu. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Pchnął je, wyjął z kabury walthera i wszedł do środka.

Na kamiennej podłodze korytarza zobaczył jeszcze więcej krwi. Podszedł do drzwi na jego końcu, otworzył je i znalazł się w kostnicy. W mrocznym pomieszczeniu panowała absolutna cisza i spokój. Susłow odskoczył na widok zdeformowanych zwłok jakiejś staruszki leżących w pierwszej trumnie z lewej strony.

Znowu plamka krwi na podłodze, a potem jeszcze jedna. Poszedł dalej, mijając kilka trumien ze zwłokami, które w sztywnych palcach trzymały sznurki połączone z dzwonkiem.

Przy czarnej, bogato zdobionej trumnie zobaczył następną plamkę krwi. Kucnął, by się jej przyjrzeć, i włosy stanęły mu na głowie. dzwonek bowiem cichutko zadzwonił.

Wstał i zjrzał do trumny. Leżała w niej jakaś młoda dziewczyna, który trzymał w dłoniach madonnę z kością słoniową. Figurka była rzeczywiście bardzo piękna. Chciał się jej lepiej przyjrzeć, Susłow pochylił się nad nią i wtedy trup otworzył oczy. Rozległ się cichy trzask i prawarka z madonną wystrzeliła w górę.

Ojciec Collura stał pod ścianą kościółka przed plutonem egzekucyjnym złożonym z sześciu Ukraińców, których przygotowania obserwowali mieszkańcy Bellony. Stojący w samochodzie Meyer dał znak, rozległa się głońska salwa i stary ksiądz upadł na ziemię.

— To na dowód, nie artuj! — wykrzyknął major. — Wszyscy dobrze wiecie, kogo szukam. Dajcie mi pięć minut. Jeżeli nikt mi nie powie, gdzie oni są, wybiorę następnych dwóch, potem czterech i tak dalej. Decyzja należy do was.

— Musimy coś zrobić — powiedziała Maria, patrząc przez okno na pięćdziesiąt zakładów pogrzebowych.

— Niewiele możemy zrobić — odparł Barbera. — Wiąskomłodziecy jest w górach. Nie mieliśmy czasu, żeby się zorganizować. Wszystko to nas zaskoczyło.

— A co z wojskami amerykańskimi? — spytał Luciano. — Ile czasu upłynie, zanim się tu pojawią?

— Nie wiem, jak wygląda sytuacja.

— Wiąskontaktujmy się z nimi przez radio.

Obaj wyszli. Luciano utykał na lewą nogę, którą miał zabandażowaną. Maria otworzyła okno akurat w chwili, gdy Meyer powiedział:

— Ten Anglik, Carter, i ta kobieta, Maria Vaughan.

Ludzie stali w milczeniu, mokli na deszczu. Major wydał rozkaz i dwóch Ukraińców wyciągnął z tłumu parę staruszków.

Maria włączyła światła, nie zastanawiała się nad tym, co robi. Po prostu zeszła po schodach, otworzyła drzwi i ruszyła ulicą prowadzącą na rynek. W tłumie rozległy się szepty, kiedy ludzie ją zobaczyli. Podeszła do samochodu i spojrzała na stojącego w nim Meyera.

— Ja jestem Maria Vaughan, majorze — powiedziała zwyczajnie. — Może pan pociągnie tych ludzi.

— A pani przyjaciele? — spytał Meyer, patrząc na nią z góry.

— W tej sprawie panu nie pomogę. Odpowiadam jedynie za siebie.

Meyer rozejrzał się dookoła.

— Gdzie jest porucznik Susłow?

— Nie wiem, panie majorze — odezwał się jakiś sierant. — Chyba jeszcze przeszukuje domy.

— Bardzo dobrze. Postawcie te kobiety pod ścianę. — Znowu spojrzał na Marię z góry. — Oczywiście, jeżeli nie zmieniła pani zdania.

— Nie mam nic do powiedzenia — odparła spokojnie.

Dwóch Ukraińców chwyciło ją i zaciągnęło pod kocioł. Zostawili ją obok ciała Collury i po piesznie zaczęli przygotowywać się do egzekucji. Maria przebiegła się i zamknęła oczy, by odmówić modlitwy. Nie wiedziała, że po drugiej stronie rynku pojawił się Koenig z garstką spadochroniarzy.

— Stójcie! — zawołał.

Przyszli z klasztoru na piechotę i pułkownik był zmęczony. Ręką nieznacznie go bolała, na twarzy miał zaschniętą krew. Podszedł do samochodu, w którym stał Meyer, a za nim jego spadochroniarze prowadzeni przez Brandta.

— Co to za kobieta?

— To ta Vaughan. Nie chciała mi powiedzieć, gdzie jest reszta.

— *Frau* Vaughan! — zawołał Koenig. — Proszę tu podejść!

— Nie! — gwałtownie zaprotestował Meyer. — Nie pozwolę na to.

Koenig nawet nie spojrzał na niego.

— Ja tu rozkazuję, majorze. Niewiele mnie obchodzi pańskie zdanie.

— Niech cię szlag, Koenig! — wrzasnął Meyer, dając wreszcie upust swojej długo powstrzymywanej nienawiści. Wyciągnął walthera i dwukrotnie strzelił pułkownikowi w plecy.

Koenig zachwiał się i potoczył do przodu. Maria prawie obróciła się, kiedy próbowała go podtrzymać. Meyer wciąż strzelał jak obłąkany. Pociski trafiły w Marię, która upadła wraz z Koenigiem. Leżąc spleceni ramionami niczym para kochanków.

Tłum się rozprzecznił. Ludzie w panice uciekali do domu. Brandt ukląkł przy Koenigu i delikatnie odwrócił go na plecy. Podniósł głowę i spojrzał na Meyera, który zaciągnął minę i chwycił za ręczki cieszki karabinu maszynowego i obrócił go w stronę sieranta i spadochroniarzy.

— On zdradził Reich i Führera! — wykrzyknął major. — Słyszycie?! A teraz cofnijcie się! Wszyscy! — Potem zawołał do swoich ołnierzy: — Wsiada i wynosimy się stąd!

Ukraińcy wgramolili się do drugiego łazika i samochody odjechały.

Rozdział osiemnasty

Luciano i Vito Barbera wypadli z zakładu pogrzebowego i pobiegli na rynek. Luciano ukląkł przy Marii.

— Nie żyje — odezwał się Brandt. — Oboje zginęli.

Luciano klęczał przez jakiś czas, patrząc na spokojną twarz i poranione ciało Marii, a potem delikatnie dotknął jej piersi. Splamione krwi palce unosił do ust.

Wstał i jak prawdziwy Sycylijczyk wyszeptał odwieczną formułę :

— Tak samo błądził krew tego, który ci zabił.

Na rynku pojawili się mężczyźni w różnym wieku, starzy i młodzi, niosące wszelkiego rodzaju broń: od dubeltówek po pistolety automatyczne. Brandt i pozostali spadochroniarze mieli ponure miny. Byli gotowi na wszystko.

Jakiś kilkunastoletni chłopak wbiegł na rynek i zawołał do Barbery:

— Pojechali północną drogą !

— To znaczy do klasztoru. Ta droga tylko tam prowadzi.

Dwie starsze kobiety ukląkły przy Marii, by wyprostować jej członki. Jedna z nich zdjęła z głowy chustkę i przykryła twarz dziewczyny. Luciano odwrócił się z uczuciem bezgranicznej rozpacz.

— No dobrze, chodźmy go znaleźć — rzekł i kiwnął głową w stronę transporterów. — Czy ktoś umie to prowadzić ?

— Ja — odpowiedział Brandt.

Na moment zaległo milczenie.

— Myślałem, że jesteście w stanie wojny — odezwał się Luciano.

— Mam osobiste powody.

Luciano pytał, co spojrzał na Barberę, który skinął głową.

— Wezm moj ci arówk .
— wietnie — powiedział Luciano i zwrócił si do Brandta: — Ja pojad z wami. A teraz ruszajmy.

Zatrzymali si tu przed szczytem wzgórza, sk d droga prowadziła prosto do głównej bramy klasztoru. Barbera wysiadł z ci arówki, w której wiózł ponad dwudziestu uzbrojonych m czyzn, i szybkim krokiem podszedł do transportera.

— Jak to załatwimy?

— Pierwszy pojedzie transporter — powiedział Luciano. — Tylko w ten sposób mo emy pokona t bram . Je eli to si uda, od razu wje d ajcie za nami. Pami taj, e ojciec Giovanni i franciszkanie s po naszej stronie.

— Dobra — odparł Barbera i u miechn ł si szeroko. — Mam ci yczy szcz cia?

— A czy kiedykolwiek było mi to potrzebne?

Luciano klepn ł Brandta w rami i odjechali.

Kiedy Meyer wysiadł z łazika na dziedzi cu klasztoru, nikogo nie dostrzegł. W rz sistym deszczu wszystko wygl dało nienaturalnie spokojnie. Jedynym ładem niedawnej akcji były spadochrony zwisaj ce z murów i wałaj ce si po dziedzi cu, lekko poruszane słabym wiatrem.

W tym samym czasie w katakumbach pod klasztorem ojciec Giovanni wpuszczał ostatniego zakonnika do tunelu, którym wyprowadzał franciszkanów i młodego spadochroniarza ze złamanog . Rozejrzał si po raz ostatni, a potem ruszył za nimi. Drewniany tron wrócił na swoje miejsce w cianie.

Meyer nie był w stanie jasno my le . Wszystko rozegrało si tak szybko, a do tego jeszcze ten niepohamowany wybuch w ciekło ci. Dopiero teraz major zdał sobie spraw , jak straszliwe czekaj go konsekwencje.

Z klasztoru wyszedł jaki sier ant, zbiegł po schodkach i zbli ył si szybkim krokiem.

— Ani ywego ducha, panie majorze. Cisza jak w grobie.
— Niemo liwe — powiedział zdziwiony Meyer.
— Kto jedzie, panie majorze! — zawołał ołnierz stoj cy przy bramie.

Meyer ruszył biegiem i zatrzymał si na mo cie nad fos . Widział stamt d cał drog , któr szybko nadje d ał transporter na g sienicach i jaka stara ci arówka, a daleko za nimi szedł spory tłum ludzi.

Ukrai cy otoczyli majora, jeden z nich podniósł lornetk do oczu. Po chwili opu cił j i zdziwiony odwrócił si do Meyera.

— Nie rozumiem. Spadochroniarze Koeniga w transporterze i ci arówka pełna chłopów?

Meyer wzi ł od niego lornetk i skierował j na transporter. Zobaczył ołnierzy, Luciana i Brandta, którego natychmiast rozpoznał. Za kierownic ci arówki siedział Barbera, a ludzie na skrzyni byli uzbrojeni.

— Poł czyli siły, teraz jad razem — rzekł Meyer. — Szybko do rodka i zamkn bram .

Odwrócił si i wbiegł na dziedziniec.

Meyer nigdy nie był ołnierzem i teraz Ukrai cy go ignorowali. Który z nich zamkn ł i zaryglował bram , a pozostali zdj li z łązików dwa ci kie karabiny maszynowe i zanie li je na mury obronne nad bram .

Wszyscy Ukrai cy znajdowali si ju na murach i Meyer został zupełnie sam na rodku dziedzi ca po ród faluj cych spadochronów. W jednym z łązików znalazł szmajsera. Wyj ł go, odwrócił si i po stopniach wszedł na mur obronny od wschodu.

Patrz c przez szczelin w pancerzu, Brandt powiedział do Luciana:

— Teraz si schowaj. Mo e by bardzo gor co.

Luciano go usłuchał. Nad ich głowami sterczała lufa karabinu maszynowego, obsługiwanego przez dwóch spadochroniarzy, którzy musieli si przytrzyma , gdy Brandt dodał gazu na ostatnim odcinku drogi. G sienice wyrzucały do tyłu strugi błota.

Pozostało im jeszcze sto metrów, kiedy znad bramy odezwały si karabiny maszynowe. Pociski biły głównie w pancierz trans-

portera, który odpowiedział ogniem, ostrzeliwując mur obronny nad bramą.

Jeden z Ukraińców został trafiony i spadając pociągnął za sobą karabin maszynowy. W tym momencie Brandt wjechał na most, transporter podskoczył na lewym boku i z szybkością prawie stu kilometrów na godzinę uderzył w bramę, wysadzając ją z zawiasów.

Transporter jechał dalej, roztrzaskał jeden łazik i pchał go przed sobą przemieknął obok drugiego. Który spadochroniarz rzucił rzucający granat. Rozległ się ogłuszający wybuch, kiedy w łaziku eksplodował zbiornik benzyny.

Ukraińcy na górze otworzyli w ciekły ogień ze szmajserów. Dwóch próbowało odwrócić kierunek karabin maszynowy. Rudi Brandt rzucił następny granat, który poleciał w górę, wolno się obracał, i wybuchł nad bramą. Na dziedzińcu spadły dwa ciała, a za nimi karabin maszynowy.

Eksplodował zbiornik drugiego łazika, zalewając wszystko dokoła płonącą benzyną. Nad dziedzińcem unosiła się gęsta chmura czarnego dymu.

Przycupniwszy obok transportera Luciano pochylił się i wyjął szmajsera z ręki zabitego spadochroniarza. Kiedy w pancerz uderzyły pociski, odwrócił się i instynktownie ostrzelał mur obronny po drugiej stronie dziedzińca, gdzie kryła się jakaś skulona postać.

To on zabił Marię, pomyślał. Długą serią opróżnił magazynek szmajsera, wyjął rewolwer i podbiegł do stopni prowadzących na wschodni mur. Tam się zatrzymał, próbując dostrzec coś przez dym, bardzo szybko trzykrotnie wystrzelił do cienia kryjącego się na blankach, a potem wbiegł na górę.

Na dziedzińcu, gdzie był już Barbera ze swoimi ludźmi, w dymie i deszczu toczyła się bezładna walka wręcz.

Na murach obronnych panował spokój. Niesamowity dym, wypełniający dziedzińiec, i odgłosy prowadzonej tam walki zdawały się odległe, jakby wszystko to działo się w innym miejscu i innym czasie.

Luciano zdjął buty i skradał się cichutko z rewolwerem gotowym do strzału. Wiedział, że jest w najwęższym punkcie klasztoru, chociaż kłopotliwy dym nie pozwalał niczego dostrzec. Zatrzymał się usłyszawszy gwałtowny trzepot skrzydeł w gołębniku. Nagły podmuch wiatru rozrzedził dym na murach obronnych.

W odległo ci paru kroków stał Meyer i mierzył do Luciana ze szmajsera.

— Rzu to! — powiedział. — No ju !

— Prosz bardzo — odparł Luciano, ostro nie kład c rewolwer na murze.

Meyer był zdumiewaj co spokojny.

— Jak si nazywasz?

— Salvatore Lucania,cho przewa nie wołaj na mnie Luciano.

Meyera poraziło, jakby zobaczył trupa, który o ył. W jego oczach malowało si zaskoczenie; zel ał nacisk palca na spu cie. Gdzie po lewej stronie padł strzał i Meyer instynktownie si odwrócił. W r ku Luciana błysn ła madonna. Z zamachem uderzył ni majora od dołu pod brod . Ostrze przebiło podniebienie i ko - cem utkwilo w mózgu.

Luciano musiał u y całej siły, eby wyci gn nó . Meyer, jeszcze przytomny, zatoczył si do tyłu z wyrazem zdumienia na twarzy, potkn ł o niski parapet i spadł z muru.

Goł bie w panice trzepotały skrzydłami. Luciano otworzył siałkowe drzwiczki i ptaki wyfrun ły, wzbijaj c si w deszczu ponad chmur dymu.

Obserwował ich lot. Nagle u wiadomił sobie, e wci trzyma w r ku ko cian madonn . Przez chwil miał ochot j wyrzuci , ale to nie byłoby w stylu Salvatorego Lucanii, czyli „Szcz ciarza” Luciana.

Pocałował ostrze mokre od krwi Meyera, spełniaj c przysi g zło on na rynku w Bellonie, potem je wytarł, zamkn ł i wsun ł madonn do kieszeni.

y cie za y cie. krew za krew, cho to nie dało mu adnej satysfakcji, ale tak pewnie powiedziałaby Maria. Odwrócił si i po stopniach zszedł na dziedziniec.

Maria Vaughan le ała w trumnie przed ołtarzem niewielkiego ko ciółka. Rysy jej twarzy wygładził spokój mierci; rany przykrywał wieniec.

Wokół zmarłej paliły si wiece przyniesione przez mieszka ców miasteczka, ale w ko ciele było pusto, tylko Katerina siedziała w pierwszej ławce, a don Antonio Luca stał przy trumnie.

Luciano i Mario Sciarra, ukryci w cieniu przy drzwiach, widzieli, jak Luca si pochyla i całuje blad twarz Marii. Katerina wstała,

otoczyła go ramionami i oboje ruszyli naw . Sciara otworzył drzwi i czekał razem z Lucianem. Mijaj c ich, Luca si zatrzymał.

— Wiesz, co masz robi , Mario — rzekł do Sciary.

— Tak, *capo*.

— Dobrze.

Odwrócił si i spojrzął na Luciana pos pnym wzrokiem. Luciano czekał na jego słowa, ale przecie nie było ju o czym mówi . Katerina mocniej obj ła Antonia i oboje odeszli. Sciara ruszył za nimi.

W ko ciele panowała zupełna cisza. Kroki Luciana odbijały si echem od cian, kiedy szedł naw w stron trumny. Zatrzymał si i spojrzął na Mari . Nagle poczuł si zm czony. Delikatnie dotkn ł jej r ki. Była zimna, sztywna, bez adnego ladu ycia.

Jak echo z przeszło ci w uszach zad wi czały mu jego własne słowa: „By mo e ludzie zwracaj si ku Bogu, kiedy z diabła nie maj ju adnego po ytku”.

I jej odpowied :

„Nie, nie mog si z tym zgodzi . Nigdy bym si z tym nie zgodziła”.

Odwrócił si i odszedł szybkim krokiem.

Harry Carter siedział w łó ku Barbery wsparty na poduszkach, wci jeszcze bardzo słaby, i małymi łykami popijał koniak, który gospodarz trzymał specjalnie dla niego.

— No i w ko cu mamy to, czego chcieli my.

Luciano, który stał przy oknie i spogl dał na rynek, skin ł głow .

— W całej Cammaracie ju zawiadamiaj wszystkie wsie, miasta i miasteczka zachodniej Sycylii a po Palermo, e don Antonio Luca jest za Amerykanami.

— Bo jaki Niemiec zabił mu wnuczk ?

— Wła nie — odparł Luciano. — Krew za krew. stary sycylijski zwyczaj. Wydawało mi si , e ju to zrozumiałe .

Carter pokiwał głow .

— A co ze spadochroniarzami?

— Pu cili my ich, t garstk , która z nich została, i odjechali transporterem na własne ryzyko. Zabrali ze sob Koeniga.

Carter zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem.

— Okazało si , e on yje. Jest ci ko ranny, ale ma pewne szanse,

je eli zd go odda w r ce dobrego chirurga. Wyobra am sobie, jak ten jego sier ant sztabowy p dzi na złamanie karku do Palermo.

— Teraz powiniene co zje — powiedział Vito, zwracaj c si do Cartera. — Przynios ci troch zupy.

Kiedy wyszedł, na chwil zapadło milczenie.

— Mógłby uciec w góry — odezwał si Carter. — Powiedzieliby - my, e zgin ę w walce.

Luciano u miechn ł si szeroko.

— Czy by udało mi si całkowicie ci zdemoralizowa ? — Pokr cił głow . — Nie, ja wracam.

— Po co? Tylko dlatego, e prezydent tak powiedział? Pami taj, e on niczego nie obiecywał. Mo esz wróci za kratki na wiele lat.

— Có , człowiek codziennie ryzykuje przez całe ycie.

Luciano podszedł do okna, otworzył je, wychylił si i oddychał wie ym powietrzem.

Z wysokiej skały niosło si przez dolin bicie klasztornych dzwonów.

Rozdział dziewiętnasty

Tak więc zagrano kart maffii, zagrano na całego. W ciągu jednej nocy zdezerterowało dwie trzecie włoskich żołnierzy, którzy bronili w tym miejscu pozycji wzdłuż głównej drogi przez Cammaratę do Palermo. Maffii udało się podstępem aresztować nawet ich dowódcę i przekazać go aliantom.

Niemieckie jednostki w tym rejonie znalazły się w beznadziejnej sytuacji, nie pozostawało im nic innego, jak tylko się wycofać. Siły amerykańskie pędziły na północ i dotarły do Palermo w ciągu zaledwie siedmiu dni od pierwszego desantu, co generał George Patton miał później określić mianem najszybszego blitzkriegu w historii.

Dwudziestego czwartego lipca zmęczony wojną naród obalił Mussoliniego, a do siedemnastego sierpnia cała Sycylia znalazła się w rękach aliantów pomimo zaciętego oporu sił niemieckich.

Charles „Szczęściarz” Luciano wrócił do więzienia Great Meadow i w tym czasie dziewięćset czterdziestym szóstym roku stanął przed sądem, który rozpatrywał jego warunkowe zwolnienie. Do dziś szczegóły rozprawy pozostają w sferze domysłów, ale w lutym tego samego roku gubernator Dewey złagodził wyrok i Luciana przeniesiono na Ellis Island, skąd został deportowany.

Prawie sześć lat później 25 stycznia 1962 roku zmarł na atak serca w porcie lotniczym Capodichino pod Neapolem. Do czasu załatwienia formalności związanych z przewiezieniem ciała do Ameryki wystawiono je w kaplicy Cmentarza Angielskiego.

Początkowo budziło sporo ciekawości i wiele osób je oglądało. Po

trzech dniach zainteresowanie trochę się zmniejszyło. Sprawozdawca i fotoreporterzy z Associated Press już zaczęli myśleć, że czas się pakować, kiedy nadjechał mały autokar turystyczny. Wysiadło z niego czternaście czy piętnaście osób, przeważnie trajkoczących Amerykanek.

— Znowu turyści — kwą — nie stwierdził młody dziennikarz. — Zapłać po pięćset lirów, obejrzyj trupę i tyle. Nie mamy tu już nic do roboty. Wrzućcie graty do samochodu i zabierajmy się stąd.

Podszedł do drzwi kruchty i jeszcze raz zerknął do rodka. Kobiety tłoczyły się przy barierce, zaglądając do trumny. Za ich plecami sprawozdawca dostrzegł starszego, siwowłosego mężczyznę w czarnym płaszczu.

Turyści odwrócili się i zaczęli wychodzić. Siwowłosego mężczyznę zatrzymał się przy drzwiach, stawiając kołnierz płaszcza, i wtedy dostał gwałtownego ataku kaszlu.

— Dobrze się pan czuje? — troskliwie spytał reporter.

— Kaszel palacza, to wszystko. Od lat próbuję rzucić to wiśtwo.

— Znał go pan?

— Kogo? Luciana? — z uśmiechem spytał profesor Harry Carter. — A czy ktokolwiek naprawdę go znał?

Odwrócił się i odszedł alejką w stronę autokaru, do którego wsiadali turyści.